

Piotr Lisiewicz  
POLSKI INŻYNIER, KTÓRY  
WYGRAŁ WOJNĘ Z NIEMCAMI

Wojciech Mucha  
KTO ZABLOKOWAŁ RAJD  
PROROSYJSKIEJ PARTII

# NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO



Jarosław  
Kaczyński

## SUPERSTAR

historia Marcin Troliński  
fot. Marcin Kaliszka/BAP Fotolia



Kaczyński Superstar / 6

# Spis treści

## ▶ TEMAT NUMERU

- Piotr Lisiewicz  
**Kaczyński Superstar** 6  
Wojciech Mucha  
**Kto zablokował rajd prorosyjskiej partii** 10  
Ryszard Czarnecki  
**Kretyni z IPSOS, euroentuzjaści**  
**stąd i stamtąd** 13

## ▶ IDEE

- Tomasz P. Terlikowski  
**Homolobby, klerykalizm i stare herezje** 14  
Małgorzata Matuszak  
**Tego się nie zapomina** 18  
Jakub Augustyn Maciejewski  
**Człowiek, który zbudował myślenie**  
**od nowa** 22

## ▶ HISTORIA

- Piotr Lisiewicz  
**Polski inżynier, który wygrał wojnę**  
**z Niemcami** 28  
Dariusz Jarosiński  
**Mówiłem do was co wieczór** 34  
Magdalena Złotnicka  
**Chrzan celebryta i kariera parweniusza** 40  
Ewa Polak-Palkiewicz  
**Polska niczym nagie ostrze miecza...** 46  
Agnieszka Kowalczyk  
**Odkrywca krainy Jakutów, cz. 2** 52  
Włodzimierz Bączkowski  
**Uwagi o istocie siły rosyjskiej** 58

## ▶ KULTURA

- Krzysztof Karnkowski  
**Synowie mafii, krewni Escobara** 64  
Marcin Porszowski  
**The Daniel Castro Band** 68

## ▶ ŚWIAT

- Antoni Rybczyński  
**Prezydent Zelenski, czyli Ukraina**  
**wypyływa na nieznane wody** 70  
Z dr. Hubertusem Knabem  
rozmawia Olga Doleśniak-Harczuk  
**Nie było dobrych agentów Stasi** 75  
oprac. Antoni Rybczyński  
**Jak w Kraju Nadmorskim niszczili**  
**katolików...** 80  
Z pastorem Bobem Kraftem  
rozmawia Hanna Shen  
**Chiński komunizm nie przetrwa** 83  
Hanna Shen  
**Tak minął miesiąc w Azji** 88  
Stefan Czerniecki  
**Gdy pora zamknąć indyjską księgę...** 90

## Stale rubryki



Katarzyna Gójska  
**Powyborcze refleksje**

**NA POCZĄTEK** 3



Małgorzata Matuszak  
**Czym jest... muzyka sfer**

**KATECHIZM INTELIGENTA** 21



Kamil Goral  
**Polskie firmy potrzebują wsparcia**

**SŁOWEM O GOSPODARCE** 27



Ryszard Czarnecki  
**Barwy kampanii A.D. 2019**

**CZARNECKO TO WIDZĘ** 63



Marek Kalinowski  
**Coraz młodsze „Polish Jazz”**

**DO GRAJĄCEJ SZAFY...** 67



Olga Doleśniak-Harczuk  
**Powrót Martina i seksici w PE**

**Z GLOBALNEGO TYGŁA** 86



Marcin Wolski  
**Wybór**

**PAPKULTURA** 98



Tomasz Sakiewicz  
**Siła wiary w polityce**

**OSTATNIE SŁOWO** 99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

POLSKA CYWILIZACJA: HISTORIA

**NOWE**  
**PAŃSTWO**

miesięcznik

wydawca

**SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.**

REDAKCJA

02-056 Warszawa

ul. Filtrowa 63/43

e-mail: redakcja@niezalezna.pl

www.panstwo.net

ZESPÓŁ

Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI

Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY

Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY

Mariusz Troliński

DTP

Aleksander Razcwarkow

KOREKTA

Irena Biśta-Kanciála

INFORMACJA O PRENUMERACIE

tel. +48 22 290 00 90 wew. 3

prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

4712401053111001019991772

DRUK LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.

ISSN 1895-4960

historia Marcin Troliński  
fot. Marcin Kaliszka/BAP Fotolia



Kaczyński Superstar / 6

# Spis treści

## ▶ TEMAT NUMERU

- Piotr Lisiewicz  
**Kaczyński Superstar** 6  
Wojciech Mucha  
**Kto zablokował rajd prorosyjskiej partii** 10  
Ryszard Czarnecki  
**Kretyni z IPSOS, euroentuzjaści**  
**stąd i stamtąd** 13

## ▶ IDEE

- Tomasz P. Terlikowski  
**Homolobby, klerykalizm i stare herezje** 14  
Małgorzata Matuszak  
**Tego się nie zapomina** 18  
Jakub Augustyn Maciejewski  
**Człowiek, który zbudował myślenie**  
**od nowa** 22

## ▶ HISTORIA

- Piotr Lisiewicz  
**Polski inżynier, który wygrał wojnę**  
**z Niemcami** 28  
Dariusz Jarosiński  
**Mówiłem do was co wieczór** 34  
Magdalena Złotnicka  
**Chrzan celebryta i kariera parweniusza** 40  
Ewa Polak-Palkiewicz  
**Polska niczym nagie ostrze miecza...** 46  
Agnieszka Kowalczyk  
**Odkrywca krainy Jakutów, cz. 2** 52  
Włodzimierz Bączkowski  
**Uwagi o istocie siły rosyjskiej** 58

## ▶ KULTURA

- Krzysztof Karnkowski  
**Synowie mafii, krewni Escobara** 64  
Marcin Porszowski  
**The Daniel Castro Band** 68

## ▶ ŚWIAT

- Antoni Rybczyński  
**Prezydent Zelenski, czyli Ukraina**  
**wypyływa na nieznane wody** 70  
Z dr. Hubertusem Knabem  
rozmawia Olga Doleśniak-Harczuk  
**Nie było dobrych agentów Stasi** 75  
oprac. Antoni Rybczyński  
**Jak w Kraju Nadmorskim niszczili**  
**katolików...** 80  
Z pastorem Bobem Kraftem  
rozmawia Hanna Shen  
**Chiński komunizm nie przetrwa** 83  
Hanna Shen  
**Tak minął miesiąc w Azji** 88  
Stefan Czerniecki  
**Gdy pora zamknąć indyjską księgę...** 90



Katarzyna Gójska  
**Powyborcze refleksje**

**NA POCZĄTEK** 3



Małgorzata Matuszak  
**Czym jest... muzyka sfer**

**KATECHIZM INTELIGENTA** 21



Kamil Goral  
**Polskie firmy potrzebują wsparcia**

**SŁOWEM O GOSPODARCE** 27



Ryszard Czarnecki  
**Barwy kampanii A.D. 2019**

**CZARNECKO TO WIDZĘ** 63



Marek Kalinowski  
**Coraz młodsze „Polish Jazz”**

**DO GRAJĄCEJ SZAFY...** 67



Olga Doleśniak-Harczuk  
**Powrót Martina i seksici w PE**

**Z GLOBALNEGO TYGŁA** 86



Marcin Wolski  
**Wybór**

**PAPKULTURA** 98



Tomasz Sakiewicz  
**Siła wiary w polityce**

**OSTATNIE SŁOWO** 99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

POLSKA CYWILIZACJA: HISTORIA

**NOWE**  
**PAŃSTWO**

miesięcznik

wydawca

**SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.**

REDAKCJA

02-056 Warszawa

ul. Filtrowa 63/43

e-mail: redakcja@niezalezna.pl

www.panstwo.net

ZESPÓŁ

Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI

Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY

Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY

Mariusz Troliński

DTP

Aleksander Razcwarkow

KOREKTA

Irena Biśta-Kanciála

INFORMACJA O PRENUMERACIE

tel. +48 22 290 00 90 wew. 3

prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

4712401053111001019991772

DRUK LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.

ISSN 1895-4960

historia Marcin Troliński  
fot. Marcin Kaliszka/BAP Fotolia



Kaczyński Superstar / 6

# Spis treści

## ▶ TEMAT NUMERU

- Piotr Lisiewicz  
**Kaczyński Superstar** 6  
Wojciech Mucha  
**Kto zablokował rajd prorosyjskiej partii** 10  
Ryszard Czarnecki  
**Kretyni z IPSOS, euroentuzjaści**  
**stąd i stamtąd** 13

## ▶ IDEE

- Tomasz P. Terlikowski  
**Homolobby, klerykalizm i stare herezje** 14  
Małgorzata Matuszak  
**Tego się nie zapomina** 18  
Jakub Augustyn Maciejewski  
**Człowiek, który zbudował myślenie**  
**od nowa** 22

## ▶ HISTORIA

- Piotr Lisiewicz  
**Polski inżynier, który wygrał wojnę**  
**z Niemcami** 28  
Dariusz Jarosiński  
**Mówiłem do was co wieczór** 34  
Magdalena Złotnicka  
**Chrzan celebryta i kariera parweniusza** 40  
Ewa Polak-Palkiewicz  
**Polska niczym nagie ostrze miecza...** 46  
Agnieszka Kowalczyk  
**Odkrywca krainy Jakutów, cz. 2** 52  
Włodzimierz Bączkowski  
**Uwagi o istocie siły rosyjskiej** 58

## ▶ KULTURA

- Krzysztof Karnkowski  
**Synowie mafii, krewni Escobara** 64  
Marcin Porszowski  
**The Daniel Castro Band** 68

## ▶ ŚWIAT

- Antoni Rybczyński  
**Prezydent Zelenski, czyli Ukraina**  
**wypyływa na nieznane wody** 70  
Z dr. Hubertusem Knabem  
rozmawia Olga Doleśniak-Harczuk  
**Nie było dobrych agentów Stasi** 75  
oprac. Antoni Rybczyński  
**Jak w Kraju Nadmorskim niszczili**  
**katolików...** 80  
Z pastorem Bobem Kraftem  
rozmawia Hanna Shen  
**Chiński komunizm nie przetrwa** 83  
Hanna Shen  
**Tak minął miesiąc w Azji** 88  
Stefan Czerniecki  
**Gdy pora zamknąć indyjską księgę...** 90



Katarzyna Gójska  
**Powyborcze refleksje**

**NA POCZĄTEK** 3



Małgorzata Matuszak  
**Czym jest... muzyka sfer**

**KATECHIZM INTELIGENTA** 21



Kamil Goral  
**Polskie firmy potrzebują wsparcia**

**SŁOWEM O GOSPODARCE** 27



Ryszard Czarnecki  
**Barwy kampanii A.D. 2019**

**CZARNECKO TO WIDZĘ** 63



Marek Kalinowski  
**Coraz młodsze „Polish Jazz”**

**DO GRAJĄCEJ SZAFY...** 67



Olga Doleśniak-Harczuk  
**Powrót Martina i seksici w PE**

**Z GLOBALNEGO TYGŁA** 86



Marcin Wolski  
**Wybór**

**PAPKULTURA** 98



Tomasz Sakiewicz  
**Siła wiary w polityce**

**OSTATNIE SŁOWO** 99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

POLSKA CYWILIZACJA: HISTORIA

**NOWE**  
**PAŃSTWO**

miesięcznik

wydawca

**SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.**

REDAKCJA

02-056 Warszawa

ul. Filtrowa 63/43

e-mail: redakcja@niezalezna.pl

www.panstwo.net

ZESPÓŁ

Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI

Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY

Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY

Mariusz Troliński

DTP

Aleksander Razcwarkow

KOREKTA

Irena Biśta-Kanciála

INFORMACJA O PRENUMERACIE

tel. +48 22 290 00 90 wew. 3

prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

4712401053111001019991772

DRUK LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.



Katarzyna Gójska

NA POCZĄTEK

# POWYBORCZE REFLEKSJE

W polskiej najnowszej historii – czy się to komuś podoba, czy nie – było tylko dwóch polityków, którzy udowodnili, że mają wizję wyprowadzenia Rzeczypospolitej z postkomunizmu i potrafią być w tym skuteczni. Pan Prezydent Lech Kaczyński zapłacił za swą polityczną drogę najwyższą cenę. Lider Prawa i Sprawiedliwości jest dziś silny także skalą jego dokonań. Każdy, kto po prawej stronie stara się ograniczać siłę jego przywództwa, jest albo wielce naiwny, albo po prostu źle życzy Polsce.

**N**ajnowszy numer „Nowego Państwa” ukazuje się nieco później niż zwykle. Postanowiliśmy bowiem poczekać na rozstrzygnięcie wyborów europejskich. Ale nie dlatego, byśmy dostrzegali wyjątkową wagę w głosowaniu na posłów do PE, lecz dlatego, iż TO głosowanie wykraczało poza znaczenie dotychczasowych – było rozpoczęciem polskiej kampanii wyborczej, notą wystawianą Zjednoczonej Prawicy po niemal kadencji jej rządów i szansą na rozpoczęcie sanacji Unii Europejskiej. Dodatkowo na polskiej scenie politycznej pojawiła się formacja wprost prorosyjska. Wszystkie te elementy opisujemy na łamach naszego miesięcznika.

Majowe wybory, preludium przed najważniejszym – jesiennym – rozstrzygnięciem, potwierdziły to, co od lat media Strefy Wolnego Słowa piszą niezmienne. Zmiana sytuacji w Polsce, wyrwanie instytucji państwa z grząskości postkomunistycznych układów, a przez to uwolnienie potencjału społeczeństwa w różnych dziedzinach i aspektach, a także podniesienie rangi Rzeczypospolitej na arenie międzynarodowej – może się dokonać tylko pod przywództwem Jarosława Kaczyńskiego. Na kolejnych stronach „Nowego Państwa” pisze o tym dokładniej Piotr Lisiewicz. Ale trzeba już w tym miejscu podkreślić, iż nie ma dziś na polskiej scenie politycznej innej postaci zdolnej do przeprowadzenia tej kluczowej dla przyszłości naszego państwa transformacji. I tu krótka dygresja. Od dramatycznych wydarzeń 10 kwietnia 2010 roku, śmierci śp. Profesora Lecha Kaczyńskiego, wśród prawicowych publicystów i komentatorów trwa poszukiwanie alternatywy dla prezesa PiS. Wiele argumentów było w użyciu – że potrzeba zmiany pokoleniowej, że nie ma zdolności zdobywania zaufania Polaków, że powinien być mentorem jedynie doradzającym grupie młodych liderów. Nawet nie warto wszystkich ich powtarzać, bo funta kłaków nie są warte, a zwycięstwa w ostatnich wyborach krajowych, prezydenckich i tych

KONFEDERACJA TO PROJEKT NASTAWIONY NA ZABLOKOWANIE MOŻLIWOŚCI STAŁEJ OBECNOŚCI WOJSK USA W POLSCE I NA ZWIĘKSZENIE SZANS SIŁ POSTKOMUNISTYCZNYCH NA ODZYSKANIE WŁADZY. NIC POZA TYM. I Z TEGO PUNKTU WIDZENIA NIEWAŻNE, CZY PRZEJDĄ PRÓG 5 PROCENT, CZY NIE. WAŻNE, BY SVOJĄ SZALEŃCZĄ AKTYWNOŚCIĄ DOPROWADZILI DO NAPIĘCIA RELACJI NA LINII WARSZAWA–WASZYNGTON I ODEBRALI PiS KILKASET TYSIĘCY GŁOSÓW – Z NADZIEJĄ, ŻE TO KILKASET TYSIĘCY O ZNACZENIU PRZESADZAJĄCYM O SAMODZIELNEJ WIĘKSZOŚCI.

najnowszych – do europarlamentu, z wielu powodów bardzo dla Prawa i Sprawiedliwości trudnych – dowodzą tego ponad wszelką wątpliwość. Jarosław Kaczyński jest dziś bezkonkurencyjny na polskiej scenie politycznej. Nowe mocne postaci PiS, które wyrosły w ciągu ostatnich lat, swoją siłę wybudowały na jego autorytecie i talencie politycznym. Jakkolwiek jasno by świeciły – świecą tylko światłem odbitym. Pasma zwycięstw Prawa i Sprawiedliwości to oczywiście zasługa sprawnej pracy partii, ale bez TEGO lidera ta partia nie miałaby szans na takie sukcesy. I jeśli Zjednoczona Prawica ma zachować za kilka miesięcy szansę na kontynuowanie zmian w naszym kraju, to każda z jej „gwiazd”, mocnych postaci, musi przyjąć do wiadomości, że plan na zwycięstwo jest w głowie jednej osoby. Jarosława Kaczyńskiego. Nie ma dziś żadnego powodu – obiektywnego, związanego choćby z wiekiem czy

z kondycją, czy jakiegokolwiek innego – by nawet sugerować konieczność rozmów na temat następcy. Prawo i Sprawiedliwość odnosi największe zwycięstwa, przygotowuje absolutnie kluczową kampanię, a w takiej sytuacji tego typu wrzutki mają za zadanie demobilizowanie zwolenników. Rozpraszenie ich uwagi na sprawy kompletnie niezwiązane z rzeczywistością. Ktoś powie – w każdej partii jest konkurencja, działa mobilizująco, czasem nawet twórczo, a zabetonowanie pozycji lidera i nawoływanie, by miał decydujący głos, niszczy zdrową rywalizację, tym bardziej że w ugrupowaniu rządzącym są politycy, którzy zdobyli duże uznanie wyborców. Nie ma co nawet zastanawiać się nad takimi głosami. W PiS konkurencji na pewno nie brakuje, ale siłą tej partii jest charyzmatyczny, doskonale rozeznaný w polskiej sytuacji lider. Poza tym nie można zapominać o najważniejszym – w Polsce walka toczy się nie tylko o poprawę warunków życia, rozbudowę infrastruktury czy wzrost gospodarczy, lecz przede wszystkim o definitywne zerwanie z postkomunizmem i całym złem będącym jego częścią składową. Każde ostatnie wybory, a przede wszystkim te jesienne, to bój o to, by nie było, jak było. To nie jest zwyczajna rywalizacja w demokratycznym państwie z jakimś Schetyną, Kosiniakiem tudzież nikomu nieznanym działaczem politycznym z partii Zielonych. To rywalizacja z układem postkomunistycznym wspieranym przez dawnych patronów ze Wschodu i siły z innych rejonów naszego kontynentu, które są żywo zainteresowane Polską słabą i podporządkowaną. W polskiej najnowszej historii – czy się to komuś podoba, czy nie – było tylko dwóch polityków, którzy udowodnili, że mają wizję wyprowadzenia Rzeczypospolitej z postkomunizmu i potrafili być skuteczni. Pan Prezydent Lech Kaczyński zapłacił za swą polityczną drogę najwyższą cenę. Lider Prawa i Sprawiedliwości jest dziś silny także skalą jego dokonań. Każdy, kto po prawej stronie stara się ograniczać siłę jego przywództwa, jest albo wielce naiwny, albo po prostu źle życzy Polsce.

W minionej kampanii wyborczej po raz pierwszy startowała formacja otwarcie prorosyjska. Nie przekroczyła progu wyborczego – wyborcy konserwatywni wykazali się wielką rozważą – ale to nie znaczy, że problem tej politycznej zbieraliny zniknął. Trzeba się spodziewać ich dalszej aktywności, a wręcz zaostreżenia kursu. Bo wbrew temu, co starali się wmówić swoim czytelnikom niektórzy pravicowi publicyści, to nie jest żadna alternatywa czy próba zbudowania alternatywy dla PiS (niektórzy pisali nawet o takim elemencie kontrolnym wobec partii Jarosława Kaczyńskiego). Powiedzmy to wprost – Konfederacja to projekt nastawiony na zablokowanie możliwości stałej obecności wojsk USA w Polsce i na zwiększenie szans sił postkomunistycznych na odzyskanie władzy. Nic poza tym. I z tego punktu widzenia nieważne, czy przejdą próg 5 procent, czy nie. Ważne, by swoją szaleńczą aktywnością doprowadzili do napięcia relacji na linii Warszawa–Waszyngton i odebrali PiS kilkaset tysięcy głosów – z nadzieją, że to kilkaset tysięcy o znaczeniu przesądzającym o samodzielnej większości. Zresztą oba cele są ze sobą ściśle powiązane. Obecność

JAROSŁAW KACZYŃSKI JEST DZIŚ  
BEZKONKURENCYJNY NA POLSKIEJ SCENIE  
POLITYCZNEJ. NOWE MOCNE POSTACI PiS, KTÓRE  
WYROŚŁY W CIĄGU OSTATNICH LAT, SWOJĄ SIŁĘ  
WYBUDOWAŁY NA JEGO AUTORYTECIE I TALENCIE  
POLITYCZNYM. JAKKOLWIEK JASNO BY ŚWIECIŁY  
– ŚWIECĄ TYLKO ŚWIATŁEM ODBITYM. PASMO  
ZWYCIĘSTW PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI TO  
OCZYWIŚCIE ZASŁUGA SPRAWNEJ PRACY PARTII,  
ALE BEZ TEGO LIDERA TA PARTIA NIE MIAŁABY  
SZANS NA TAKIE SUKCESY. I JEŚLI ZJEDNOCZONA  
PRAWICA MA ZACHOWAĆ ZA KILKA MIESIĘCY  
SZANSĘ NA KONTYNUOWANIE ZMIAN W NASZYM  
KRAJU, TO KAŻDA Z JEJ „GWIAZD”, MOCNYCH  
POSTACI, MUSI PRZYJĄĆ DO WIADOMOŚCI, ŻE PLAN  
NA ZWYCIĘSTWO JEST W GŁOWIE JEDNEJ OSOBY.  
JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO.

Amerikanów na stałe w Polsce to ostateczne pogrzebanie planów na odtworzenie rosyjskiej strefy wpływów, a kontynuowanie rządów PiS to śmiertelny cios zadany postkomunizmowi. Warto także zapytać, co w tym promoskiewskim zbiorowisku robią obrońcy życia poczętego? Jak to się stało, że Putin – kat tysięcy czeczeńskich dzieci – wydał im się tak miły, jak to zwykł mawiać Korwin-Mikke, „ekscelencją”, że jedna z najbardziej rozpoznawalnych twarzy prolife – Kaja Godek – postanowiła zrobić karierę polityczną w towarzystwie jego sympatyków? A może pani Godek po prostu postawiła na siebie i machnęła ręką na ofiary włodarza Kremla? Obrońca życia, który idzie pod hasłami przyjaźni z mordercą, traci całą swą wiarygodność. Nawet więcej – kompromituje idee walki o życie każdego nienarodzonego dziecka. Obecność Kai Godek w Konfederacji będzie skutkowałą, po pierwsze, utratą zaufania do ruchów prolife wśród ogromnej części ich dotychczasowych zwolenników, a po drugie, utrudni im pracę edukacyjną – bo radykalne i kontrowersyjne skojarzenia polityczne będą działały odpychająco. Jednym słowem: pani Godek albo swą naiwnością, albo ambicją bardzo mocno utrudniła tłumaczenie konieczności obrony życia od poczęcia. A to w Polsce ciągle trzeba tłumaczyć, trzeba do tego przekonywać, a nie stać na pace tira i entuzjazmować się hasłami: „dość proamerykańskiej polityki” czy „czas na politykę prorosyjską”. Z tej perspektywy jedynym osiągnięciem pani Godek jest zwiększenie siły rażenia czarnych marszy. Przyuszczam jednak, że nie o to jej chodziło. Ale właśnie to musi rozważyć w swoim własnym sumieniu. Naiwność czy pycha nie zwalniają z odpowiedzialności. ■

# niezależna

ŁĄCZYMY **HISTORIĘ**  
Z **NOWOCZESNOŚCIĄ**

Najpopularniejszy konserwatywny portal w Polsce



**niezalezna.pl**

eprasa.pl 1676a2e87a



Piotr Lisiewicz

# KACZYŃSKI SUPERSTAR

Dlaczego każda koncepcja odmłodzenia przywództwa obozu niepodległościowego w III RP kończyła się porażką? Bo nigdy nie oznaczała mocniejszego realizowania programu Jarosława Kaczyńskiego, a zawsze koniunkturalne odchodzenie od niego. Czemu? Bo wprowadzanie go w życie to krew, pot i łzy. On jest trudny do zrealizowania, a łatwy do opisania: Polska niebędąca pod butem Rosji ani Niemiec, zdekomunizowana, awansująca zwykłych Polaków, a nie oligarchię, świadoma swojej historii oraz tożsamości. Koniec, kropka, wszystko inne to nudziarstwo i PR.

Każdy taki atak „młodości” zaczynał się od nieświadomej demonstracji, że żaden z aspirujących do roli lidera nie udźwignie tego, co od lat dźwiga Jarosław Kaczyński. Że pod wpływem kolejnej medialnej fali wyrzuci ze swojego programu któryś z jego fundamentów jako zbędny balast, nieprzynoszący w danej chwili popularności.

### ► Większe dobro

Jarosław Kaczyński powiedział wiele lat temu, po licznych porażkach, z charakterystycznym dla siebie sarkazmem, że prawda nie zawsze wygrywa w polityce, ale mimo wszystko ma w niej pewne znaczenie. To znaczenie nieporównywalnie wzrosło w erze Internetu i mediów społecznościowych, pozwalających dużo łatwiej demaskować nieprawdę.

Najbardziej irytujące były dla mnie w minionej kampanii na spotkaniach polityków Konfederacji z wyborcami dyskusje na temat tego, czy nie trzeba popierać PiS jako „mniejszego zła”. Dla każdego śledzącego przez cały okres III RP prawą stronę sceny politycznej i licznych pożałuj Boże aspirujących do roli jej liderów (co gorsza – bywało że skutecznie) jasne jest, że Kaczyński to „większe dobro”, wartość dodana, która polega właśnie na niezmienności owego programu, na niedopuszczeniu do zwichrowania go przez medialne zawieruchy, w czasie gdy inne tematy stają się bardziej „trendy”.

To było zawsze jasne w środowisku „Gazety Polskiej” i jej klubów, ale wystarczy wychylić głowę poza nie, by zauważyć, że wśród zarówno autorów, jak i czytelników konkurencyjnych tygodników już tak oczywiste nie jest. Inne idee, w tym liczne światopoglądowe błyskotki, przeważają nad świadomością najważniejszych celów.

### ► Kaczyński kontra Tusk 2019

Miniona kampania miała być w oczach spindoktorów opozycji także starciem Kaczyńskiego z Tuskiem. I to był bardzo ciekawy jej moment. Porównanie przeszłych sukcesów Tuska i obecnych wiktorii Kaczyńskiego jest dość przejrzyste.

Tusk odnosił sukcesy, mając monopol w telewizji, który znaczył nieporównywalnie więcej niż dziś. Wspierały go TVP, TVN i Polsat, czyli ponad 90 proc. widzów nie miało kontaktu z mediami reprezentującymi inną linię. Miał za sobą aparat państwowy pełen wielopokoleniowych powiązań sięgających jeszcze PRL, żywiołowo nienawidzący jego przeciwnika. Wykorzystywał te warunki, do pewnego momentu, bardzo dobrze.

Jego największymi zaletami były umiejętność przemawiania, ripostowania, luz, roztaczanie wśród zwolenników specyficznego uroku. Analiza owego języka Donalda Tuska wydaje się tematem ciekawym. Tusk otarł się we wczesnej młodości o środowisko kibicowskie, chuligańskich zawadiaków. A później jego Kongres Liberalno-Demokratyczny powiązany był z układami przestępczo-biznesowymi, w których owo zawadiactwo zdecydowanie straciło na uroku, stało się slangiem uprzywilejowanych. Nałożyła się na to lektura niemieckich ideologów Unii Europejskiej, promowanych przez wydawany przez środowisko Tuska „Przegląd Polityczny”. Tusk dysponując tym arsenalem, uzyskał w czasie rządów PO i PSL status polityka numer jeden w Polsce.

Jarosław Kaczyński nigdy nie miał tak cieplarnianych warunków. Ale wystarczyła mu szczelina, by ją wykorzystał. Wygrał z Tuskiem mającym ów medialny monopol po 8 latach, po dziesiątkach prób odebrania mu przywództwa w opozycji i rozbicia jej. Notabene niedługo po ukazaniu się książki zatytułowanej „Koniec PiS-u” wydanej przez jego dawnego współpracownika, który przeszedł na drugą stronę barykady.

Teraz, po czterech latach rządów, wygrywa w czasie, gdy żadnego medialnego monopolu nie ma. PiS wspiera TVP, a zwalcza TVN i Polsat. Za co atakują go dziko całe elity z postkomunistycznym rodowodem, przebrane w kostiumy autorytetów, sędziów, ludzi kultury, mediów itp.

W latach 90. zarzucano Jarosławowi Kaczyńskiemu, że mówi zbyt akademickim językiem o sprawach dla ludzi abstrakcyjnych. Kaczyński wyciągnął wnioski. Stworzył program, który połączył niepodległość z aspiracjami zwykłych Polaków. To jest droga podobna do uświadomienia sobie przez Piłsudskiego przyczyn własnej słabości. W publikacji „Jak stałem się socjalistą” z 1903 roku pisał, iż nazywał się socjalistą w wyniku poczucia beznadziei, jaka panowała w Polsce po klęsce powstania styczniowego i fali represji: „Bezsilna wściekłość dusiła mnie nieraz, a wstyd, że w niczym zaszkodzić wrogoi nie mogę, że muszę znosić w milczeniu deptanie mej godności i słuchać kłamliwych i pogardliwych słów o Polsce [...] Uczucie przygnębienia, uczucie niewolnika, którego w każdej chwili, jak robaka zgnieść mogą”. O tym, że połączenie postulatów niepodległości i walki o prawa robotników może przynieść sukces, przekonywał się wraz z wiekiem: „dziecinne marzenia i rojenia zespala się z moim młodzieńczym światopoglądem. Socjalista w Polsce dążyć musi do niepodległości kraju, a niepodległość jest zniemnym warunkiem zwycięstwa socjalizmu w Polsce”.

Kaczyński potrafił się rozwijać, udowodnił, że o coś mu chodzi i że zmienia Polskę. Tymczasem przyjazd Tuska w czasie kampanii dowiódł, że zajmując wysokie stanowisko w UE, nie rozwinął się on, nie poszerzył horyzontów, nie zyskał nowych atutów. Wystawienie w roli Palikota (tyle że bluzgającego z kartki) Jajdzewskiego pokazało, że nie można się po Tusku spodziewać niczego poza argumentami, które przegrały w 2015 roku.

### ► Kto odchodził od Kaczyńskiego, temu pozostawało... mówienie o Kaczyńskim

Tusk oddał władzę nad PO swojemu wewnątrzpartijnemu przeciwnikowi, tymczasem próby obalania Kaczyńskiego w czasach opozycji spęłzy na niczym.

Po Smoleńsku „starego” Kaczyńskiego zastąpić miały partie Polska Jest Najważniejsza i Solidarna Polska. Obie – pierwsza zdecydowanie bardziej, dlatego jej dziś nie ma – próbowały zbijać kapitał polityczny na odchodzeniu od linii Kaczyńskiego. PiN miał być mniej zawzięty, bardziej na luzie, otwarty na zwalczające PiS media. Solidarna Polska – bardziej do PiS podobna – atakowała Antoniego Macierewicza i tych, którzy mówili o zamachu w Smoleńsku. Jedno i drugie miało dać zysk w postaci mniej agresywnych ataków ze strony postkomunistycznych mediów.

Także współpracownicy Kaczyńskiego próbujący zbijać kapitał polityczny na odchodzeniu od jego programu, nie kończyli dobrze. Po wyborach z 2005 roku premierem został Kazimierz Marcinkiewicz. Podczas swoich zagranicznych wizyt puszczał do towarzyszących mu dziennikarzy aluzje, że jest fajny, ale niestety musi słuchać... no wiecie kogo. No i nie ma na scenie politycznej Kazimierza Marcinkiewicza.

Być może najbardziej wyrazistym przykładem na to, o czym piszę, jest przypadek Ludwika Dorna. Nazywany przez media „trzecim bliźniakiem”, zasłużony w opozycji w czasach PRL był marszałek sejmu i szef MSWiA, chwalony za inteligencję i poczucie humoru nie rozumiał, że tak naprawdę świeci tylko światłem odbitym od Jarosława Kaczyńskiego i jego programu. Gdy Kaczyńskiego i ów program porzucił, pozostało mu pisanie artykułów i udzielanie wywiadów o... Kaczyńskim.

Ataki personalne na Jarosława Kaczyńskiego z jednej strony osłabiają go, gdy chodzi o popularność sondażową, generując mu elektorat negatywny. Z drugiej jednak paradoksalnie go wzmacniają, budując jego legendę i status polityka przetrastającego obecną scenę polityczną.

Boleśnie odczuwają to ci, którzy mając istotne racje, popadną w konflikt z jakimś lokalnym działaczem „z nadania Kaczyńskiego”. Unikają pójścia w jakąś totalną wojnę, bo cena, jaką byłoby skonfliktowanie się z jedynym obozem wartym poparcia, jest dla nich zbyt wysoka. Jednostkowo są to sytuacje nieprzyjemne, czasem krzywdzące. W skali makro przyczyniają się jednak do utrzymywania jedności i siły PiS.

Wśród podważających program Kaczyńskiego Konfederacja była tworem ekstremalnym, bo w drastyczny sposób odrzucającym niepodległościowy program. Przegrała przez to, że pokazana została jej prorosyjskość, czyli odejście od najtrudniejszego, jedynego polskiego programu: zniszczenia fatalizmu zależności Polski od Rosji albo Niemiec. Ubocznie Konfederacja pokazała coś, czego z pewnością pokazać nie chciała: że jakkolwiek tradycje Piłsudskiego i Dmowskiego mają swoją rację bytu w świecie pol-

go o pedofilii wśród księży, zareagował błyskawicznie i przystąpił do realizacji swojego planu punkt po punkcie. Fakt, że strona przeciwna przygotowała ten temat jako bombę przedwyborczą, był zbyt jaskrawo widoczny, w zasadzie tamta strona prawie tego nie ukrywała. I okazało się, że o ile film mówił o ważnym problemie, faktycznie często tuszowanym, o tyle kłamstwem była cała kampania wokół filmu, robiąca z niego główny problem dla Polski. Odstawało to tak drastycznie od ludzkich codziennych doświadczeń w styczności z księżmi z własnej parafii, że medialny spektakl nie dał opozycji sukcesu.

Majstersztykiem było zdjęcie z medialnego frontu w czasie strajku nauczycieli minister Anny Zalewskiej. Było zupełnie oczywiste, że stanie się ona spersonalizowaną ikoną wroga, który „ucieka” przed odpowiedzialnością do Brukseli. Wystawienie w jej miejsce na front starcia z ZNP Beaty Szydło okazało się strzałem w dziesiątkę. Na tle byłej premier koja-

## W LATACH 90. ZARZUCANO JAROSŁAWOWI KACZYŃSKIEMU, ŻE MÓWI ZBYT AKADEMICKIM JĘZYKIEM O SPRAWACH DLA LUDZI ABSTRAKCYJNYCH. KACZYŃSKI WYCIĄGNAŁ WNIOSKI. STWORZYŁ PROGRAM, KTÓRY POŁĄCZYŁ NIEPODLEGŁOŚĆ Z ASPIRACJAMI ZWYKŁYCH POLAKÓW.

skiej polityki, to jednak ta pierwsza łatwiej broni się przed jej wypaczeniem i użyciem przeciwko Polsce.

### ► Opozycję zgubił... antykacyzm

Jarosławowi Kaczyńskiemu po 2015 roku udało się to, co nie udawało mu się wcześniej – wśród jego współpracowników znalazło się wyjątkowo mało osób skłonnych do zdrad czy rozłamów. Właściwie jedynym problemem, na szczęście przejściowym, okazały się wołty prezydenta Andrzeja Dudy. Media włożyły gigantyczny wysiłek w to, by poprzez niszczenie wizerunku prezydenta wymusić na nim demonstrowanie niezależności wobec Kaczyńskiego. Jednak Kaczyńskiemu udało się uspokoić sytuację, a media osłabiły presję na prezydenta, jako nieskuteczną. Andrzej Duda przekonał się, że w ustabilizowanych warunkach demonstrowanie niezależności od Kaczyńskiego to ostatnie, czego oczekują od niego wyborcy, bo w państwie położonym między Rosją a Niemcami naprawdę jest wobec kogo ową niezależność demonstrować.

Wyjątkowo profesjonalnie PiS zachował się w samej kampanii. Był przygotowany na film Sekielskie-

rzając się Polakom z poprawą ich bytu, nawet zdaniem niektórych trochę skrzywdzonej utratą stanowiska premiera, protestujący nauczyciele wyglądali na egoistów, którzy od osoby, która pomogła wszystkim, chcą z niebywałą agresją wyrwać nierealną sumę dla siebie. Świetny wynik Beaty Szydło w wyborach pokazał, że wierność drużynie i branie odpowiedzialności za trudne zadania się opłacają.

A tym, co zgubiło ostatecznie opozycję przed ostatnimi wyborami, był... antykacyzm. To tamta strona okazała się niedojrzała. Ona w czasie rządów PiS rozdmuchała emocje jego przeciwników do niebotycznych wyżyn, by zabetonować ich mózgi na jakąkolwiek argumentację. To mogło być chwilami przydatne, ale na końcu problem Koalicji Europejskiej polegał na tym, że tych emocji już się nie dało uporządkować, zniuansować, ująć w karby kampanii wyborczej. Nie dało się ani na chwilę schować działaczy LGBT, bo ci odebrali by to jako homofobię i zdradę. Przecież prawo do jak najgłośniejszego demonstrowania swej odmienności to kwintesencja ich ideologii. Opozycja, robiąc z nienawiści polityczną cnotę, na końcu nie zdołała jej opanować ze szkodą dla siebie. ■



Wojciech Mucha



# Kto zablokował rajd prorosyjskiej partii

Radykałowie z Konfederacji liczyli na dezintegrację prawicy. Chcieli w ten sposób w wyborach do Parlamentu Europejskiego zaistnieć politycznie na tyle, by móc realizować swoje dalekosiężne cele, najpewniej mocno godzące w polską rację stanu. Pierwszym celem ataku było środowisko klubów „Gazety Polskiej”.

**P**owyborczy poranek 27 maja nie mógł być miły dla polityków Konfederacji. Kładli się spać z poczuciem wykonania „planu minimum” – sondaże exit poll i late poll pokazywały, że ich ugrupowanie zdobyło ponad 6 proc. poparcia, a co za tym idzie – trzy mandaty. To niewiele, jednak taki wynik dawał im przewagę psychologiczną nad konkurentami z bardziej umiarkowanego ruchu Kukiz'15 i wiatr w żagle przed kluczową kampanią wyborczą do Sejmu i Senatu. Ostateczne wyniki zweryfikowały ich brutalnie. Polacy nie kupili retoryki opartej na zahaczających o antysemityzm fobiach i negacji obecnego kursu politycznego z jednoczesnym wyraźnym zwrotem na wschód, w stronę Rosji.

### ► Roszczenia na sztandarach i atak na kluby

Ale plan tzw. konfederatów był dość prosty i miał prawo się powieść. Opierał się na założeniu, że jeśli przy tradycyjnej dla wyborów europejskich niskiej frekwencji zmobilizuje się radykalny elektorat, to uda się przekroczyć próg wyborczy. O tym, że marsz będzie długi, wiedzieli sami twórcy Konfederacji. – Nigdy przez wybory demokratyczne nie dojdziemy do pełni władzy, być może pojawi się okienko geopolityczne, w którym sytuacja taka będzie temu sprzyjała, ale na tę chwilę takich możliwości nie ma – mówił Robert Bąkiewicz, jeden z liderów nacjonalistów.

To dlatego kampania Konfederacji był jednowymiarowa i opierała się w zasadzie tylko na jednej kwestii – budowaniu strachu przed rzekomymi roszczeniami żydowskimi i opisywaną już „ustawą 447”. Eksponowanie tego elementu miało pozwolić zagospodarować wszelkie margines polityczny – od jawnych antysemitów poprzez sympatyków absurdałnych teorii Grzegorza Brauna i gawędy Stanisława Michalkiewicza, środowiska skupione wokół Ruchu Narodowego i Młodzieży Wszechpolskiej, elektorat Janusza Korwina-Mikkego, którego neoliberalny ekscentryzm wciąż jest urzekający dla kilku procent Polaków, aż do rozmnieniających się właśnie na drobne posłów Marka Jakubiaka i Piotra „Liroya” Marca, poprzez których liczone także na zawiedzionych sympatyków ruchu Kukiz'15. Na uwagę zasługuje zaangażowanie się w projekt Kai Godek, antyaborcyjnej aktywistki, której akces do Konfederacji chciałoby się tłumaczyć jedynie osobistymi ambicjami, jednak niestety nie wszystko na to wskazuje.

Ale szukano poparcia także tych wyborców Prawa i Sprawiedliwości, którzy uważają, że partia Kaczyńskiego jest zbyt „mięka” w relacjach międzynarodowych. I wreszcie – co ważne – kuszone ludzi szczególnie oddanych polskiej sprawie – klubowiczów „Gazety Polskiej”. Ostatecznie okazało się jednak, że plan dezintegracji się nie powiódł, a z samego sumowania „błędnych elektronów” nie udało się zbudować bomby atomowej, której długofalowym celem miało być rozsądzenie polskiej poli-

tyki. Poparcie Konfederacji, które szacowano w szczytowym momencie nawet na 10 proc. w skali kraju, okazało się o ponad połowę mniejsze.

Retoryka, w którą uderzyli radykalowie, mogła mniej wyrobionemu wyborcy wydawać się przekonującą. Kto w Polsce nie chciałby, aby zrobiono więcej, lepiej i szybciej? Sączono więc treści w stylu: „liderzy o was zapomnieli”, „musimy pójść trzecią drogą”.

I tylko my na łamach „GP” zwracaliśmy uwagę na podobieństwo tej taktyki do tego, w jaki sposób atakowana była „Solidarność”. Doskonale było widać to na przykładzie analizowanych u nas wystąpień Grzegorza Brauna grzmiejącego, że „Antoni nas nie obroni”. Pisano, że „Tomasz Sakiewicz zniszczył kluby »GP« i zmienił je w antypolskie lobby żydowskie”, publikowano fotomontaże Michała Rachonia z dorysowaną jamulką. Cel był jasny – był to atak wymierzony w środowisko klubów „Gazety Polskiej”. Chciano je zdeintegrować, zasiać wątpliwości, a to długofalowo miało obrócić się przeciwko polskim sprawom – skompromitować Polskę na arenie międzynarodowej, zabrać większość parlamentarną Prawu i Sprawiedliwości i trwale zdestabilizować sytuację w kraju.

### ► Służę tylko Rosji

Przedstawiciele Konfederacji rzucili wszelkie siły na poszukiwanie ludzi, którzy mieliby się dać porwać retoryce mówiącej o rzekomych „300 miliardach dolarów”, które nasz kraj już-już byłby zmuszony zapłacić Żydom w ramach mitycznych „roszczeń”. Skąd wzięła się ta kwota? Trudno powiedzieć, ale sami przedstawiciele radykałów wskazują, że owym niosącym hiobowe wieści buchalterem jest Stanisław Michalkiewicz. To ten znany w niektórych kręgach publicysta miał „wyliczyć”, a za sprawą Konfederacji temat „wyszedł na ulicę”. Punktem kulminacyjnym miał być dzień 12 maja, kiedy to zorganizowano marsz „przeciw roszczeniom”, który zakończył się pod Ambasadą Stanów Zjednoczonych. Wbrew przewidywaniom to ten dzień zaważył na porażce projektu. Mówiąc wprost – dokonali oni ostatecznej autodemaskacji.

Była to bowiem chyba pierwsza od czasów głębokiego stalinizmu manifestacja, podczas której w otwarty sposób atakowano w Polsce Stany Zjednoczone, oskarżając je o wrogie działania. Rzecz spotkała się z reakcją: „Informacje przekazywane w kampanii Konfederacji są rażąco nieprawdziwe. Mowa nienawiści przedstawicieli skrajnych organizacji nie zakłóci relacji między sojusznikami” – napisała ambasador USA Georgette Mosbacher, którą atakujący ją konfederaci z miejsca oskarżyli o... mieszanie się w kampanię wyborczą. Polacy zobaczyli jednak wówczas, że środowisko, które mieni się „ostatnim obrońcą polskich interesów”, de facto podważa nasze sojusze i godzi w bezpieczeństwo państwa, jednocześnie bagatelizując realne, płynące ze wschodu zagrożenie.

Wątpliwości nie mieli eksperci zajmujący się Rosją: „Histeryczna kampania antyamerykańska pewnych środowisk w Polsce ma oczywisty cel: storpedowanie koncepcji tzw. Fort Trump. Tego najbardziej boi się Rosja. Współpraca gazowa Polski ze Stanami Zjednoczonymi także im bardzo przeszkadza” – napisał na Twitterze Grzegorz Kuczyński, autor książek poświęconych Rosji, m.in. „Tron we krwi. Sekrety polityki Kremla”. To prawda. Siły chcące destabilizacji spraw w naszym kraju wiedzą doskonale, że jedyna możliwa droga do tego prowadzi poprzez dezintegrację patriotycznych środowisk, osłabianie tzw. obozu niepodległościowego oraz nieproporcjonalne uwypuklanie radykalnych tez tak, by w oczach Zachodu Polska wyglądała jak targany konfliktami, nieprzewidywalny partner. Najlepiej o antysemickim obliczu.

Co istotne, środowisko Strefy Wolnego Słowa, a więc „Gazeta Polska”, „Codzienna”, portal Niezależna.pl i Telewizja Republika, było jedynym ośrodkiem medialnym, który od samego początku zwracał uwagę, że w cieniu rzucającym przez szeroką ławę konfederatów stoją interesy sprzeczne z polską racją stanu. Mówiąc wprost – prorosyjskie. To również dlatego atak na nas nasilił się do rozmiarów wychodzących poza granice kraju, do klubów „GP” z Europy i USA. Szczęśliwie ten plan spalił na panewce. Stało się to jednak dopiero po serii naszych demaskatorskich publikacji i wystąpień w Polsce i za granicą. To wówczas kwestia zaczęła przedzierać się do medialnego mainstreamu, w tym telewizji publicznej.

## ► Rosyjski ślad i wygrana bitwa

Jak wynika z analiz przeprowadzonych przez portal Niezależna.pl, po serii naszych artykułów narracja radykałów powoli, acz konsekwentnie traciła na popularności – zaczęły załamywać się zasięgi różnych kont i profili związanych z działaczami lub sympatykami. I tak 29 kwietnia portal Niezależna.pl ujawnił, że Lilija Moshechkova, kandydatka Konfederacji do Parlamentu Europejskiego, ma niepokojące powiązania z Rosjanami – gościła m.in. na okupowanym przez Rosjan Krymie, gdzie towarzyszyła Januszowi Korwin-Mikkemu, który spotykał się z samozwańczymi władzami półwyspu, a w kwietniu 2016 roku zamieściła serię zdjęć z bazy rosyjskiej grupy motocyklowej „Nocne Wilki”, gdzie widzimy jej fotografie m.in. z liderem klubu, Aleksandrem Zaldostanowem „Chirurgiem”. Od końca kwietnia pisaliśmy też o rosyjskich koneksjach zawodowych brata Krzysztofa Bosaka oraz o innych prorosyjskich ekscesach kandydatów Konfederacji, m.in. Grzegorza Brauna. Demaskowaliśmy posunięcia, które przedstawiano jako walkę o polskie interesy i suwerenność, choć de facto sprowadzały się one do starań o nadzarcie polsko-amerykańskiego. Pisaliśmy o tym, jak liderzy Konfederacji rozmawiali z prokremlowskimi mediami m.in. o tym, że Bosak udzielił wywiadu Sputnikowi,

mówiąc: „Powinniśmy starać się mieć poprawne relacje z Rosją”.

Szczególnym momentem było podanie przez nas 11 maja informacji o tym, że podczas zorganizowanego tamtego dnia marszu narodowców pojawiły się fałszywe banery klubów „Gazety Polskiej”. I choć już wcześniej ostrzegaliśmy, że trwa atak na środowisko klubów i że obóz niepodległościowy jest celem przebiegłej akcji, która ma na celu atomizację i wywołanie niepokoju, to ten moment był kluczowy. Radykalowie, którzy wcześniej próbowali skrzętnie wykorzystać sytuację, podkreślając w wystąpieniach, ale także we wpisach na Twitterze, że rzekomo wspierają ich niektóre kluby „GP”, odsłoniли się po raz kolejny.

Warto przy tym dodać, że media od prawa do lewa do pewnego czasu w dziwny sposób nie uwypuklały naszych ustaleń lub wprost powielały narrację Konfederacji. Celował w tym tygodnik „Do Rzeczy”, który pisał wprost o „wiszącym nad Polską mieczu roszczeń” i umieszczający na okładce tezę o rzekomej „wojnie hybrydowej pomiędzy Polską a Izraelem”. Z kolei dziennikarze i publicyści „Gazety Polskiej” opisujący prorosyjskie konotacje członków i polityków Konfederacji byli w przewrotny sposób atakowani jako ci, którzy „nabijają im poparcie”. Wynik wyborów brutalnie sfałszyfikował tę tezę, tak ochocho głoszoną przez część „prawicowych” publicystów. Te zachowania, podobnie zresztą jak cała medialna oprawa kampanii radykałów, zasługują na odrębnej analizie.

## ► Oni już wiedzą

Pewne jest, że to nasz przekaz, rozpropagowany m.in. przez TVP za sprawą Michała Rachonia, diametralnie wpłynął na znaczące wyhamowanie tempa kampanii Konfederacji, co przełożyło się w ciągu kilkunastu następnych dni na wynik wyborczy. Miała na to wpływ także wysoka frekwencja wyborcza – okazało się, że czym innym jest kilkaset tysięcy głosów przy założeniu, że do urn pójdzie 30 proc. uprawnionych, a czym innym są te same głosy w sytuacji frekwencji rekordowej jak na wybory europejskie.

Ale przede wszystkim zobaczyliśmy, że gdy Polacy dowiedzieli się, z kim mają do czynienia, to w przeważającej większości okazali się odporni na negatywny przekaz, idący w poprzek polskich interesów. Ostatecznie egzotyczna koalicja nie przekroczyła progu wyborczego, uzyskując zaledwie 4,55 proc. głosów. Co ważne, natychmiast pojawiły się w łonie Konfederacji teorie mające wyjaśnić sromotną porażkę, z fałszerstwem wyborczym włącznie. I tylko były poseł Kukiz'15 Marek Jakubiak, intelektualnie najbardziej sprawna postać w całej gromadzie konfederatów, wskazał „winnego” porażki, mówiąc: – Myślę, że to „Gazeta Polska” była. Myślę, że to był pan Sakiewicz – powiedział w telewizji WRealu24.pl. Nie myli się. ■



Ryszard Czarnecki

# Kretyni z IPSOS, euroentuzjaści stąd i stamtąd

Unia po wyborach europejskich zmieniła się – i jednocześnie się nie zmieniła. Europejska szklanka dalej jest do połowy pełna dla jednych, a w połowie pusta dla drugich.

**W** Parlamencie Europejskim będzie blisko 60 posłów mniej z Europejskiej Partii Ludowej (tam gdzie PO i PSL) i 50 mniej socjalistów. Porównując, chadecja poniosła klęskę, ale jeszcze większej doznali socjaliści, tracąc przeszło jedną czwartą frakcji! W przypadku chadecji ten wyborczy regres oznacza stratę o mniej więcej jedną czwartą. Chadecja matematycznie wygrywa, ale to pyrrusowe zwycięstwo: nie jest w stanie odbudować „wielkiej koalicji” z socjalistami. Obie frakcje muszą poszerzyć „grupę trzymającą władzę” o liberalów. Ci akurat odnieśli sukces, bo z progą 70 mandatów doбили do setki. Paradoksalne, że o sukcesie nie mogą mówić patroni nowego liberalnego projektu, czyli prezydent Francji i premier Holandii. Macron doznał upokarzającej porażki ze strony Zgromadzenia Narodowego Marine Le Pen, drugi uległ Partii Pracy Timmermansa. Osłabia to pozycję obu tych liberalnych „pół-bogów”, choć co ma mówić na tym tle kandydat na szefa Komisji Europejskiej, Niemiec (Bawarczyk) Manfred Weber, którego grupa polityczna poniosła liczbowo największe straty?

Jedna uwaga na marginesie wyborów europejskich. Uwielbiam sztuczki „Gazety Wyborczej”, która o porażce Macrona pisze, że jest „minimalna”, i prędko dodaje, że jego poprzednik François Hollande miał 5 lat wcześniej w wyborach do PE wynik o 5 proc. gorszy niż Macron teraz, a Le Pen wygrała z nim jeszcze bardziej spektakularnie niż teraz ... Wychodzi na to, że Macron w zasadzie wygrał, a nie przegrał. Koresponduje to z tytułem na pierwszej stronie tejże „Wyborczej” następnego dnia po wyborach europejskich: „PiS wygrywa o włos” (!). Ten „włos”, zapamiętajmy, ma 7 procent...

A skoro już o Polsce mowa, to zajmę się nie tyle wynikami wyborów (to zrobili inni), ile sondażowym badaniem o nazwie IPSOS. Czy pamiętacie Państwo byłego dziennikarza „Wiadomości” TVP Kamila Dziubkę, teraz Onet, który w wyborczy wieczór w wyborach samorządowych A.D. 2018 ogłosił... zwycięstwo PSL, który dostać miał

14 proc.? Dziubka głupi nie jest, on po prostu uwierzył w dane IPSOS-u, który stwierdził, że PSL tyle ma. Później okazało się, że IPSOS się pomylił, bowiem PSL miał... 10 proc. Inna sprawa, że na miejscu redaktora Dziubki nie ogłaszałyby wiktorii partii, która z 20 proc. spada na łeb, na szyję, na poziom 14 proc. Tenże IPSOS w wyborach europejskich A.D. 2019 wprowadził Konfederację do europarlamentu, zawyżając jej wynik o jedną trzecią (sic!): oszacowano ją na ponad 6 proc., a tak naprawdę miała 4,5 proc. To IPSOS zmniejszył różnicę między PiS a PO z 7 do marnych 3 proc., dzięki czemu Agora, a także sama Koalicja Europejska, mogły udowodniać, że nie przegrały, a w zasadzie wygrały. Gdyby jakikolwiek trener siatkarski popełniał takie błędy jak IPSOS, wyleciałby od razu z roboty, ale IPSOS dalej przedstawia wyborcze koszałki-opalki w kolejnych elekcyjnych wieczory. Mnie też wirtualnie pozbawił mandatu europosła, co jest kolejnym rekordem głupoty w sytuacji, gdy uzyskałem 135 tys. głosów (składnąc to mój rekord na dziewięć wyborów, w których uczestniczyłem, w tym czterech europejskich...). Był to czwarty wynik wśród sześciu posłów z Warszawy (o około 50 tys. głosów wygrałem z Halickim i około 40 tys. z Biedroniem). Za to IPSOS podał, że europarlamentarzystką została Kamila Gasiuk-Pihowicz. Serio. Nie obchodzi mnie, że akcjonariusze TVN-u wydają spore pieniądze na zamawianie sondażowych wyników w IPSOS podczas kolejnych wyborów. Polskiego podatnika jednak musi martwić, jeżeli idą na to jego pieniądze, bo przecież IPSOS wybory te „robi” wspólnie dla TVN-u, Polsatu i... TVP, a więc telewizji utrzymywanej przez Kowalskiego, Nowaka, nas wszystkich.

W wyborach europejskich A.D. 2019 nie było „wiosny ludów”, jak niektórzy zapowiadali. Establishment cieszy się z wyraźnego wzrostu poparcia dla Zielonych i liberalów, które to partie są częścią euroentuzjastycznego mainstreamu. Ale w nowym PE jest dużo więcej zwolenników Europy Ojczyzn, eurorealistów niż w tej kadencji, nie mówiąc o poprzedniej. Zrobiliśmy duży krok naprzód. ■

Tomasz P. Terlikowski



Jeśli ktoś sądzi, że film braci Sekielskich czy nawet list biskupów polskich kończy sprawę pedofilii i skandali seksualnych w Kościele w Polsce, to jest albo naiwny, albo nie ma pojęcia, jaki scenariusz jest obecnie u nas realizowany. Problem polega tylko na tym, że w odpowiedzi na jego realizację nie wystarczy pokrzykiwać, lecz trzeba realnych i głębokich działań.

# HOMOLOBBY, KLERYKALIZM I STARE HEREZJE



for: Fotolia

Polska nie jest pierwszym krajem, w którym przez skandale seksualne w Kościele rozpoczęto projekt pozbawienia katolicyzmu autorytetu moralnego. Wcześniej identyczny scenariusz zrealizowano w Irlandii, Stanach Zjednoczonych czy Chile (by wymienić tylko te najbardziej znane miejsca). I wszystko zawsze wyglądało tak samo. Najpierw mocny film ze świadectwami, potem kolejne ujawniane skandale, przyznający się do błędów biskupi, odwoływanie hierarchów, a w efekcie upadający na łeb na szyję autorytet instytucji Kościoła, stopniowa laicyzacja i wreszcie wykluczenie i samowykluczenie katolików z debaty publicznej (pod zgrabnym hasłem: „najpierw załatwcie swoje sprawy, a potem pouczajcie innych”). Czy w Polsce nie będzie identycznie? Wiele wskazuje na to, że będzie i że również u nas z podziwu godną precyzją realizowany jest identyczny scenariusz.

### ► Sami dowieźliśmy drewno na nasz stosik

Diagnoza ta, uznanie, że obecne ataki są elementem wojny cywilizacji, walki z Kościołem, w niczym nie zmienia faktu, że winę za to, że ta druga strona ma broń w rękach, ponoszą ci, którzy przez lata spraw nie załatwili, nie posprząkali, kryli przestępców, udawali, że nie ma problemu, chowali głowy w piasek. Tylko ktoś kompletnie pozbawiony wyobraźni mógł myśleć, że scenariusz, który pozbawił autorytetu Kościół w Irlandii czy USA, nie zostanie zrealizowany w Polsce, jeśli tylko będzie ku temu okazja. Taką samą osobą mogła sądzić, że jeśli sami nie załatwimy sprawy, to nikt nam jej nie wyciągnie. Jest oczywiste, że jeśli w debacie publicznej (czy w starciu cywilizacji) przeciwnik znajduje słaby punkt, to wykorzysta go do końca. Sam pisałem o tym już w 2010 roku, krótko po tym, jak Benedykt XVI napisał list do katolików w Irlandii. „[...] tuszowane przez lata skandale, jeśli wyleją się w jednym momencie, mogą doprowadzić do przyspieszonej laicyzacji Polski i utraty autorytetu przez Kościół. W Irlandii – a przyznają to tamtejsi hierarchowie – odpływ wiernych z Kościołów został wywołany między innymi dochodzącymi z mediów informacjami o kolejnych duchownych, którzy molestowali seksualnie nieletnich, i o kolejnych biskupach, którzy zamiast rozliczyć ich z win, zajmowali się ich kryciem, a niekiedy umożliwiali popełnianie kolejnych przestępstw. Jeśli polscy biskupi chcą uniknąć podobnej sytuacji, to zamiast cieszyć się »świętym spokojem«, powinni badać wszystkie napływające do nich informacje o możliwościach popełnienia przestępstwa seksualnego przez ich duchownego, a także zająć się do akt IPN. I wszystkie sprawy, w których

ofiarami byli nieletni, ostatecznie załatwić zgodnie z zasadą zero tolerancji dla przestępców i tych, którzy ich kryli, oraz maksimum empatii dla ofiar. Nowy nuncjusz (a wiele wskazuje na to, że abp Józef Kowalczyk niebawem rozstanie się z tą funkcją) powinien uważnie przebadać dokumenty dotyczące polskich biskupów, którzy mogli ukrywać przestępstwa seksualne księży (wiadomo, że na przykład w ukrywanie afery wokół abp. Paetza zamieszanych było przynajmniej kilku ważnych polskich i watykańskich wówczas hierarchów). Każda taka sprawa powinna – dla dobra instytucji – zostać zakończona przeniesieniem przyjaznego przestępców duchownego na emeryturę. Taką drogę zasugerował w [...] liście do irlandzkich katolików Benedykt XVI. I choć list ten był skierowany do konkretnego Kościoła, to wczytać się w niego powinni biskupi i świeccy na całym świecie. Jeśli tego typu działania nie zostaną podjęte (a patrząc na styl polskiego episkopatu, nie należy mieć na to wielkich nadziei), to za kilka lat mleko się rozleje. A wtedy na ratowanie dobrego imienia instytucji będzie już za późno. I będzie można tylko narzekać na wrogie media. Albo czekać na kolejny list papieża. Problem polega na tym, że winę za taką sytuację ponosić będą nie tyle dziennikarze, ile biskupi, którzy nie podjęli działań wtedy, gdy był sposobny ku temu czas” – napisałem wówczas.

Teraz zaś mógłbym tylko powiedzieć: „a nie mówiłem”. Tyle że nie ma to głębszego sensu, bowiem naprawdę nie trzeba było być prorokiem, żeby przewidzieć taki właśnie rozwój wypadków. I nie trzeba być prorokiem teraz, żeby zrozumieć, że jeśli nadal nic nie zrobimy, to będzie tylko gorzej.

### ► Dwie herezje

Co zatem mamy zrobić? Odpowiedź jest prosta. Zamiast udawać, że w zasadzie nie wiadomo, o co chodzi, trzeba się przegrupować, naprawić to, co jest rozwalone, oczyścić szeregi, a nie występować przed kamerami i śpiewać, że „nic się nie stało”, bo przecież murarze też molestują, albo powtarzać, że to wojna. Tak, to wojna, ale za to, że ją teraz w tej sprawie przegrywamy, odpowiadają ci, którzy nic nie zrobili, by sprawy załatwić. To, że ta wojna przyjdzie, było pewne, a zatem trzeba się było do niej przygotować, a nie teraz płakać, że wykorzystują przeciwko nam broń, którą dla nich przygotowaliśmy.

Wytrącenie tej broni wymaga jednak odważnego mówienia prawdy, i to nie tylko w dziedzinie faktów związanych z molestowaniem, lecz także tych związanych z teologią. Trzeba zatem zerwać z dwoma herezjami współczesności, czyli pelagianizmem

(w wersji „dobroludizmu”) i klerykalizmem. Ta pierwsza budzi w nas przekonanie, że tym, co nas zbawia, są właściwe życie i uczynki, to że jesteśmy dobrymi ludźmi (a chrześcijanie, nie wspominając już o księżach, to już megadobrymi, bo przecież żyją z Bogiem). Problem w tym, że to nieprawda. Zbawia nas Ukrzyżowany Chrystus z łaski przez wiarę. Innej drogi nie ma. A to oznacza, że dopiero gdy uświadomimy sobie, iż nie jesteśmy dobrymi ludźmi, gdy porzucimy nadzieję, że nimi jesteśmy, gdy zwątpimy, że możemy nimi być, to możemy naprawdę przyjąć Krzyż i Chrystusa. „Zdrowi nie potrzebują lekarza”. Zgorszenie tym, że jesteśmy grzesznikami, jest więc postawą ludzi pysznych, którym wydaje się, że i inni, i ja jesteśmy w stanie żyć bez grzechu, a przynajmniej porządnie. To mieszczańskie przekonanie niewiele ma wspólnego z prawdą Ewangelii. Klerykalizm zaś to przekonanie, że duchowni już niejako z automatu powinni być święci. Tyle że oni, jak świeccy, są grzesznikami, święcenia nie sprawiają, że stają się bezgrzeszni, przez grzeszników działa łaska. Jeśli ksiądz nie doświadczył własnego upadku, jeśli uważa się za bezgrzesznego, to... nie będzie umiał głosić bezwarunkowego miłosierdzia, szalonej miłości Boga do grzesznika.

Można oczywiście zadać pytanie, czy taka droga cokolwiek zmieni? Czy rzeczywiście sprawi ona, że ludzie powrócą do Kościoła? Odpowiedź brzmi: nie wiadomo, ale wiadomo, że nie ma grzechu, który Jezus gromiłby mocniej niż właśnie hipokryzja.

### ► Rozprawić się z homolobby

Zerwanie z herezjami to jednak za mało. Istotne jest także oczyszczenie Kościoła. I nie chodzi tylko o ukaranie sprawców, lecz także o pociągnięcie do odpowiedzialności tych, którzy ich kryli, bo to oni także splamili Kościół. Ale i to nie wystarczy. Jeszcze istotniejsze jest rozprawienie się z „lobby gejowskim”, które pozostaje jednym z głównych źródeł problemów. Zwrócił na to uwagę Benedykt XVI w swoim liście, podkreślając, że istnienie „klubów gejowskich” w seminariach przyczyniło się do umocnienia kultury homoseksualnej, a taka sprzyjała rozprzestrzenieniu się problemów ze skandalami. Identyczną opinię wypowiedział także polski biskup Mirosław Milewski. „Nie można rozwiązać problemu pedofilii w Kościele bez dotknięcia problemu lawendowej mafii” – podkreślał duchowny w Polsat News.

Te słowa można by jednak zlekceważyć i uznać za wyraz starej homofobii, gdyby nie to, że identyczna opinię formułuje także znany działacz gejowski i autor fundamentalnie antykościelnej

książki „Sodoma” Frédéric Martel. „[...] za większością spraw związanych z molestowaniem seksualnym kryją się księża i biskupi, którzy z obawy, że w przypadku skandalu zostanie ujawniony ich homoseksualizm, chronili sprawców tych przestępstw” – wskazuje Martel. Oczywiście można by to uznać za przejaw antykatolickiej fobii. Tyle że jego książka mocno to uzasadnia, nie odwołując się do argumentacji strony katolickiej, a jedynie ją uzupełniając.

Istotne dla zrozumienia tego, co się dzieje, jest uświadomienie sobie, że wcale nie chodzi tylko o to, że homoseksualiści częściej molestują, choć i taką korelację można zauważyć, lecz przede wszystkim o to, że – jak wskazuje Martel – „kardynałowie i biskupi tuszują seksualne nadużycia nie po to, by wspierać pedofilów, lecz ze strachu. Obawiają się, że przy okazji jakiegoś skandalu czy procesu mogłyby wyjść na jaw ich homoseksualne skłonności”. Takie właśnie, zdaniem Martela, miałyby być głębokie przyczyny wieloletniego krycia ojca Marciała Maciela, założyciela Legionistów Chrystusa, dlatego problemy kard. McCarrika nie ujrzały światła dziennego tak długo, dlatego tak trudno było, nie tylko w diecezjach, lecz także w Rzymie wyjaśniać pewne kwestie. Każdy miał na każdego jakieś haki, a publiczne procesy mają to do siebie, że czasem padają w ich trakcie słowa, które obciążają także innych. I z nimi potem trzeba się mierzyć.

Ale to nie wszystko. Jak mocno wskazuje prof. Antoni Dudek, z homolobby jest jeszcze przynajmniej jeden problem. „Jest teza księdza Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, wskazująca na istnienie lobby homoseksualnego w Kościele. Lobby to faktycznie istnieje. Jest może grupą liczebnie niewielką, ale bardzo wpływową. Grupy tego typu – dotyczy to wszelkich mniejszości, seksualnych, ale też etnicznych czy religijnych – trzymają się mocno razem, także dlatego, że są nieliczne, czują się niebezpiecznie. Stąd raczej się nie ujawniają, ale członkowie tych grup wzajemnie się wspierają, zabezpieczają poprzez poszerzanie wpływów. Jak pokazała sprawa arcybiskupa poznańskiego Juliusza Paetza, wspierał on określonych kleryków, wysłał na studia do Rzymu” – mówi Dudek. A jeśli dodać do tego fakt, że grupy te kryją się wzajemnie, to obraz stanie się pełny.

Jeśli zatem chcemy rzeczywiście coś zrobić, to konieczne jest realne wprowadzenie zakazu święcenia gejów na kapłanów, próba rozbicia homoseksualnych układów, pełne rozliczenie lustracyjne i wreszcie... wytrwała walka z homoherezą. Bez tego nic się nie da odbudować. ■

Małgorzata Matuszak



# TEGO SIĘ NIE ZAPOMINA

Każdy przypadek przemocy seksualnej wobec dzieci powinien spotkać się z surowym i bezwzględnym napiętnowaniem, choć niestety żadna kara nie jest w stanie w pełni zadośćuczynić złu, którego dziecko doświadczyło.



Nie wszyscy dorośli są dobrzy. Nie każdemu z nich można zaufać. Dzieci nie zawsze o tym wiedzą, bywa, że o tym zapominają. Są dziećmi. Ci dorośli jednak, którzy tę naturalną dziecięcą ufność perfidnie wykorzystują, nie zasługują na zrozumienie. Jeśli naruszają nieprzekraczalną granicę w kontaktach z nieletnimi, winni ponosić za swe czyny pełną odpowiedzialność. Dotyczy to zwłaszcza aktów przemocy seksualnej wobec dzieci.

### ► Reakcja odroczonej

Seksualnym wykorzystaniem dzieci określa się każdą aktywność osoby dorosłej, która prowadzi do seksualnego zaspokojenia kosztem dziecka. Obejmuje ono nie tylko kontakt fizyczny o charakterze płciowym, lecz także wpływanie na dziecko, by było ono obserwatorem zachowań seksualnych dorosłego, ekslibicjonizmu, prezentowanie dziecku pornografii, uwodzenie i inne rodzaje zachowań, które prowadzą do zaspokojenia seksualnych potrzeb osoby dorosłej. Nie można bagatelizować też rozmów, na przykład intymnych zwierzeń czy sprostnych żartów, nieadekwatnych do etapu rozwoju małoletniego.

Przemoc seksualna wobec dzieci różni się od tego typu przemocy w świecie dorosłych. Względem osób dorosłych mianem tym określa się potocznie zachowania seksualne pomiędzy ludźmi bez zgody jednej ze stron, najczęściej gwałt czy molestowanie seksualne. Wiąże się to z przemocą fizyczną, psychiczną bądź wykorzystywaniem zależności. W odniesieniu do dzieci nie musimy mówić o przemoc w takim rozumieniu, choć i z nią mamy niestety do czynienia w najbardziej drastycznych przypadkach. Tutaj przemocą jest każde zachowanie, które wykazuje dorosły w celu zaspokojenia swych potrzeb seksualnych, każde narażenie dziecka na jakąkolwiek aktywność natury seksualnej. Dzieje się tak dlatego, że dziecko nieposiadające wiedzy i zdolności oceny moralnej, staje się bezbronne wobec manipulacji i złej woli dorosłego. Nawet jeśli nie sprawia mu to bólu, to jest ofiarą przemocy ze strony dorosłego. Ono może nie rozumieć, co się dzieje, może nawet sprawiać wrażenie zadowolonego z tego, że ktoś się nim zainteresował, okazał bliskość, wszystko to jednak zmienia się wtedy, gdy zaczyna pojmować, co się stało. Dlatego też mówi się o krótko- i długotrwałych skutkach wykorzystywania seksualnego dzieci. Pierwsze pojawiają się od razu po sytuacji molestowania i utrzymują się nie dłużej niż przez dwa lata, drugie utrzymują się lub pojawiają się po okresie dwóch lat. Mogą przybierać różne formy i przejawiać się w wielu sferach funkcjonowania dziecka. Wyróżnić tu można skutki psychologiczne, fizyczne, behawioralne, psychoseksualne i społeczne,

a także psychiatryczne. Niektóre z nich odczuwane być mogą naprawdę długo i dotkliwie, szczególnie wtedy, gdy dziecko było molestowane systematycznie, przez kogoś z rodziny (szczególnie tej najbliższej), ma problemy z reakcją na traumatyczne wydarzenia, jest wrażliwe i subtelne, gdy sprawca stosował przemoc fizyczną i dochodziło do bardzo intymnych kontaktów, kiedy nie wykazuje się wobec niego szczególnej ostrożności podczas przesłuchań i nie otacza się go właściwą pomocą psychoterapeutyczną, a także gdy odczuwa brak poczucia bezpieczeństwa w rodzinie i panującą w niej negatywną atmosferę.

### ► Pamięta ciało, pamięta umysł

Następstwa psychologiczne wykorzystywania seksualnego w wieku dziecięcym są liczne i zróżnicowane, wszystkie jednak odciskają piętno na dorosłym życiu. Trauma tego zdarzenia przejawiać się może według Beverly James w wieloraki sposób: (1) W poczuciu winy – ukształtowanej najczęściej przez samego sprawcę, który chcąc oczyścić siebie, przerzuca ją na dziecko. Ale i ono obwinia samo siebie, by mieć złudną nadzieję tego, że kontroluje sytuację, przejmując zaś częściową odpowiedzialność za to, co się stało, może wciąż żywić wobec sprawcy ciepłe uczucia. W wieku dorosłym ktoś, kto doświadczył przemocy seksualnej w dzieciństwie, izoluje się od innych i sam sobie wymierza karę – okalecza się, popada w różnego rodzaju uzależnienia, deprecjonuje własne osiągnięcia, w skrajnych przypadkach popełnia samobójstwo. (2) W poczuciu bezsilności – sprawca nakładając na dziecko obowiązek milczenia, zamyka je w pułapce bezsilności, w poczuciu, że nikt i nic nie może mu pomóc. Dziecko pozostaje samo ze swoim strachem. Gdy osiąga dorosłość, uczucia te wciąż w nim pozostają, powodując wycofanie z życia lub nadmierne kontrolowanie wszystkiego. (3) W poczuciu osamotnienia – zranione dziecko traci zaufanie, tłumi i wycofuje emocje, co w dorosłym życiu objawia się poprzez depresję, problemy psychosomatyczne (na przykład chroniczne bóle, napięcia mięśniowe, zaburzenia oddechowe), unikanie bliskiego kontaktu czy niepokój. (4) W stygmatyzacji – w poczuciu, że wszyscy wiedzą o tym, że z powodu tego, co się wydarzyło, są kimś gorszym. Jako osoby dorosłe starają się radzić sobie z tym uczuciem, popadając w chorobliwą, niezaspokojoną pogoń za sukcesem, albo też przyjmując środki psychoaktywne czy popadając w zachowania autodestrukcyjne, takie jak uprawianie ryzykownych sportów, samookaleczanie się, a nawet próby samobójcze. (5) W erotyzacji – będącej konsekwencją tego, iż dziecko wykorzystywane seksualnie dostaje od dorosłego fałszywe informacje odnośnie do moralności i zacho-

wań seksualnych, będąc zaś nagradzane za takie zachowania, zaczyna siebie postrzegać wyłącznie jako obiekt seksualny. W następstwie tego, w dorosłym życiu albo koncentruje się na sprawach seksu, myśląc na przykład: „Istnieje tylko jako ciało”, albo też w ogóle unika kontaktów seksualnych. Znamienne jest to, że – według przeprowadzanych badań – ponad 80 procent prostytutek było ofiarami wykorzystywania seksualnego.

W rozwoju seksualnym człowieka mamy do czynienia ze zjawiskiem tzw. seksualnego imprintingu. Wykorzystywane seksualnie dziecko może w ten sposób zostać zaprogramowane na całe życie. Doświadczenia z dzieciństwa mogą przyczynić się do nieumiejętności radzenia sobie w tej sferze w dorosłym życiu; do zmiany bądź niemożności określenia swej orientacji seksualnej; mogą nawet zablokować rozwój seksualny młodego człowieka.

### ► Zatrważające świadectwa

Możemy mówić, możemy pisać o skutkach czynów pedofilskich. Wręcz powinniśmy to robić, gdyż tego typu sprawy zasługują w najwyższej mierze na to, by je ujawniać. By ich sprawcy nie czuli się bezkarni. Także po to, by pomóc ich ofiarom, by zapobiec tego typu zdarzeniom w przyszłości. By chronić inne dzieci.

Co dzieje się we wnętrzu najpierw molestowanego dziecka, a później osoby dorosłej, która musi z tego typu doświadczeniami z dzieciństwa żyć, najlepiej opisują słowa osób, które tego doświadczyły. Słowa, które przerażają, które wywołują najgłębszy sprzeciw wobec tego, co te osoby spotkało. W Internecie znaleźć można wiele takich świadectw. Tam można bowiem napisać o wszystkim tym, co trudno wypowiedzieć. Dziewczyna ukryta pod nickiem „Alice Last” pisze: „Byłam molestowana seksualnie, potem zostałam dwa razy zgwałcona, na szczęście udało mi się wyskoczyć z prostytutki, gdyż brałam przez lata narkotyki, potem alkohol... nie umiem sobie z tym poradzić. Jakoś prowadzę swoje życie w trzeźwości, podróżuję, pracuję z chorymi ludźmi, radzę sobie, ale temat powraca. Żyję samotnie. Tęsknię za mężczyzną, a jednocześnie wszyscy moi wybrańcy zrobili mi tyle krzywdy, że nie jestem teraz w stanie zaufać komukolwiek. To jest błędne, chore koło. Nie potrafię sobie z nim radzić. W ciągu 10 lat przeprowadzałam się ponad 20 razy, zmieniam pracę, miejsce zamieszkania, kraje... Ciągłe uciekam, ciągle buduję i niszcze. Nie wiem, jak to do cholery przepracować. Jestem już tak zmęczona... potwornie zmęczona, ale nie potrafię się zatrzymać. Najgorsza jest ta powracająca nienawiść do siebie. Nienawiść do ciała. Nienawiść do ludzi i potworna tęsknota,

samotność... Mam nadzieję, że to przeminie, że uda mi się to przekuć w coś pozytywnego i uwolnić od tej ciągłej ucieczki przed sobą. Naprawdę mam dość...”. I dalej, w kolejnym poście będącym odpowiedzią na post innego internauty: „... jedyne, co mogę zrobić, to zamknąć te drzwi za sobą. To wypływa... jasne, zwłaszcza jak człowiek jest dłużej sam. Niestety, sprawiedliwości nigdy nie dojdę, nikt mi też nie uwierzy. Nie mieszkam już w tamtym miejscu, odkąd skończyłam 19 lat. Po prostu uciekałam z domu. Uciekałabym wcześniej, ale straszono mnie ośrodkiem wychowawczym. Wytrzymałam. Po Twoim wpisie dotarło do mnie w końcu, że... jedyne, co mogę zrobić to ŚWIADOMIE zamknąć te drzwi i żyć dalej. Znaleźć znowu terapeutę, który pomoże mi przepracować schematy, bo one są najgorsze, i żyć dalej. Aby nie zniszczyć tego, co mi pozostało. Tymczasem podróżuję. Pracuję nad ChAD i jakoś daje radę”.

### ► Zaostrzone kary

„Zwyrodniałe, obrzydliwe, okrutne i bestialskie przestępstwo, zachowanie społeczne – na czele z pedofilią – będzie bardzo surowo napiętnowane, jeszcze dużo bardziej surowo, niż jest obecnie w Kodeksie karnym” – stwierdził premier Mateusz Morawiecki. Tak też się stało. Niedawno sejm uchwalił nowelizację Kk, która zaostrza kary za pedofilię – za zgwałcenie dziecka pedofil trafi do więzienia nawet na 30 lat, najbardziej zaburzonym sprawcom grozić będzie bezwzględne dożywocie, a najcięższe zbrodnie pedofilskie nigdy nie będą się przedawniać. Zlikwidowano także kary „w zawieszeniu”, w „rejestrze pedofilów” zostanie ujawniony ponadto zawód skazanych.

Ważne jest to, że o wykorzystywaniu seksualnym dzieci zaczęto otwarcie mówić. W przypadku ofiar przemocy seksualnej, w szczególności jeśli dotyczy ona dzieci, ujawnienie, przyznanie się do bycia ofiarą jest rzeczą najtrudniejszą. Przez lata często nie znajduję się słów, by o tym choćby myśleć, co dopiero mówić. A później wcale nie jest łatwiej. Jak jednak mówi w rozmowie z kwartalnikiem „Więź” Agata Baraniecka-Kłós, założycielka i prezes fundacji Stop Przedawnieniu, w dzieciństwie ofiara wykorzystywania seksualnego ze strony ojczyzna: „Taka osoba od samego początku znajduje się w zakłętym kręgu. Nie ma dla niej dobrego momentu, żeby o tym powiedzieć. Jeżeli powie od razu – dorosły jej nie uwierzy. Jeżeli powie za tydzień – usłyszy: »dlaczego nie powiedziałaś wcześniej?«. Jeżeli powie po dwudziestu latach, spytają: »co ci się raptem przypomniało?«. I dodaje: „Nie ma więc dobrego momentu, żeby o tym powiedzieć. A co za tym idzie, każdy moment jest dobry, aby o tym powiedzieć”.



Małgorzata Matuszak

# Czym jest... muzyka sfer

**D**zieje muzyki zdominowane były przez wieki przez dwa do niej podejścia: pierwsze, wywodzące się od Arystofanesa z Tarentu, eksponowało głównie zmysłowe i przyjemnościowe jej ujmowanie, do którego dołączyło później postrzeganie muzyki jako sztuki naśladowania ludzkich uczuć; drugie zaś, ujęcie pitagorejskie, poszukiwało w muzyce liczbowych proporcji, przez które wyrażają się zasady całej rzeczywistości. Pitagorejczycy twierdzili, że świat został stworzony z chaosu przez dźwięk i harmonię, według muzycznych proporcji, które możemy odczytać, samej muzyki kosmosu usłyszeć jednak nie możemy z racji ułomności naszych uszu, niedostosowanych do jej doskonałości i wzniosłości. Rozwinęli także teorię etosu podkreślającego ścisły związek między muzyką a ludzką duszą.

Pitagorejskie ujęcie muzyki miało decydujący wpływ na jej rozumienie w średniowieczu i utrzymywało się niemal do XIX wieku. W wiekach średnich muzyka, obok astronomii, arytmetyki i geometrii, wchodziła w skład „quadriwium”, sztuk-umiejętności odwołujących się do liczb. Muzyka w ramach „quadriwium” wpisywała się w nurt pitagorejski i wiązała się z ogólną koncepcją wszechświata, w którym liczba rządziła jako czynnik porządkujący. W ten sposób powstał związek między muzyką a kosmosem, znajdujący swój wyraz w harmonii sfer. Człowiek zamieszkujący czas, który nazywamy czasem muzyki dawnej, postrzegał liczbę dwuwymiarowo: w sposób naturalny, czyli ilościowy, i w sposób nadnaturalny, czyli jakościowy. Liczba miała zatem ilościową naturę i jakościową mądrość, czyli wymiar symboliczny. „Albowiem Tyś wszystko ustanowił podług miary, liczby i wagi” – to zdanie z „Księgi Mądrości” przytaczano w różnych muzycznych traktatach jako argument „z autorytetu”.

Z harmonii sfer wyprowadzono trójstopniową konstrukcję, podział na „musica mundana”, „musica humana” i „musica instrumentalis”. „Musica mundana” oznaczała miarę i liczbę uporządkowanego ruchu wszechświata, czyli harmonię stosunków między zjawiskami, a w szczególności ich równowagę. „Musica humana” to współdziałanie ciała i duszy, sugerujące najrozmaitsze interpretacje, od roli muzyki tanecznej, aż do ogólnych zagadnień estetycznych dotyczących percepcji i oddziaływania sztuki, czyli muzyki w najogólniejszym greckim znaczeniu. „Musica instrumen-

talis” była ostatnim ogniwem tej piramidy, a więc muzyką słyszalną, uzyskaną za pośrednictwem głosu ludzkiego lub sztucznych narzędzi, stanowiącą właściwy przedmiot sztuki.

Chociaż trójstopniowej koncepcji muzyki sprzyjał harmonijny, całościowy obraz świata, którego materialne i duchowe elementy tworzyły harmoniczny system zależności, innymi słowy – każdy element miał swoje wyższe lub niższe miejsce w tej całości, to żaden z nich nie był osamotniony, gdyż każdy miał szansę otrzymać jakąś porcję boskiej energii, światła czy łaski. Jeśli człowiek rozkoszował się muzyką, którą sam two-

---

ZATRACILIŚMY DZISIAJ UMIEJĘTNOŚĆ  
MYŚLENIA O MUZYCE ODNOSZĄCEGO  
SIĘ DO CAŁOŚCI OBRAZU ŚWIATA  
I INTERPRETOWANIA JEJ W CAŁOKSZTAŁCIE  
MYŚLENIA O ŚWIECIE. SPŁYCILIŚMY JEJ SENS.

---

rzył, był tylko niedoskonałą kopią Boga zachwyconego swym stworzeniem – śpiewającym i dźwięczącym wszechświatem.

Muzyka to przede wszystkim bogactwo i różnorodność dźwięków. I choć zrezygnowano już z muzyki sfer z racji jej niepoznawalności i ograniczoności praktycznego jej zastosowania, choć już epoka Oświecenia przewartościowała relacje pomiędzy człowiekiem, Bogiem i kosmosem oraz kosmosem i człowiekiem, to nie raz człowiek zateknił do tego świata bez sprzeczności i wyjątków, świata harmonii i konsonansów. Zatraciliśmy dzisiaj umiejętność myślenia o muzyce odnoszącego się do całości obrazu świata i interpretowania jej w całokształcie myślenia o świecie. Spłyciliśmy jej sens. Rozłączyliśmy ją z najistotniejszym jej sensem – Transcendencją. Spójny świat uporządkowanych i wzajemnie powiązanych elementów rozsypał się na atomy ludzkich mikrokosmosów, indywidualne, niepowtarzalne „ja” zdominowało antropologię. Muzyka jednak pozostała i może być nadal, jak pisał Kasjodor, „nader pożytecznym poznaniem, które kieruje umysł nasz ku wyższym rzeczom, a uszy koi melodią”. ■

Jakub Augustyn Maciejewski



# CZŁOWIEK, KTÓRY ZBUDOWAŁ MYŚLENIE OD NOWA

Gdy XIII-wieczna Europa osuwała się w ślepią uliczkę rozwoju, a jej spory intelektualne niemal doprowadziły do wyrzeczenia się nauki jako niemoralnej, jeden człowiek przełamał opory i zawrócił okręt Zachodu na właściwy kurs. Święty Tomasz z Akwinu zmienił zasady myślenia i odpowiedział nawet na te pytania, których wówczas nie zadano – a które pojawiają się dzisiaj.

Jak to możliwe, że 800 lat po narodzinach św. Tomasza z Akwinu protestanci i ateistyczni publicyści wciąż nie potrafią sobie poradzić z najprostszymi tezami tego doktora Kościoła? Funkcjonujące w obiegowej opinii przekonanie o konflikcie wiary i nauki pojawiło się właśnie w dobie pełnego średniowiecza i ów problem jednym erudycyjnym cięciem potężny dominikanin przeciął dzięki ścisłej logice i gruntownej wiedzy. Późniejsi protestanci odeszli od myśli Akwinaty i do dziś borykają się z problemem pogodzenia na przykład teorii ewolucji z aktem stworzenia świata przez Boga czy z koncepcją wolnej woli człowieka. Na niezrozumieniu Akwinaty wyrósł późniejszy ateizm.

Ala oprócz ponadczasowości wniosków św. Tomasza, które przyjął później cały Kościół katolicki, Akwinata rozwiązał też wiele krytycznych zagadnień, które nękały XIII wiek, i w błyskotliwych dyskusjach pokonał swoich intelektualnych adwersarzy. Można powiedzieć więcej – wracając do klasycznej myśli prowadzenia debaty, dominikanin wytyczył nowe standardy sporu opartego na prawdziwych tezach, argumentach i przykładach, dosłownie przywrócił Zachodowi logikę.

### ► Tytan pracy

Nieodżałowaną stratą dla ludzkości był dzień 7 marca 1274 roku, gdy zaledwie 49-letni mnich dokonał swojego żywota. Wiadomo, że w średniowieczu statystycznie ludzie żyli nie dłużej niż 30 lat, ale odliczając choroby dzieciństwa i poległych na wojnie, intelektualści pokroju Tomasza z Akwinu śmiało mogli tworzyć także w siódmej dekadzie swojego życia. Oprócz różnych przypadłości fizycznych dominikanina, jemu współcześni nie mieli wątpliwości, że ten wybitny teolog... zmarł z przepracowania. Odkąd tylko w wieku dwudziestu kilku lat zaczął pisać swoje traktaty i polemiki, odliczając czas wykonywania zadań na polecenie papieża lub na prośby króla Francji Ludwika IX, odejmując dni spędzone na mozolnych podróżach, biografowie Akwinaty obliczyli, że mnich pracował tak intensywnie, że pisał 12 stron dziennie. Nawet dziś naukowcy przyznają, że umysł mężczy się po więcej jak czterech stronach przelewania myśli badacza na papier, a co dopiero w czasach, gdy owe dzieła spisywano końcem ptasiego pióra zamoczonym w atramencie na szorstkim papierze, stawiając kaligraficzne litery! Dodając do tego jeszcze głębię intelektualną pism dominikanina, to, że pracował nad tekstami łacińskimi i greckimi i że napisał w życiu ponad 4200 stron, zrozumiemy, jak wielkim tytanem pracy był święty Tomasz z Akwinu.

Wybierając habit dominikański, a więc życie w ascezie, pozbawione posiadania dóbr i majątków, wygody życia, podróżowania konno, opierając swoje utrzymanie na aktywności żebraczej, Akwinata daleki był od postaw współczesnych intelektualistów, wymagających komfortowych warunków dla przeprowadzania swoich prac czy eksperymentów. Nic dziwnego, że do dziś teologowie na całym świecie zajmują się badaniem prac Akwinaty, zaliczając się do tzw. szkoły tomistycznej, wśród której także Polacy zajmują poczesne miejsce. Ojciec Jacek Woroniecki (1878–1949) czy ojciec Mieczysław Albert Krąpiec (1921–2008) wychowali całe pokolenia polskich teologów i filozofów, poświadczając aktualność myśli świętego Tomasza. Choć sam Akwinata pod koniec życia zaczynał cierpieć na niemoc twórczą i umniejszał swój dorobek, czując jakby nic nie osiągnął i nic wartego uznania nie napisał, wskazał w ten sposób kierunki rozwoju teologii i filozofii, zostawiając następnym pokoleniom dokończenie jego dzieła. XVI-wieczny rozpad chrześcijaństwa i kryzysy świata zachodniego wstrząsły rozwój tomizmu, a nawet cofnęły myśl ludzką. Gilbert Keith Chesterton pisał o Akwinacie, że „był prawdziwym reformatorem, a późniejsi reformatorzy byli w porównaniu z nim reakcjonistami”. Angielski pisarz tak w największym skrócie podsumował dziedzictwo tomizmu: „Gdy on kładł nacisk na społeczny obowiązek uczynków, oni mówili tylko o duchowym obowiązku wiary. Prawdziwą treścią nauki tomistycznej było zaufanie do rozumu, prawdziwą treścią nauki luterańskiej – całkowita nieufność do rozumu”.

### ► Wielkie rozdarcie Zachodu

Święty Tomasz pojawił się na świecie „w samą porę”, wręcz była to ostatnia chwila, by powstrzymać europejską myśl od zatrutej antyintelektualnej filozofii awerroizmu czy dogmatyki niektórych duchownych Kościoła. Tak jak święty Franciszek pojawił się przed obliczem papieża Innocentego III, a później przyśnił mu się, że podtrzymuje pękający gmach Kościoła swoim świadectwem i postulatami odnowy moralnej, tak święty Tomasz we właściwym momencie dziejowym przyszedł na Uniwersytet Paryski i do papieskich rezydencji, by prostować błędy ówczesnego myślenia.

Choć trzynaste stulecie od narodzenia Chrystusa powszechnie jest uważane za szczytowy moment rozwoju chrześcijaństwa, z narodzinami uniwersytetów, wznoszeniem najpiękniejszych gotyckich katedr (Notre Dame, Chartres), wreszcie relatywnie największej siły katolickiego chrześcijaństwa wobec prawosławnego Wschodu czy rozbitego świata islamu,

to jednak wewnątrz tej wspólnoty panował umysłowy kryzys.

Faktem jest, że zajęcie przez muzułmanów terenów od dzisiejszej Turcji przez Syrię, Mezopotamię, Egipt i północną Afrykę, tereny kiedyś należące do Starożytnego Rzymu, do średniowiecznego Bizancjum czy wreszcie do obszaru ewangelizacji wczesnego chrześcijaństwa, sprawiły, iż to wyznawcy Allacha stali się cierpliwymi spadkobiercami antycznej myśli. Zwłaszcza Arystoteles ze Stagiry budził szczególny zachwyt, skoro to on jako pierwszy sformułował zasady logicznego myślenia („Analityki”, „Analityki wtóre”), pozwalając myślicielom następnych tysięcy lat rozważać wszystkie aspekty rzeczywistości, a znając jedną rzecz jako pewnik, dochodzić do następnych za pomocą rozumu. Pracujący w XII wieku Awerroes, który w hiszpańskiej Kordobie, wówczas należącej do muzułmanów, dzieła Arystotelesa studiował wnikliwie, sporządzając do niego takie komentarze, które miały uwspółcześnić myśl starożytnego filozofa. W komnatach Awerroesa krzyżowała się więc logika Arystotelesa z konicznym pojmowaniem rzeczywistości i gdy średniowieczni wykładowcy i mnisi chcieli skorzystać z pism Stagiryty, nieopatrznie przyjmowali też częściowo... myśl Mahometa. Jednak mistycyzm islamu kłócił się z chłodną racjonalnością Arystotelesa, przez co można było błędnie wysnuć wniosek o sprzeczności wiary i religii. Jeśli średniowieczni intelektualści, w rzeczywistości opartej na porządkach strzeżonych przez Kościół katolicki, mieli wybierać pomiędzy rozumem a Bogiem... czuli się zmuszeni odrzucać naukę. Ten pogląd nie zdominował wówczas myślenia elity intelektualnej Europy, lecz na uniwersytetach i w pismach najważniejszych twórców już się pojawił, a przede wszystkim pojawiła się seria konfliktów, z których Europa mogła się osunąć w odmętę zacofania. Czy rozum i wiara są ze sobą sprzeczne? Czy wierząc w Boga, musimy porzucić naukowe badanie otaczającej nas rzeczywistości? A może badacze przyrody, skał czy nieba w dalszej perspektywie będą musieli porzucić wiarę w Boga? Jeśli dziś te dylematy wydają się komuś abstrakcyjne, warto spojrzeć na efekt tych sporów we współczesnym świecie islamu, gdzie wielu imamów badania naukowe nazywa grzechem, albo na muzea kreacjonizmu w USA (oparte na jednym z nurtów protestanckich), w których usilnie stara się udowodnić, że Ziemia ma 7000 lat, a dinozaury były współczesne ludziom.

Tymczasem przełom XII i XIII wieku zaznaczył się w Europie zmaganiem ze wspomnianym dylematem. I tak oto Wilhelm z Auxerre ograniczał Arystotelesa, uznając na przykład jego poznanie przyrody, ale obawiając się jego spojrzenia na człowieka i wal-

czył z jego racjonalizmem. Gdyby ten pogląd miał się umocnić na Uniwersytecie Paryskim, a tak się zaczynało dziać, świat akademicki podchodziłby nieufnie do rozumowego poznawania świata. Z drugiej strony plasował się inny wielki umysł tamtych czasów, Michał Szkot, który *de facto* uznał wyższość starożytnej filozofii nad prawdami wiary, a mianowicie tą pierwszą tłumaczył zasady tej drugiej. Jego sposób patrzenia na świat zyskał uznanie w oczach pierwszego europejskiego bluźniercy i ateisty – cesarza niemieckiego Fryderyka II, który zatrudnił go w swojej neapolskiej uczelni, chcąc stworzyć intelektualną przeciwwagę dla papieskiej wizji ładu w Europie. I w chwili tego duchowo-rozumowego rozdarcia pojawia się dominikański mnich z arystokratycznego włoskiego rodu, który oczyści zarówno Arystotelesa z awerroizmu, jak i teologię ze strachu przed Stagirytą.

### ► Most między filozofią a teologią

Za walkę z obcymi naleciałościami na myśl katolicką Akwinata zabrał się od podstaw – przede wszystkim: za przetłumaczenie Arystotelesa na nowo. Wraz z zaprzyjaźnionymi mnichami, zwłaszcza Wilhelmem z Moerbecke, przełożył oryginalne zapisy greckiego mistrza na łacinę. Przy tej okazji mnisi podłożyli fundament pod dzisiejszą sztukę tłumaczeń, zauważając, że nie można przekładać tekstu słowo w słowo, bez uwzględniania kontekstu, bo ta pozorna dokładność nie odda treści pisma. Było to ważne zwłaszcza w czasach, gdy należało porozumieć pisma z V wieku przed naszą erą ze średniowiecznym myśleniem. Tak samo Pismo Święte zawiera opisy nie tyle rzeczywistego świata tamtych lat, ile wyobrażenia o tamtym świecie – ani gorczyca nie jest najmniejszym ziarenkiem (ale ówczesni myśleli, że jest), ani starotestamentowy król Dawid nie był jednym z najpotężniejszych władców owych czasów (ale ówczesni Żydzi byli przekonani, że jest). Tym więcej pracy trzeba było włożyć w traktaty filozoficzne niż w przystępnie napisaną Biblię, pełną przypowieści, konkretnych zdarzeń, a nawet dialogów. Arystoteles używał wielu pojęć abstrakcyjnych lub takich, które sam tworzył, inaczej więc tłumaczono je przez pryzmat wiedzy świata islamu, a inaczej przez średniowiecznych mnichów.

Największym wnioskiem św. Tomasza było to, że filozofia (czyli rozum i nauka) w żaden sposób nie kłóci się z teologią (wiarą w Boga) i że zarówno jedno, jak i drugie służy do poznawania świata. Inne myślenie prowadziło do podziału rzeczywistości na to, co dobre (wiara, dusza, Kościół) i to, co złe (nauka, ciało, władza świecka). Słowem: rozłam

myślowy zaprowadziłby Europę albo do tyranii monarchów pozbawionych zasad moralnych (świat bez Boga), albo do teokracji z fanatycznymi duchownymi na szczytach władzy. Tymczasem św. Tomasz rozbił ten myślowy pat przekonaniem, że wszystko, co pochodzi od Boga, jest dobre – zatem także ciało, natura i jej realne problemy, poznawalne przez rozum i zmysły – są dobre i warte poznania. Takie spojrzenie na Boga, który tchnął w świat działanie zgodne ze stworzonymi przez niego prawami natury, sprawiało, że w intelektualnym świecie pojawiało się miejsce dla badaczy, którzy nie znając się na teologii, mogli opisywać rzeczywistość. Choć św. Tomasz nie zdążył opisać wielu rzeczy, które zamierzał, na przykład swojego stosunku do badaczy nieba (zwanych wówczas astrologami), to jednak pchnął ich fach w stronę znanej nam dzisiaj astronomii. Obserwatorzy gwiazd nie musieli już szukać mocy ponadnaturalnych w ruchu planet,

z tym w ogóle związana. Rozbite przez IV wyprawę krzyżową Cesarstwo Bizantyjskie przestało pełnić rolę obrońcy chrześcijaństwa przed islamem, krucjaty tak bardzo wzmacniające wspólnotę Europy traciły swoją dynamikę, a wspomniany cesarz Fryderyk marzył o dechrystianizacji kontynentu. Dwooma ruchami odradzającymi i wzmacniającymi Kościół i papieżstwo okazały się zakony żebracze – świętego Dominika i świętego Franciszka. Ci pierwsi rozumem i wykształceniem, ci drudzy dobrocią i świadectwem pokazywali siłę ewangelizacji i poruszali serca mieszkańców chrześcijańskiego świata. Jednak w II połowie XIII wieku w łonie katolicyzmu pojawili się stanowczy przeciwnicy zakonów żebraczych. W latach 50. doszło nawet do publicznych sporów między przeciwnikami a rzecznikami obu wspólnot – na czele obrońców stał właśnie Tomasz z Akwinu. Choć Williamowi z Saint-Amour, wrogowi mnichów, *de facto* chodziło o usunięcie

---

WEDŁUG ŚW. TOMASZA WSZYSTKO, CO POCHODZI OD BOGA, JEST DOBRE – ZATEM TAKŻE CIAŁO, NATURA I JEJ REALNE PROBLEMY, POZNAWALNE PRZEZ ROZUM I ZMYŚŁY – SĄ DOBRE I WARTÉ POZNANIA.

---

ale mogli swobodnie zająć się badaniem kształtu ziemi czy obrotów sfer niebieskich.

Święty Tomasz uzupełnił teorię św. Augustyna, która towarzyszyła chrześcijaństwu przez 900 lat, że każdemu poznaniu, każdej myśli o świecie musi towarzyszyć Bóg. Oczyszczając interpretację Biblii i Arystotelesa, stwierdził, że świat można poznawać aktem woli – a potem z użyciem rozumu. Sam przed rozpoczęciem lektury czy pisania Akwinata gorliwie się modlił, to jednak zauważył, że także pogańscy badacze opisywali prawa natury, nie znając treści Pisma Świętego. To – dziś może oczywiste i proste – spojrzenie, rozjaśniło sposób patrzenia na świat i usunęło napięcie między wiarą a rozumem. A przecież nie było to jedyne osiągnięcie Doktora Kościoła.

### ► Wielkie pojedynki świętego Tomasza

Rozkwitowi katolickiej Europy towarzyszyły również napięcia duchowe i intelektualne, nie tylko spór wokół myśli arystotelejskiej zanieczyszczonej awerrozimem. Południe Francji zostało dotknięte plagą herezji albigensów, głoszących fatalistyczną i pesymistyczną teorię, że tylko niektórzy mogą być w pełni zbawieni i wolna wola człowieka nie jest

zakonników ze stanowisk na Uniwersytecie Paryskim i pozyskanie miejsc dla swoich ludzi, jego oskarżenia dotyczyły całej działalności żebraczych wspólnot. Jego praca „Niebezpieczeństwa czasów ostatecznych” wskazywała zakony żebracze jako... posłańców Antychrysta, którzy bezprawnie podejmują się głoszenia Słowa Bożego, będąc jeźdźcami Apokalipsy, których pojawienie się ma oznaczać koniec świata. Jego uczeń Gerard z Abbeville kwestionował w ogóle sens prowadzenia ubożego życia przez duchownych. Święty Tomasz rozprawił się z tymi zarzutami czysto merytorycznie, pokazując na podstawie Ewangelii i pism ojców Kościoła, że we wspólnocie katolickiej jest miejsce na takie zakony i że w niczym nie uszczuplają oni kompetencji hierarchów. Co więcej, w toku dyskusji i publikowania pism polemicznych postawa Akwinaty przyczyniła się do wzmocnienia struktury Kościoła i władzy papieża, skoro ojciec święty uzyskiwał całą armię duchownych zorganizowanych w ściśle scentralizowanym stylu, w dodatku armię wyspecjalizowaną do różnych celów – w przypadku dominikanów: do nawracania heretyków.

Kolejnym pojedynkiem na słowa i znaczenia, jaki dominikanin musiał stoczyć, było zakwestio-

nowanie filozofii Siger z Brabancji, kościelnego awanturnika, który niejednokrotnie dopuszczał się sporów z przełożonymi. Zagrożenie ze strony jego teorii polegało na tym, że wiarę i naukę postrzegał jako kompletnie od siebie niezależne i sobie nawzajem niepotrzebne – gdy Tomasz przekonywał, że obie dziedziny się uzupełniają. Siger był więc jednym z przywódców ruchu tzw. awerroistów łacińskich, którzy myśli kordobańskiego uczonego próbowali przenieść do europejskich uniwersytetów. Dla niego prawda w filozofii i prawda w teologii mogły być zupełnie inne i wzajemnie się wykluczać. Na początku lat 70. XIII wieku Tomasz wzmocnił swój przekaz dotyczący arystotelizmu raz jeszcze kwestionując spojrzenie awerroistów. Nic dziwnego, że po jego tekstach ka-

rozważań, które do dziś są niepojęte dla antykościelnych komentatorów. Oprócz tego, że święty Tomasz wskazał pięć najważniejszych rozumowych argumentów za istnieniem Boga, pokazał, że rozum może prowadzić do wiary, a wiara do rozumu. Potrafił więc przewidzieć dylematy, które przyszyły całe stulecia później – od kwestii ewangelizacji i chrzczenia Indian (protestanci nie uważali ich za pełnoprawnych ludzi) po dyskusje z ateistami (tak dobrze nam znane w XXI wieku).

Nic dziwnego, że Tomasz z Akwinu został ogłoszony świętym zaledwie 49 lat po swojej śmierci, co jak na warunki średniowiecza było skrajnym przypadkiem. Gdy umierał 7 marca 1274 roku, jego spowiednik wyszedł z komnaty, trzymając się za głowę: „To są grzechy pięciolatka, grzechy pię-

ŚWIĘTY TOMASZ POJAWIŁ SIĘ NA ŚWIECIE „W SAMĄ PORĘ”, WRĘCZ BYŁA TO OSTATNIA CHWILA, BY POWSTRZYMAĆ EUROPEJSKĄ MYŚL OD ZATRUTEJ ANTYINTELEKTUALNEJ FILOZOFII AWERROIZMU CZY DOGMATYKI NIEKTÓRYCH DUCHOWNYCH KOŚCIOŁA.

riera Siger z Brabancji legła w gruzach i nie tylko stracił prawo do wykładania na Uniwersytecie Paryskim, lecz także został porzucony przez swoich uczniów i słuchaczy. Któż bowiem by chciał słuchać człowieka, któremu mistrz Tomasz z Akwinu wykazał błędność rozumowania?

### ► Trwanie Akwinaty

Święty Tomasz sięgnąwszy do korzeni zachodniej cywilizacji oraz greckiej spuścizny intelektualnej, został nazwany „ojcem chrześnym Arystotelesa” lub po prostu mówiło się o nim, że „ochrzcił Arystotelesa” – przywrócił go w pełni uczonym i myślicielom, bez fałszywych naleciałości i nieporozumień. Ważne więc jest nie tylko, do jakich wniosków o nauce, wierze, Bogu czy o zakonach Akwinata dochodził, lecz także – co być może najważniejsze – jakimi sposobami do tego dochodził. Sięgnięcie do pierwotnych źródeł, zrozumienie niuansów tłumaczenia, poszerzenie wiedzy o kontekst, wreszcie użycie logiki jako potężnego narzędzia myślowego, rozróżnienie prawdy i fałszu, a dopiero na koniec wnioskowanie – nadało sens średniowiecznej scholastyce i pchnęło ją do takich

ciolatka”. Trudno nie domniemywać i nie pokusić się o złamanie tajemnicy spowiedzi. Jakie grzechy małego dziecka mogły przypaść w udziale największemu umysłowi średniowiecza? Z racji jego obfitej postury może chodziło o podjadanie ciast z klasztornej kuchni, a może niesłuchanie rozmówców rozprawiających o dniu powszednim? Na jednej z uroczystości u króla Ludwika IX Akwinata tak się zanurzył w rozmyśleniach, że nawet nie zdawał sobie sprawy, że wałnął pięścią w stół, wydając z siebie okrzyk, że już wie, jak uporać się z herezją manichejczyków. Zaległa wokoło cisza, wywołana nie stosownością zachowania myśliciela, zakończyła się, gdy francuski monarcha kazał podejść swojemu sekretarzowi do mnicha i zapisać ideę, która wpadła mu do głowy – aby nie umknęła w dalszych rozważaniach.

Z pewnością wyrzucał sobie za małą – jego zdaniem – intensywność pracy, zbyt dużą powolność, niedostateczną gorliwość. Z tego powodu Tomasz staje się bliski każdemu wiernemu – bowiem nie tylko dostał w darze genialny umysł i niesłychaną przenikliwość, lecz także nie zaniedbał tego talentu i poświęcił wszystkie swoje siły, by tym talentem ubogacić Kościół i filozofię Zachodu. ■



Kamil Goral  
ekspert RG SWS

# Polskie firmy potrzebują wsparcia

Jesteśmy w Unii Europejskiej! Nie, to nie miała być odkrywcza myśl. Odkrywcze mogą być natomiast jej konsekwencje. Nasze członkostwo wywołuje skojarzenia przede wszystkim z rozwojem infrastruktury komunikacyjnej oraz brakiem kontroli granicznych. Jesteśmy beneficjentem funduszy unijnych i w związku z tym nasz kraj bardzo się zmienił. Nowe budynki, drogi, mosty etc. To wszystko powstało dzięki ich potężnemu wsparciu. To też nie jest odkrywcza ani przełomowa konstatacja. Zarysowuje ona jednak istotny kontekst do dalszej analizy. Członkostwo w Unii ma bowiem znacznie więcej aspektów niż tylko płynące do nas z tego kierunku środki. Chociaż ten wymiar jest nam na ten moment najbliższy, to jego rola stopniowo będzie się zmniejszać. Na pierwszy plan powinny wyjść inne, coraz ważniejsze kwestie.

Pierwszą, na jaką warto zwrócić uwagę, są regulacje. Prawo europejskie było i jest istotną częścią naszego systemu prawnego. Unijne dyrektywy i rozporządzenia to dla wielu branż podstawowa lektura. Kto tego nie wie, nie ma czego szukać w profesjonalnym biznesie. Jednak sama znajomość europejskich przepisów to zdecydowanie za mało. Trzeba także móc na nie wpływać, aby ich kształt przynajmniej nie przeszkadzał, a najlepiej, aby te przepisy wspierały rozwój przedsiębiorczości w takich krajach jak Polska. To potężne wyzwanie! Nasz biznes musi sobie z niego zdawać sprawę, zwyczajnie nie ma innego wyjścia.

Mamy w Brukseli za mało lobbystów, w porównaniu z Niemcami czy Francją nie jesteśmy w tym obszarze praktycznie w ogóle obecni. A przecież to Polska jest krajem na dorobku, w dalszym ciągu mamy spory dystans do pokonania i żeby go skracać, musimy, pozwólcie Państwo, że użyję tego brzydkiego słowa, lobbować. Tak, lobbować to znaczy przede wszystkim pokazywać nasz punkt widzenia, argumentować w obronie swoich racji poprzez profesjonalne analizy i ekspertyzy.

Jest jednak jedno istotne „ale”. To kosztuje. I tutaj pojawia się bardzo ważne zadanie dla polskich władz, szczególnie dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz Ministerstwa Przedsiębiorczości i Technologii. To ich zadanie, aby polski biznes był aktywny w Brukseli i Strasburgu. Może w tym pomóc system stypendiów dla organizacji biznesowych, które chcą w tych miejscach otworzyć biura, przygotowywać propozycje legislacyjne czy opinie do procedowanych w unijnych instytucjach aktów prawnych. Polskie firmy powinny dostać jasny sygnał od państwa, że otrzymają wsparcie, a ich działalność spotka się nie tylko z ciepłymi słowami, lecz także dofinansowaniem. W przeciwnym razie zostaniemy daleko w tyle za resztą Europy, która rozumie, że Unia to nie tylko fundusze, lecz także, a może przede wszystkim, prawo.

Bogate kraje Zachodu coraz częściej uciekają się do protekcyjnych chwytów, wykorzystując w tym celu prawo europejskie. Ich zadanie jest ułatwione, bo polski biznes w Brukseli jest niedostatecznie reprezentowany przez organizacje gospodarcze. Ta dysproporcja sił na korzyść wielkich i bogatych państw musi się skończyć. Jej trwanie przez kolejne lata będzie miało dla polskiego rozwoju fatalne konsekwencje. Polski biznes powinien mieć warunki do tego, aby móc wyrazić swoje zdanie w najważniejszych unijnych instytucjach, dokładnie takie samo, jakie mają podmioty z krajów tzw. starej piętnastki. Warto zatem apelować także o wsparcie finansowe, konkretne i wymierne. Poniesione koszty mogą zwrócić się z nawiązką w formie lepszego prawa, a w konsekwencji uczciwszej konkurencji na wspólnym europejskim rynku. Warto zatem w to zainwestować! ■

Rada  Gospodarcza  
STREFY WOLNEGO SŁOWA

„Gdyby Niemcom udało się udoskonalić nową broń V, V-2, sześć miesięcy wcześniej, nasza inwazja na Europę napotykałaby na ogromne trudności. Ba, nawet w pewnych okolicznościach stałaby się niemożliwa” – pisał we wspomnieniach „Wyprawa krzyżowa w Europie” generał Dwight Eisenhower, przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych. Tym, dzięki któremu śmiertelna broń nie została na czas udoskonalona, był polski inżynier, konstruktor szybowców, podporucznik AK Antoni Kocjan.



Piotr Lisiewicz

# Polski inżynier, który wygrał wojnę z Niemcami

Jak ocenia na swoim blogu historyk Adam Cyra, autor biografii rotmistrza Witolda Pileckiego „Ochotnik do Auschwitz”, Antoni Kocjan kierując w ramach działań wywiadu AK akcją rozszyfrowania tajnych broni niemieckich V-1 i V-2, „przyczynił się do wygrania przez aliantów wcześniej wojny i można przypuszczać, że w ten sposób ocalił życie wielu ludzi, w tym Żydów, którzy szczególnie od lata 1944 r. masowo byli zabijani w komorach gazowych czterech wielkich krematoriów KL Auschwitz II-Birkenau”. A jak wyglądałby bombardowany Londyn, gdyby Niemcy zdążyli z produkcją śmiertelnej broni?

Jak były uczestnik wojny polsko-bolszewickiej i legendarny konstruktor szybowców, który jeszcze niedawno sam były więźniem Auschwitz, gdzie trafił w tym samym transporcie, co wspomniany Witold Pilecki, wpadł na trop pilnie strzeżonej przez Niemców tajemnicy? Postać Antoniego Kocjana pokazana została w amerykańsko-brytyjskim filmie „Oni ocalili Londyn” w reżyserii Vernona Sewella, a dr Andrzej Glass poświęcił jej książkę „Antoni Kocjan – szybowce i walka z bronią V”. Ale jego gigantyczne zasługi dla skrócenia wojny pozostają zdecydowanej większości Polaków nieznane.

### ► „Nie martw się, żeś Łokietek”

Antoni Kocjan urodził się 12 sierpnia 1902 roku we wsi Skalskie, która dziś jest dzielnicą Olkusa. Był synem gospodarzy wiejskich Michała i Franciszki, którzy oprócz niego mieli jeszcze trójkę dzieci – Ludwika, Annę i Bolesława (w przyszłości został pilotem). „Drewniany dom Kocjanów, kryty słomianą strzechą, stał wśród dorodnych lip. Na belce pod powalą była data, mówiąca o postawieniu go na początku XIX wieku” – pisze Andrzej Glass w książce „Antoni Kocjan – szybowce i walka z bronią V”. Przed domem stała później ufundowana przez inżyniera figura Maryi.

Antek był niskiego wzrostu, co w przyszłości przydać mu się miało przy lataniu szybowcami. Od dziecka matka pocieszała go: „Nie martw się, żeś Łokietek, będziesz dzielnym królem”. Uczył się w Gimnazjum im. Króla Kazimierza Wielkiego w Olkuszu, gdzie wstąpił do harcerstwa.

Ale jeszcze przed maturą trafił na ochotnika do wojska, by walczyć w wojnie polsko-bolszewickiej. Służył w 11. Pułku Piechoty. Matura odsunęła się więc w czasie – zdał ją w 1923 roku. Potem studiował na Politechnice Warszawskiej na wydziałach elektrycznym i lotniczym, a także na

Kapitan Aleksander Kaczmarczyk (z lewej) i inż. Antoni Kocjan (z prawej) przed odlotem, Warszawa 1934 r.

for. NAC

Wydziale Leśnym w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Studia musiał przerywać z braku pieniędzy – dorabiał korepetycjami i nocną pracą na pocztce. I to na pocztce poznał swoją przyszłą żonę Elżbietę, z którą ożenił się w 1929 roku.

W 1925 roku poznał studentów z Sekcji Lotniczej Wydziału Mechanicznego Politechniki Warszawskiej, w tym Stanisława Rogalskiego, Stanisława Wigurę, Jerzego Drzewieckiego i Jerzego Wędrychowskiego. Przyjaźń z nimi połączyć miała go na wiele lat. Polskie Stowarzyszenie Motoszybowcowe im. Antoniego Kocjana tak opisuje na swojej stronie losy tych jego znajomości: „Gdy w grudniu 1925 roku w podziemiach Nowej Kresłarni powstały Warsztaty Sekcji Lotniczej Koła Mechaników Studentów PW, został ich kierownikiem i wkrótce stał się specjalistą z dziedziny technologii drewnianych konstrukcji lotniczych. W warsztatach budowano konstruowane przez studentów samoloty JD-2, WR-1, PS-1 i RWD. W 1928 roku stworzył w warsztatach Sekcji ślizgacz wodny własnej konstrukcji z napędem śmigłowym”.

### ► Wybuch mody na latanie w przestworzach

Warto napisać parę słów o klimacie tych czasów, w których wybuchła moda na polskie lotnictwo. Film „Epitafium dla Orlów” Adama Sikorskiego rozpoczyna się od słów: „Lotnictwo wybuchło w odrodzonej Polsce wraz z niepodległością. Porwało tysiące młodych, marzycielskich natur syntezą przygody, wiedzy tajemnej i nowoczesności, zerwaniem z niewolniczym przywiązaniem człowieka do dwóch wymiarów”. Polacy stworzeni zostali do latania w przestworzach, tak jak do husarii czy ułańskich wyczynów. Świetnie rozumieli to zaborcy Polski i dlatego Polaków trzymali jak najdalej od samolotów, traktowanych wówczas jako szczególnie niebezpieczny rodzaj uzbrojenia. Gdy więc wybuchła wolność, marzenie o skrzydłach mogło zostać zrealizowane. Cytowany w tym samym filmie as lotnictwa Witold Rychter tak wspominał w swoim pamiętniku wygląd zeszytów szkolnych ówczesnych nastolatków: „Kartki w zeszytach oprócz treści zasadniczej, pokryte były rysunkami wszelkiego typu samolotów, ich wymiarami, układami sterowania, przekrojami silników, konstrukcjami podwozia”.

W 1929 roku Antoni Kocjan ukończył kurs pilotażu, a już w 1930 roku zdobył II nagrodę na Zawodach Młodych Pilotów (pierwszej wówczas nie przyznano). Później uczestniczył w bicju rekor-

dów wysokości na samolotach RWD-2 i RWD-7. Jak pisze Adam Cyra, 16 października 1929 roku przez kpt. Franciszka Żwirkę i Antoniego Kocjana został ustanowiony na samolocie RWD-2 międzynarodowy rekord wysokości, wynoszący 4004 m w klasie samolotów o masie własnej do 280 kg. W tej samej klasie 30 września 1931 roku Jerzy Drzewiecki i Antoni Kocjan pobili kolejny rekord, uzyskując wysokość 6023 m.

W 1931 roku Antoni Kocjan zaprojektował pierwszy szybowiec „Czajka”, używany przez całe lata 30. do szkolenia pilotów. Zaprojektowanym przez siebie szybowcom nadawał często nazwy ptaków lub owadów: „Wrona”, „Sroka”, „Sokół”, „Orlik” oraz „Mewa” i „Komar”. „Największy rozgłos spośród polskich szybowców zdobył Orlik Kocjana, dzięki udziałowi w konkursie na szybowiec olimpijski [...]. Był to pierwszy jednomiejscowy wysokowyczynowy szybowiec stworzony przez Kocjana” – pisze w swojej książce Andrzej Glass.

W 1932 roku Kocjan został głównym konstruktorem Warsztatów Szybowcowych na Polu Mokotowskim. Tu, w skromnych warunkach, opracował wiele doskonałych szybowców. Jego konstrukcje stanowiły podstawę polskiego szkolnictwa szybowcowego przed II wojną światową i miały znaczny udział w polskim sporcie szybowcowym. Od 1935 roku Kocjan projektował także motoszybowce „Bąk”. „Mimo że nie ukończył studiów technicznych, okazał się genialnym konstruktorem szybowców” – pisze Cyra. Skalę jego pracy oddają liczby: spośród 1400 szybowców zbudowanych w Polsce w latach 30., około 700 było konstrukcji Antoniego Kocjana. Szybowce Kocjana eksploatowane były w dwunastu krajach, a na jego licencji budowano je w siedmiu. Na szybowcach tych ustanowiono czterdzieści krajowych rekordów oraz jeden rekord międzynarodowy. Także na motoszybowcu „Bąk” pobito dwa rekordy międzynarodowe.

### ► „Wypredził światową technikę o 25 lat”

„Najbardziej znany jest międzynarodowy kobiecy rekord długotrwałości lotu Wandy Modlibowskiej, 24 godziny i 14 minut, ustalony w 1937 roku na Komarze. W 1949 roku Stanisław Wielgus ustalił rekord 35 godzin i 14 minut, również na Komarze. Orlik III zajął drugie miejsce w konkursie na szybowiec olimpijski w lutym 1939 roku w Rzymie. Na Orliku II, wyeksportowanym do USA, w 1948 roku Paul McCready uzyskał rekordową wysokość 9600 metrów. Na szybowcu tym latano w USA jeszcze w 1981 roku” – wyliczają miłośnicy latania z Pol-

skiego Stowarzyszenia Motoszybowców jego imienia. W 1937 roku Kocjan zbudował wspomniany jednomiejscowy motoszybowiec „Bąk I”, na którym w 1938 roku Michał Offierski pobił dwa rekordy międzynarodowe: wysokości – 4595 metrów i długości lotu – 5 godzin i 24 minuty.

„Kocjan był pierwszym konstruktorem na świecie, który zbudował w pełni udany motoszybowiec – tym samym wyprzedził światową technikę o 25 lat” – czytamy. Następny był dopiero francuski Fournier RF-3 z 1963 roku. „W 1938 roku powstał Bąk II (z silnikiem o mocy 32 KM). Na nim Tadeusz Derengowski wykonał w 1939 roku

rozwiązań aerodynamicznych”. Wspomniany pilot Michał Offierski pisał o tym tak: „Kocjan miał prywatne hobby, nabył działkę, częściowo zalesioną, pod Warszawą. Lubił tam odpoczywać. Twierdził, że potrzebował tego dla »naładowania akumulatorów«. Miał tam lokatorów: dziecięły, jaszczurki i owady. Kiedyś pokazywał mi trzmieła, mówiąc, że to jest najbardziej pracowity z owadów i trudno go spotkać w spoczynku”.

Mimo sukcesów odnoszonych w stolicy, nie przestał być chłopakiem Olkusa, przywiązany do rodziny i małej ojczyzny. „Zachował więc z rodziną. Jest wiadome, że zawsze, kiedy tylko była

## NA POCZĄTKU 1940 ROKU KOCJAN ZAANGAŻOWAŁ SIĘ W DZIAŁALNOŚĆ KONSPIRACYJNĄ W ORGANIZACJI „MUSZKIETEROWIE”, ZAJMUJĄCEJ SIĘ WYWIADEM LOTNICZYM, W TYM OPRACOWYWANIEM DANYCH O NIEMIECKIEJ INFRASTRUKTURZE LOTNICZEJ.

lot długości 4500 kilometrów na trasie Warszawa – Tallin – Warszawa – Wiedeń – Rzym, zajmując drugie miejsce w Międzynarodowym Zlocie Dziennikarzy Lotniczych w Rzymie” – wyliczają miłośnicy latania.

### ► Trzmieł, najbardziej pracowity z owadów

Czasopismo religijne „Królowa Różańca Świętego” pisze o innej twarzy Antoniego Kocjana – człowieka, dla którego ważna była wiara, a także działalność społeczna na rzecz biednych: „Jego wiara, pozornie mało widoczna, w rzeczywistości była silna i głęboka. Zawsze kierował się dobrem innych, darzył życzliwością i szacunkiem wszystkich swoich współpracowników, szczególnie tych najbardziej potrzebujących. W swoich zakładach organizował system samopomocy, w trudnych sytuacjach życiowych wspierał pracowników nie tylko dobrą radą, ale także pomocą finansową”.

Kochał także przyrodę i to wyjaśnia zagadkę nazw projektowanych przez niego szybowców: „Ten miłośnik przyrody nie mało troski poświęcał kotom-przybłędom, miał także słabość do kwiatów doniczkowych, uważając kwiaty cięte za... »zgilotynowane«. Sporo czasu spędzał na łonie przyrody, szczególnie na obserwacji owadów i ptaków. Dostarczało mu to inspiracji do nowych

ku temu okazja, leciał nad Skalskie i Olkusz, by obejrzeć z lotu ptaka rodzinny dom i pola... Rozwijanie talentów i ofiarna praca przynosiły wspomniane owoce. Oszalamiające sukcesy nie zawróciły mu w głowie” – czytamy w „Królowej Różańca Świętego”.

Profesor Wiesław Stępniewski, aerodynamik śmigłowcowy, pisał o nim tak: „Kocjan miał w swej karierze technicznej piękne osiągnięcia, lecz droga, którą szedł do nich, nie była łatwa. Była to droga nieustannego wysiłku i walki. Cały swój czas dzielił pomiędzy sprawy techniczne i wieczne kłopoty finansowe. Umiał pokonać jedno i drugie, lecz jego czas był tak dokładnie wypełniony tymi dwoma sprawami, iż bardzo go mało pozostawało na sen. Małego wzrostu, cichy i raczej zażenowanie nieśmiały w obejściu, umiał przecież z niezwykłym wprost uporem i wolą dążyć do wytkniętych sobie celów”. Plany miał bogate: w 1939 roku powstał projekt wersji seryjnej „Bąka II” o rozpiętości zmniejszonej z 12,2 metrów do 10,7 metrów. Wszystko przekreśliła wojna.

### ► Ślusarz z Auschwitz

Po wybuchu wojny zarządzona została ewakuacja Warsztatów Szybowcowych z lotniska na Mo-

kotowie w Warszawie do Lublina, w której wziął udział Antoni Kocjan. W czasie niemieckiego nalotu został ranny. Na początku października Kocjanowie wrócili do Warszawy. Nie był to wesoły powrót – zarówno swoje mieszkanie, jak i warsztaty zastali zniszczone.

Na początku 1940 roku Kocjan zaangażował się w działalność konspiracyjną w organizacji „Muszkieterowie”, zajmującej się wywiadem lotniczym, w tym opracowywaniem danych o niemieckiej infrastrukturze lotniczej. 19 września 1940 roku został niespodziewanie zatrzymany podczas wielkiej łapanki ulicznej w Warszawie. Trafił na Pawiak, skąd w nocy z 21 na 22 września przywieziony został wraz z transportem więźniów do KL Auschwitz. Był w nim także wspomniany rotmistrz Witold Pilecki.

W Auschwitz Kocjan pracował w obozowej ślusarni. Jak pisze Adam Cyra, przebywał w bloku nr 10, a później numer 8a. Rok później jego przyjaciółm udało się doprowadzić do jego zwolnienia. W niemieckich warsztatach samochodowych Techno-Service pracował wówczas inżynier Witold Rychter wraz z koleżanką, która w Związku Walki Zbrojnej zajmowała się wyciąganiem ludzi z rąk okupanta. Wykorzystali oni fakt, że Niemcy bardzo potrzebowali specjalistów do przemysłu zbrojeniowego.

### ► Granaty i pistolety

Już we wrześniu 1941 roku Kocjan wrócił do pracy konspiracyjnej, zajmując się m.in. produkcją granatów i naprawą pistoletów. Na podstawie fałszywych dokumentów zamawiał części do broni dla AK w... niemieckich warsztatach! A w budynku jego warsztatów szybowcowych powstała tajna drukarnia wojskowa, która była największą drukarnią konspiracyjną w okupowanej Polsce.

„Nieliczni konstruktorzy lotniczy pozostali w Warszawie i dlatego umiejętności Kocjana były szczególnie ważne dla wywiadu przemysłowego AK. Podjął się tego zadania, zostając szefem Referatu Lotniczego, działającego w strukturach tzw. Biura Studiów Przemysłowo-Gospodarczych” – pisze o jego roli Cyra. Jak wyjaśnia, było ono zorganizowane w ten sposób, że meldunki na temat niemieckiego lotnictwa zbierały lokalne komórki AK, przez obwody i okręgi AK docierały one do II Oddziału (wywiad) Komendy Głównej AK, która przekazywała je do Biura Studiów Przemysłowo-Gospodarczych, a stąd te, które dotyczyły produkcji i badań lotniczych, kierowane były do Referatu Lotniczego, którym zaczął kierować Antoni Kocjan. „Do jego zadań należało ustalenie lokalizacji

zakładów niemieckich, związanych z produkcją lotniczą, aby mogły być w przyszłości zbombardowane przez lotnictwo alianckie” – czytamy.

### ► Tajemnicze torpedy powietrzne

I tu dochodzimy do wydarzeń, w których Antoni Kocjan odegrał historyczną rolę. Jak pisze cytowany historyk, do Referatu Lotniczego zaczęły napływać meldunki o nowej broni – „torpedach powietrznych”. Pomorskiemu wywiadowi AK zlecono ustalenie, gdzie znajdują się wytwórnie i poligony tej nowej broni. Wszystkie uzyskane informacje trafiały do Kocjana, który docenił ich wagę i przekazywał je rządowi londyńskiemu.

Pierwsza informacja trafiła do Londynu w meldunku miesięcznym z końcem lutego 1943 roku. Kocjan następny meldunek wysłał drogą radiową i przez kurierów do sztabu gen. Sikorskiego w marcu 1943 roku. Szef Referatu informował, że w Peenemünde na wyspie Uznam powstał raketowy poligon doświadczalny. I że hitlerowcy prowadzą próby z samolotami o napędzie raketowym.

Jakie te meldunki miały znaczenie? Adam Cyra pisze: „Anglicy aż do wiosny 1943 r. o Peenemünde niewiele wiedzieli, a wszelkie informacje na ten temat traktowali jako przesadzone. Dopiero 20 kwietnia tegoż roku zmienili zdanie i ppłk Duncan Sandys, który był zięciem angielskiego premiera Winstona Churchila, został mianowany na stanowisko eksperta i koordynatora do spraw niemieckich rakiet dalekiego zasięgu. Ten polecił wykonać zdjęcia lotnicze Peenemünde, a następnie w czerwcu 1943 r. opracował raport na ten temat i zreferował go Komitetowi Obrony, któremu przewodniczył premier Churchill”. Brytyjczycy podjęli wówczas decyzję o przeprowadzeniu najcięższego bombardowania Peenemünde. Doszło do tego z użyciem 597 bombowców brytyjskich w nocy z 17/18 sierpnia 1943 roku. Zginęło w nim 735 osób, w tym – niestety – 213 więźniów (wśród nich 91 Polaków). Dla Niemców była to klęska i działalność ośrodka została poważnie ograniczona. Kocjan za wykrycie Peenemünde został awansowany na podporucznika AK.

Pracę wywiadowczą kontynuował. Jak pisze historyk, w sierpniu 1943 roku poziome sztolnie-korytarze w górach Harzu koło Nordhausen otrzymały nazwę „Dora” i stały się filią obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. To tu powstać miały rakiety V-2. Kocjan czuwał. Meldunki z lutego i marca 1944 roku mówiły o produkcji ciężkich rakiet w podziemnych zakładach „Dora” koło Nordhausen. W październiku 1944 roku

„Dora” stała się samodzielnym obozem koncentracyjnym, gdzie więźniowie pracowali m.in. przy produkcji rakiet. Pracowały tam 32 tysiące więźniów.

### ► Uratował tysiące ludzkich istnień

Jak bardzo wartościowe były pozyskane przez Kocjana informacje? Pewne wyobrażenie dają nam cytowane na początku słowa Eisenhowera: „Gdyby Niemcom udało się udoskonalić nową broń V, V-2, sześć miesięcy wcześniej, nasza inwazja na Europę napotkałaby na ogromne trudności. Ba, nawet w pewnych okolicznościach stałaby się niemożliwa”.

Bombardowanie Peenemünde opóźniło użycie broni odwetowych „V” aż o pół roku. O stawce tej gry mówią wiele dane, które podaje Adam Cyra: „Kiedy 6 czerwca 1944 r. rozpoczęto inwazję na wybrzeża we Francji, Niemcy nie byli w stanie użyć przeciw niej broni »V«. Dopiero kilka dni później, 12 czerwca, udało się wystrzelić pierwsze dziesięć pocisków V-1, z których cztery dotarły do Londynu. Do po początku jesieni 1944 r. skierowano na Anglię ponad dwa tysiące V-1. Na Londyn ostatni wystrzelony pocisk V-1 spadł 29 marca 1945 r. Straty spowodowane na Wyspach Brytyjskich przez V-1 wyniosły około 6 tysięcy zabitych i około 20 tysięcy rannych. V-2 po raz pierwszy użyto 8 września 1944 r.”. Zbombardowana rakietami V1 została także belgijska Antwerpia, w której stronę wystrzelono około 9 tysięcy rakiet. Skutek: około 7 tysięcy zabitych i około 20 tysięcy rannych. Tymczasem wywiad AK działał dalej. 20 maja 1944 roku nad Bugiem w okolicach wsi Klimczyce spadła rakietą V-2, którą udało się przejąć żołnierzom AK. Komórka Kocjana sporządziła jej dokumentację, a także wymontowała najcenniejsze elementy. Anglicy zareagowali na tajną depeszę radiową: „Po zdobyciu części rakiety wysyłamy samolot do Polski”. W nocy brytyjski samolot wylądował potajemnie pod Tarnowem i zabrał bezcenną przesyłkę. Dzięki temu Brytyjczycy poznali rangę zagrożenia.

### ► Nie wiedzieli, kogo złapali

Tymczasem zdobycie niemieckiej rakiety zbiegło się z aresztowaniem Kocjana. Ale nie z powodu działalności wywiadowczej, tylko w wyniku namierzenia drukarni, mieszczącej się, jak pamiętamy, w spalonych warsztatach szybowcowych.

Kocjan ze śledztwa wyszedł początkowo obroną ręką. Tłumaczył się, że nie miał z drukarnią

nic wspólnego. 12 czerwca udało się wykupić z aresztu jego żonę. Ale wtedy zdarzyła się tragedia. „Niestety, Antoni tragicznym zbiegiem okoliczności, został zdekonspirowany jako konstruktor granatów. Rozpoczęły się wielogodzinne przesłuchania i nieludzkie, kilkutygodniowe tortury. Jego ciało tworzyło jedną, wielką ropiejącą ranę, a on sam z bólu nie miał siły ani jeść, ani spać. Mimo to mężnie zachowywał milczenie, nie ujawniając hitlerowcom żadnych informacji. Oprawcy nawet nie domyślali się, że ich więźniem jest człowiek, który wbił gwóźdź do trumny III Rzeszy” – czytamy w czasopiśmie „Królowa Różańca Świętego”.

Zamordowany został w czasie Powstania Warszawskiego – 13 sierpnia 1944 roku w grupie czterdziestu ostatnich więźniów Pawiaka. Do dziś nie wiemy, gdzie znajdują się jego szczątki. Pośmiertnie odznaczony został Srebrnym Krzyżem Orderu Virtuti Militari.

### ► Szybowce rozrzucone po świecie

W 2011 roku IPN wydał książkę Bogusława Szwego „Na bieżni i w okopach. Sportowcy odznaczeni Orderem Wojennym Virtuti Militari 1914–1921 i 1939–1945”. Historyk ustalił jego numer obozowy. Na tej podstawie udało się zidentyfikować Kocjana na zdjęciu obozowym.

Trwają zabiegi na rzecz godnego upamiętniania Antoniego Kocjana w miejscach z nim związanych. Przed gmachem Politechniki Warszawskiej stoi pomnik Akcji V-1 i V-2 z jego nazwiskiem. Jego imię nosi zespół szkół w jego rodzinnym Olkuszu, a także ulice w Warszawie, Olkuszu i Mielcu. W wielu muzeach są szybowce jego konstrukcji. W Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie znajdują się dwa – „Wrona” i „Komar”. W Israel Air Force Museum w Haterim stoi „Wrona”, a w jednym z amerykańskich muzeów „Orlik II”.

„Kiedyś, podczas pobytu w domu, ufundował figurę Maryi, która stoi w tym samym miejscu już od ponad 80 lat. Rodzinna chata została już niestety rozebrana, ale dobrą wiadomością jest to, że została wiernie odtworzona w sąsiedztwie ruin zamku rabsztyńskiego, położonego 3 kilometry dalej. Za to figura Maryi w dobrym stanie wciąż pozostaje na dawnym miejscu, dając świadectwo wiary Antoniego Kocjana” – czytamy w „Królowej Różańca Świętego”. „Chatę Kocjana”, w której znajduje się stała ekspozycja pamiątek po nim, podlegającą Miejskiemu Ośrodkowi Kultury w Olkuszu, można od niedawna zwiedzać. Bilet normalny kosztuje dwa złote, a ulgowy złotówkę. ■

Dariusz Jarosiński



# MÓWIŁEM DO WAS CO WIECZÓR

Siedemdziesiąt lat temu, 12 stycznia 1949 roku, w polskich radioodbiornikach na falach krótkich 32.02 o godzinie 18.30 pojawił się głos spikera: „Tu mówi Radio Madryt”. Była to pierwsza audycja pierwszej stacji radiowej polskiej emigracji, która komunikowała się z Polakami żyjącymi pod sowiecką okupacją. W 1975 roku ta niezwykle zasłużona stacja w walce z komunistyczną propagandą, w demaskowaniu komunistycznego zakłamania została zamknięta. Tworzyli ją ludzie sercem i duszą oddani Polsce, ludzie niezłomni. Jednym z nich był Józef Łobodowski.

**D**ecyzję o powstaniu Radia Madryt, polskiej sekcji Radio Nacional de España, podjął obojętnie generał Francisco Franco. Generał darzył Polaków dużą sympatią, jako że sam był katolikiem i antykomunistą, cenił nasze przywiązanie do religii katolickiej, patriotyzm, antykomunizm. Hiszpania jako jedno z nielicznych państw nie uznawała rządu utworzonego przez Stalina w Polsce – w przeciwieństwie choćby do Anglii, Francji czy USA – a utrzymywała stosunki dyplomatyczne z Rządem RP na uchodźstwie w Londynie. Notabene na falach Radio Nacional de España nadawane były w późniejszym okresie również audycje w innych językach krajów znajdujących się w strefie okupacyjnej Sowietów. Władze hiszpańskie nie ingerowały w treść programów emitowanych przez polski zespół redakcyjny. Jedynie w okresie, kiedy trwały poufne rozmowy rządu hiszpańskiego z Moskwą w sprawie powrotu jeńców hiszpańskich z sowieckich łagrów, poproszono polską rozgłośnię o powściągnięcie ataków na Sowietów.

### ► Głos do krajów okupowanych przez Sowietów

Warto choćby wspomnieć, w jakich okolicznościach politycznych powstała polska audycja w Radio Nacional de España. W kwietniu 1939 roku, po blisko trzech latach, zakończyła się w Hiszpanii bratobójcza wojna między siłami republikańsko-rewolucyjnymi wspieranymi przez Moskwę i Międzynarodówkę Komunistyczną a narodowo-konserwatywnymi, na czele których stał m.in. gen. Francisco Franco. W czasie trwania wojny domowej komuniści dopuszczali się potwornych zbrodni, m.in. palili kościoły, zabijali i torturowali duchownych, gwałcili siostry zakonne – zamordowali ponad 7 tys. księży, braci i siostr zakonnych. Generał Franco odniósł zwycięstwo nad Stalinem i uratował od komunizmu nie tylko Hiszpanię, lecz także Europę. Do dzisiaj pokutuje przekaz komunistycznej propagandy, wedle której komunistyczni i lewacy mordercy byli pozytywnymi bohaterami, a hiszpańscy patrioci, katolicy, obrońcy chrześcijaństwa i konserwatywnego ładu społecznego, na których czele stał gen. Franco, reprezentowali największe zło tego świata. Sam generał przedstawiany był i nadal jest jako krwawy despot. Fałszywy, zmanipulowany obraz hiszpańskiej wojny domowej kształtował m.in. Ernest Hemingway. Według byłego agenta CIA, Nicholasa Reynoldsa, pisarz, autor powieści „Komu bije dzwon”, laureat Literackiej Nagrody Nobla, był za czasów rządów Stalina sowieckim szpiegiem o pseudonimie „Argo”.

Mimo nalegań Adolfa Hitlera i Benito Mussoliniego, gen. Franco nie dał się wciągnąć do wojny po stronie państw Osi. Hiszpański dyktator nie ufał Niemcom, bardzo krytycznie oceniał zawarcie paktu Ribbentrop-Mołotow i zaatakowanie Polski. Polskę darzył szacunkiem

m.in. za powstrzymanie bolszewickiej nawały w 1920 roku. Franco prowadził rozważną i pragmatyczną politykę – nie mógł sobie pozwolić na publiczną krytykę Hitlera, którego prywatnie nie znosił. Hiszpania pozostała w czasie II wojny światowej neutralna, po wojnie gen. Franco wprowadził system polityczny zwany „frankizmem”, przez komunistów określany jako „faszystowski”, prof. Marek Jan Chodakiewicz określił go „konserwatywnie republikańskim lub liberalnie monarchistycznym”. Dzięki roztropnej i konsekwentnej polityce gen. Franco wyprowadził Hiszpanię z zapaści ekonomicznej. Hiszpański dyktator zmarł w listopadzie 1975 roku. 20 grudnia 1975 roku polska audycja została zlikwidowana, a w 1977 roku Hiszpania nawiązała stosunki dyplomatyczne z PRL.

Misję utworzenia stacji radiowych emitujących audycje do krajów okupowanych przez Sowieci gen. Franco powierzył ojcu Santiago Morillo, jezuitcie, który przez kilka lat przed wojną pracował w Papieskim Seminarium Wschodnim w Polsce, w Dubnie, w województwie wołyńskim. Ojciec Santiago Morillo był osobą wszechstronnie wykształconą, świetnie orientował się w problemach krajów Europy Środkowej i Wschodniej, posiadał wręcz nadzwyczajne zdolności językowe, znał osiemnaście języków, w tym słowiańskie. Z jego inicjatywy powstały studia sławistyczne na Uniwersytecie w Madrycie.

Ważną rolę w powołaniu polskiej rozgłośni Radio Nacional de España odegrali polscy dyplomaci, którzy prowadzili rozmowy z ojcem Morillo, a mianowicie były ambasador Marian Szumlakowski, dyplomata, poseł RP w Madrycie, hrabia Józef Alfred Potocki, a także radca do spraw kultury w Poselstwie Polskim, Henryk Łubiński.

### ► „Prowadźcie audycje, jak chcecie”

Radio Madryt do końca swego istnienia uznawało Rząd RP na uchodźstwie w Londynie za jedyne prawowite, nie godziło się z utratą Kresów Wschodnich II RP, wspierało polski Kościół katolicki w walce z laicyzacją i sowietyzacją, w zmaganiach o zachowanie narodowej tożsamości. Publicyści Radia Madryt w wypowiadaniu swoich poglądów mieli dużo więcej swobody niż publicyści Polskiej Rozgłośni Wolna Europa, więc nie oszczędzali w krytyce Stanów Zjednoczonych czy krajów Europy Zachodniej za zbytnią uległość wobec Sowieci, za hipokryzję, stosowanie podwójnych standardów w polityce zagranicznej. Spośród wszystkich zachodnich stacji radiowych nadających w języku polskim – wspomnianego Radia Wolna Europa, Głosu Ameryki, BBC czy Sekcji Polskiej Radia Francuskiego – Radio Madryt posiadało największą autonomię. „Prowadźcie audycje, jak chcecie, byle wasza propaganda zadziałała w kraju” – mieli mówić Hiszpanie polskim dziennikarzom Radia Madryt wedle Józefa Łobodowskiego.

Od wielu lat powstają liczne opracowania naukowe, publicystyczne, wspomnienia na temat uruchomionej w 1952 roku Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, niewątpliwie najbardziej popularnej stacji radiowej wśród stacji nadających z Zachodu do Polski, a Radio Madryt jest niemal wymazane z pamięci historycznej – bez większej przesady można by rzec, że jest jak ongiś, przed kilkudziesięciu laty, za komuny, zagłuszane. Nadal nasza wiedza o Radiu Madryt, o ludziach je tworzących jest niewielka. W 2011 roku ukazała się jedyna jak dotąd zwała publikacja naukowa poświęcona tej stacji radiowej pt. „Radio Madryt 1949–1955”. Jest to wydanie książkowe pracy magisterskiej Magdaleny Bogdan z Uniwersytetu Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Polska sekcja Radio Nacional de España funkcjonowała w latach 1949–1975, publikacja Magdaleny Bogdan obejmuje tylko pierwszy okres jej działalności.

Radio Madryt w porównaniu do Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, będącej dużą instytucją, dysponującą dużymi finansami amerykańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA), było małą stacją, ale silną duchem, determinacją walki z bolszewią, walczącą o polską rację stanu, o prawdę. Tam nie mieli prawa przedostać się tajni współpracownicy czy funkcjonariusze komunistycznej bezpieki, tam nikt nie proponował socjalizmu z ludzką twarzą, tam nie zabierali głosu pezetpeerowscy rewizjoniści. W Radiu Madryt nie głoszone możliwości porozumienia się z komunistami, bo wszyscy publicyści, na czele z Józefem Łobodowskim, wiedzieli, że z komunistami nie zawiera się kompromisów – z komunistami się walczy.

Szkoda, że stacji tej zabrakło w okresie tworzenia się nowego porządku europejskiego w latach 80., kiedy wyzerpał się podział wpływów ustalony w Jalcie. Dużą popularnością cieszyła się wówczas Rozgłośnia Polska RWE kształtująca poglądy radiosłuchaczy w Polsce, przygotowująca Polaków do nowego rozdania politycznego, do dealu komunistów z częścią tzw. opozycji demokratycznej, z agenturą komunistycznych służb. To nie przypadek, że 1 stycznia 1988 roku władze PRL przestały zagłuszać audycje RWE, że na antenie prezentowane były jedynie poglądy lewicowych polityków opozycji i tzw. liberalów pezetpeerowskich. W latach 80. karierę w Rozgłośni Polskiej RWE robiły takie osoby, jak Zdzisław Najder, według dokumentów IPN zarejestrowany przez SB jako TW „Zapalniczka”, w latach 1982–1987 dyrektor rozgłośni: Jacek Kalabiński, filar peerelowskiej propagandy z lat 70.; Piotr Mroczek, ostatni dyrektor Rozgłośni Polskiej RWE (1989–1994), według dokumentów IPN zarejestrowany przez SB jako TW „69”. Notabene ojciec Piotra Mroczyka, Czesław, według dokumentów był tajnym współpracownikiem UB i SB o pseudonimie „Robert”, przestał pracować dla SB jedynie „z powodu braku możliwości”. W latach 1987–1989 dyrektorem Rozgłośni Pol-

skiej był Marek Łatyński, za którego kadencji dzienniki warszawskiego i monachijskiego radia niewiele właściwie się różniły. Łatyński chwalił na przykład bezkrytycznie reformy sowieckiego sekretarza Michała Gorbaczowa – reformy, których tak naprawdę nie było.

Józef Darski (Jerzy Targalski), były dziennikarz tejże stacji radiowej, nazwał w grudniu 1988 roku rozgłośnię RWE „warszawską rozgłośnią nadającą z Monachium”. W liście do Marka Łatyńskiego pisał m.in. „[...] w ciągu prawie dwu lat sprawowania przez Pana kontroli politycznej nad programami polskimi RWE z wielką konsekwencją nadał jej Pan charakter potężnego narzędzia komunistycznej dezinformacji i uspokajania społeczeństwa. Pod Pana kierownictwem Rozgłośnia nie przedstawiała różnych punktów widzenia, jak działało się to jeszcze za Zygmunta Michałowskiego, lecz prowadziła własną politykę, której podstawowe cele i zasady zdążył jeszcze wytyczyć przed usunięciem ze stanowiska Pana poprzednik Zdzisław Najder. Wzorem dla nich stała się linia polityczna wypracowana w latach 1960 przez ówczesnego kierownika Rozgłośni Jana Nowaka. Rozgłośnia wówczas i teraz adresuje swe posłanie przede wszystkim do aparatu władzy partii komunistycznej i dobrowolnie występuje w roli orędownika jednej z wymaginowanych frakcji komunistycznych przeciw innej”.

### ► „Żmija z Madrytu”

Do 1955 roku Radiem Madryt kierował Karol Wagnier-Pieńkowski, dopóki nie został podkupiony przez Jana Nowaka-Jeziorańskiego do Radia Wolna Europa. Był to doświadczony radiowiec – przed wojną spiker Polskiego Radia, kierownik audycji w językach obcych, w czasie wojny dziennikarz sekcji polskiej BBC, dyrektor Departamentu Radiowego Rządu RP na Uchodźstwie. W 1955 roku szefostwo Radia Madryt objął Wojciech Saryusz-Zaleski, ekonomista, publicysta, dziennikarz, przed wojną związany z ONR-ABC. Po jego śmierci w 1960 roku radiem dowodził Ludwik Krajewski, a jego zastępcą został poeta, pisarz, publicysta Józef Łobodowski, znakomity tłumacz poezji hiszpańskiej, ukraińskiej, białoruskiej i rosyjskiej.

Bez wątpienia Józef Łobodowski był najważniejszą postacią Radia Madryt, nieprzeciętną osobowością, erudytą, świetnym analitykiem rzeczywistości społeczno-politycznej, zdecydowanym antykomunistą. To jego autorstwa była większość tekstów prezentowanych na antenie, komentarzy prasowych, gawęd, to on nadawał temu radiu charakter i gwarantował wysoki poziom merytoryczny i literacki audycji.

Pierwszą spikerką Radia Madryt była Karolina Babecka, z urodzenia warszawianka, nazywana przez przyjaciół Linką. Miała 27 lat, kiedy zaczynała pracę spikerki. Rodzina Linki, której matka pochodziła z Katalonii, wyemigro-

wała po napaści Niemiec na Polskę do Hiszpanii, ale zawsze poczuwała się do obowiązków wobec ojczyzny. Ojciec, Juliusz Babecki, pełnił m.in. funkcję szefa Polskiego Czerwonego Krzyża w Madrycie. Karolina Babecka ukończyła studia w Barcelonie, w czasie studiów pomagała pracownikom polskiego konsulatu honorowego organizować przerzut polskich żołnierzy. W komunistycznej prasie zyskała określenie „żmija z Madrytu”. W 1952 roku Karolina Babecka odeszła z Radia Madryt, a jej miejsce zajął brat Andrzej. Przez dziesięć lat spikerem madryckiego radia był Mirosław Sokółowski, pracę w rozgłośni podjął jeszcze jako student medycyny, później był wziętym lekarzem kardiologiem.

W 2013 roku, w wieku 91 lat, zmarł w Madrycie redaktor Kazimierz Tylko-Dobrzański, najbliższy przyjaciel Józefa Łobodowskiego, dziennikarz sportowy, tłumacz, uczestnik kampanii 1939 roku, żołnierz AK. Kazimierz Tylko-Dobrzański był niezwykle utalentowanym człowiekiem, dziennikarzem, oprócz prowadzenia kroniki sportowej podejmował też w Radiu Madryt tematy obyczajowe i religijne. Wielokrotnie ujawniał swoje talenty, pasje – organizował i prowadził chóry akademickie i kościelne; pod jego kierunkiem powstała drużyna piłki siatkowej Realu Madryt, która dwukrotnie zdobyła tytuł mistrza Hiszpanii. Był osobą głęboko wierzącą, nazywano go „sercem Polskiej Misji Katolickiej”. Jego żoną była Amelia Bolivar, nieprzeciętnej urody Hiszpanka pochodząca z rodziny Simona Bolivara, wyzwoliciela Ameryki Południowej.

Sekretarzem polskiej sekcji Radia Hiszpańskiego był Stanisław Rylski-Rymaszewski, notabene sekretarz Poselstwa RP w Madrycie. Rylski-Rymaszewski był przed wojną jednym z założycieli Polskich Linii Lotniczych LOT. W PLL LOT odpowiadał za finanse, prowadził buchalterię, podobna rola przypadła mu w madryckiej rozgłośni. Dużą rolę odgrywał w radiu i w życiu polskiej diaspory w Hiszpanii ks. Marian Walorek (1912–1988), który pochodził z archidiecezji poznańskiej. Po uwolnieniu z obozu koncentracyjnego w Dachau w 1945 roku pozostał na Zachodzie. Otaczał opieką duszpasterską Polonię hiszpańską, w 1949 roku zorganizował w Madrycie polską parafię rzymskokatolicką (erygowaną kanonicznie w 1984 roku) oraz Polską Misję Katolicką. W Radiu Madryt prowadził niedzielne pogadanki religijne. W 1953 roku po aresztowaniu przez komunistów prymasa Stefana Wyszyńskiego zorganizował wspólnie z Akcją Katolicką w Madrycie procesję różańcową z udziałem około 100 tysięcy osób.

### ► Antykomunizm we wszystkich formach

„Nieliczna kolonia polska w Madrycie bardzo się zespoliła i urosła w siłę w 1949 r., gdy powstała Audycja Polska Narodowego Radia Hiszpanii – Audycja ta zapisała

się złotą czcionką w historii Polski i Polonii, jak słusznie twierdzą jej twórcy, a dzięki niej Madryt stał się jednym z ważniejszych ośrodków życia emigracyjnego, oddziałując na kraj i na Polaków rozproszonych po świecie” – pisała Irena Szypowska w artykule „Nagle urodzona miłość (J. Łobodowski w Hiszpanii)” zamieszczonym w „Archiwum Emigracji. Studia, szkice, dokumenty”, nr 2, 1999.

Hrabia Józef Potocki streścił krótko kierunek polityczny polskiej audycji Radia Hiszpańskiego: „1) antykomunizm we wszystkich formach odpowiednio dostosowany do potrzeb polskiego terenu, 2) przypomnienie i obrona wielkich wartości i zasad we wszelkich dziedzinach życia i m.in. w stosunkach i polityce międzynarodowej”.

Zespół redakcyjny Radia Madryt szczegółowo informował o pracach rządu RP w Londynie i jak stwierdzał Karol Wagner-Pieńkowski, „śledząc wypadki w Kraju oraz prasę z całego świata, nie wyłączając komunistycznej, dążyliśmy do dania słuchaczom tego, czego szczególnie potrzebują, a więc drogowskazu i podtrzymania religijnego i duchowego uczucia, że mają oni w nas obrońców głoszących światu prawdę o ich sytuacji, wreszcie przekonania, że potrafimy zwalczać komunistów właściwą, mocną, czasem dosadną argumentacją i w ten sposób piętnować ich postępowanie”.

Radio Madryt posiadało skromne możliwości finansowe i skromny zespół redakcyjny. Nadawało przez pół godziny dziennie. Audycja składała się z biuletynu informacyjnego, komentarza prasowego i pogadanki. Biuletyn i dwie pogadanki tygodniowo przygotowywał Marian Szumlakowski. Józef Łobodowski był autorem komentarzy prasowych i pogadanek. Pogadanki tworzyli również hrabia Józef Potocki i ks. Marian Walorek. Hiszpanie nie wpływali na treść polskich audycji. Nasi dziennikarze informowali Polaków w kraju o działalności hiszpańskiego rządu gen. Francisco Franco. Pod koniec 1951 roku Radio Madryt nadało przemówienie hiszpańskiego dyktatora, w którym wyrażał się z dużą życzliwością o Polakach. Przed mikrofonem Radia Madryt wypowiadali się i komunikowali z Polakami w kraju prezydent August Zaleski, generał Tadeusz Bór-Komorowski, generał Władysław Anders.

W 1965 roku Hiszpanie przedłużyli czas nadawania audycji polskiej do całej godziny. Nadawana była od tej pory między 19.30 a 20.30, a powtarzana między 9.00 a 10.00 oraz 15.30 a 16.30.

Do redakcji Radia Madryt przychodziło codziennie po kilkanaście listów od radiosłuchaczy z Polski, ludzie pisali o swoich problemach, wyrażali zadowolenie z istnienia „prawdziwie polskiego radia” w Madrycie. Dzisiejsza młodzież nawet nie ma pojęcia, w jakim napięciu emocjonalnym słuchało się ongiś zachodnich stacji radiowych w języku polskim, zagłuszanych potwornie, że ledwo rozumiało się co któreś słowo. Za słuchanie tych stacji – czy to Radia Madryt, czy Radia BBC, Wolnej

Europy lub Głosu Ameryki – można było pójść nawet do więzienia i nie były to wcale tak rzadkie przypadki.

Maria Dąbrowska zanotowała w „Dziennikach powojennych” pod datą 15 kwietnia 1949 roku: „Słyszałam charakterystyczną anegdotkę opowiedzianą przez Jana Kotta (człowieka partii i jednego z filarów umysłowych ustroju). Na jakimś odczycie w Żaganiu czy w innym miasteczku w dyskusji ktoś ze słuchaczy zapytał, co dzieje się z poetą Łobodowskim. »Przypadkiem wiem – odpowiedział Kott. – Jest w Hiszpanii Frankistowskiej i przez radio wygłasza paszkwile na Polskę demokratyczną«. Na to w sali odezwali się dwa głosy pytając: »O której godzinie?«”.

## ► Señor lobo

Osobą nadającą ton redakcji madryckiemu radiu był, jak już wspominałem, poeta, pisarz Józef Łobodowski. Osoba niezwykle barwna, obdarzona wieloma talentami, z olbrzymim temperamentem, bardzo lubiana przez Polonię hiszpańską i przez Hiszpanów, którzy mówili o nim señor lobo (lobo znaczy po hiszpańsku wilk). Należał do najważniejszych postaci polskiej kultury XX stulecia. Wybitny poeta, przeszedł ewolucję ideową od naiwnego komunizowania w okresie międzywojennym do zdecydowanego antykomunizmu.

Pisarz nie ograniczał się do pracy w Radiu Madryt, współpracował z wieloma pismami emigracyjnymi, m.in. londyńskimi „Wiadomościami”, publikując cykl felietonów „Worek Judaszów”. Na łamach „Wiadomości” dochodziło do ciekawych polemik między dwoma erudytami, antykomunistami Józefami – Łobodowskim i Mackiewiczem. Był nade wszystko poetą, cenionym jeszcze przed wojną, w 1937 roku otrzymał Nagrodę Młodych Polskiej Akademii Literatury. W ubiegłym roku ukazały się w wydawnictwie „Test” niepublikowane do tej pory powieści tworzące trylogię: „Komysze”, „W stancji” i „Droga powrotna”. Łobodowski wiele sił i energii poświęcał na budowanie polsko-ukraińskiego dialogu.

„Lubił pracę w radio [Łobodowski – przyp. D.J.] – wspominała Irena Szypowska. [...] Bardzo go to cieszyło, bardzo lubił przemawiać. Wyobrażał sobie, że przemawia do tych Polaków, którzy mimo wszystko, mimo zagłuszania, mimo zakazów słuchają go. Przecież ta audycja była wcześniejsza niż Wolna Europa. Była niegdyś bardzo popularna. Jego tubalny głos wszyscy rozpoznawali. Radio dawało środki do utrzymania; cóż, nie tak łatwo utrzymać się z twórczości. Potem, niestety, kiedy w 1975 roku Radio Madryt zostało zamknięte, otrzymywał bardzo mizerną emeryturę, której wartość coraz bardziej malała i miał trudności finansowe, zwłaszcza że bardzo nieumiejętnie gospodarował swoimi przychodami. Jak miał pieniądze, to na przykład kupował piękny model statku zatopiony w butelce. Zbierał te modele. Potem je oczywiście sprzedawał, bo musiał z czegoś żyć. Albo kupował rower swojemu chrześniakowi”.

Łobodowski namawiany był przez Amerykanów do przejścia do Radia Wolna Europa, ale ponad pieniądze cenił sobie bardziej niezależność i wolność. W liście do Jerzego Giedroycia pisał: „nie bardzo mi się uśmiecha porzucenie Hiszpanii. Poza tym obawiam się, że praca z Amerykanami pociąga za sobą zbyt wiele kompromisów i ustępstw, a ja do tego zupełnie nie nadaję się”.

Łobodowski dużą część dnia spędzał w barze nieopodal pensjonatu, w którym mieszkał. Bar stanowił jego pracownię pisarską: „Mieszkam w ciasnym pensjonarskim pokoiku, zawalonym aż do sufitu papierami i książkami, więc nie lubię w nim pracować. Chodzę do baru, piszę teksty ołówkiem, a potem wpadam do pensjonatu, by je szybko przepisać na starym, ale wciąż jeszcze dziarskim Remingtonie (trzydziesty drugi rok w ciągłym użyciu). Oczywiście, przepisywanie gotowych tekstów na maszynie idzie szybko, więc większość czasu spędzam w barze, co wymaga ciągłych wydatków na czerwone wino. Z koniaku zrezygnowałem już dawno, wódkę pijam parę razy w roku od wielkiego dzwonu, whisky tylko podczas rzadszych wypadów do Londynu. Więc czerwone wino (po hiszpańsku vino tinto). Może to tylko podzwonne po moim pokoleniu, po moim sposobie odczuwania i myślenia, po mnie samym, po moich planach i nadziejach? Właśnie wpadła do baru pięcioletnia dziewczynka, moja dobra znajoma, z wielkim brytanem, którego trzyma na smyczy, zaraz go uwiąże przy balustradzie schodów i podejdzie do stolika, aby mnie poprosić o pięć peset, lubi grać na rozrywkowej maszynie, a że jest za mała, przystawia krzesło i gramoli się na nie z wielkim trudem. Bar znajduje się w dzielnicy przylegającej do miasta uniwersyteckiego, więc roi się tu od studentów i studentek, dopiero wchodzących w dorosłe życie. Są mili, radośnie uśmiechnięci, palą papierosy, piją piwo i brzydko klną, co już tu się stało powszechnym obyczajem i nikogo nie dziwi. Politycznie są – prawie wszyscy! – niedorozwinięci, nie mają pojęcia o śmiertelnych niebezpieczeństwach, zagrażających temu miastu, temu światu i im wszystkim. Nie słyszą dzwonów bijących na alarm, a mój pesymizm, gdy od czasu do czasu otwieram gębę, przypisują zgorzkniałej starości. Oby ich nieświadomość okazała się słuszniejsza od moich złych przeczuć. Oby!” (J. Łobodowski, „Podzwonne po miłym mieście”, „Wiadomości”, nr 3, 1981).

Łobodowski żył bardzo skromnie, nigdy nie dorobił się własnego mieszkania, był właściwie osobą bezdomną, nie przywiązywał większej wagi do dóbr materialnych. Pod koniec życia, kiedy zdrowie mocno mu już szwankowało, zamieszkał w domu swego przyjaciela Kazimierza Tylko-Dobrzańskiego. Jako że był osobą samotną, rodzinę Tylko-Dobrzańskich traktował jak swoją, zajmował się na przykład wychowaniem dzieci.

„Emigranci nie mają domu – zapisał Łobodowski nie bez goryczy w notesie jesienią 1974 roku – choćby mieszkali w luksusowych willach z pięknym ogrodem i luksusowym samochodem w garażu. Nie mają domu, bo jego fundamenty nie mają pod sobą ojczystej ziemi. Ale zdarrza się, że ojczysta ziemia staje się obca i dom przestaje być domem”.

Łobodowski bardzo tęsknił za Polską i choć polubił Madryt, to na zawsze najdroższym miastem jego sercu pozostał Lublin, gdzie spędził dzieciństwo i młodość. Do Lublina powracał w wierszach. W wierszu „Ballada lubelska” (1972) pisał:

*Nie zaczynaj znowu, nie zaczynaj,  
nie pochylaj się nad szklanką wina,  
skroń bezsenną do poduszki przytul.  
Niech na zawsze rozwije się widmo Lublina  
na ulicach  
śpiącego Madrytu.*

*[...]  
I tak widmo za widmem spotykam,  
głos każdego żmudnie przypominam.  
Grzebię dłonią w spróchniałych ruinach,  
w snach się szarpie –  
dzikie zwierzę we wnykach.*

W wierszu „List do kraju” poeta wspominał wieczory spędzone w studiu Radia Madryt, kiedy łączył się z rodakami:

*Mówiłem do was co wieczór.  
Czerwone światło zapalało się.  
Zapalało się uniesienie, gniew, czasem czułość.  
Słowa biegly w mrok – iskry rzucane na hazard.  
Niekiedy wracały. Wdzięcznością, chropawym słowem  
kogoś,  
kto chętnie chwycił iskrę na pierś,  
bo sam się od dawna chciał zająć płomieniem.*

Józef Łobodowski zmarł 18 kwietnia 1988 roku w Madrycie podczas odczytu o Juliuszu Słowackim. Ponoć był to pasjonujący wykład. ■

#### Literatura:

Paweł Libera, „Józef Łobodowski i polska audycja Radia Madryt (1949-1975)”, [w:] „Polska a Hiszpania. Z dziejów koegzystencji dwóch narodów w XX wieku”, Opole-Toruń 2011;  
Józef Łobodowski, „Tu mówi Madryt”, „Zeszyty Historyczne” (Paryż), z. 54, 1980;  
Magdalena Bogdan, „Radio Madryt 1949-1955. Powstanie, organizacja oraz funkcjonowanie polskiej sekcji Radio National de España w pierwszym okresie działalności”, LTW, 2011.

Magdalena Złotnicka



# Chrzan celebryta i kariera parweniusza

Tadeusz Dołęga-Mostowicz polował kiedyś z pewnym mężczyzną w okolicach Sikorza.

Z polowania kompan pisarza przyniósł jednego lisa, Mostowicz – aż trzy. Skwaszony był jednak jak nieszczęście i wydawało się, że wcale nie cieszy się z sukcesu łowieckiego.

Pytają go, co mu tak psuje nastrój. A pisarz tłumaczy, że ustrzelili cztery lisy w 15 sekund. Nikt więc mu nie uwierzy, że upolował zwierzaki tak szybko, bo żeby chociaż w piętnaście minut... A tak – będą mu zarzucać, że jest blagier!

Wspomnianą anegdotę przytacza Joanna Siedlecka („Mostuchna”, „Pani” nr 6, 1997). Jej bohater, Tadeusz Dołęga-Mostowicz, znany jest przede wszystkim z powieści „Kariera Nikodema Dyzmy”. Właśnie ta książka, choć niewątpliwie jedna z lepszych w dorobku pisarza, zawsze stanowiła dla mnie problem. Nie chodzi nawet o to, że parę razy, gdy udało mi się zrealizować jakieś nierealizowalne zadanie dzięki zwykłej bezczelności, z właściwym sobie krytycyzmem stwierdzałam, że „Dyzma to ja” (co oczywiście było objawem dziwnego poczucia humoru – aż tak źle jednak o sobie nie myślę). Rzecz w tym, czy „Dyzmę” należy czytać w kontekście historycznym – tzn. patrząc na motywację autora, czy też jako dzieło ponadczasowe. Jeśli w tym pierwszym – trzeba powiedzieć wprost: „Kariera Nikodema Dyzmy” była ciętą satyrą na rządy sanacji. Zresztą dzięki temu na tę pozycję życzliwym okiem w okresie Polski Ludowej patrzyli komuniści. O ile oczywiście nie doszli do wniosku, że jest to satyra na każdą władzę. Wówczas ołśniło ich, że można odczytywać tę książkę także w kontekście władzy komunistów i już tacy życzliwi nie byli. Ale o tym później.

Mostowiczowi udało się stworzyć satyrę na wypaczenia mechanizmów każdej władzy. Niezależnie od tego, co było impulsem twórczym, książka rzeczywiście jest ponadczasowa. I nieważne, jakie poglądy polityczne mamy, kogo popieramy, po każdej stronie znajdzie się jakiś „Dyzma”.

### ► Dziennikarzyna „słoik”

Tadeusz Dołęga-Mostowicz przyszedł na świat w ostatniej dekadzie XIX wieku, 10 sierpnia 1898 roku, w folwarku Okuniewo, czyli na terenach dzisiejszej Białorusi, niedaleko miasta Głębokie, znajdującego się w obwodzie witebskim 80 kilometrów na południowy zachód od Połocka. W momencie narodzin pisarza zarówno folwark, jak i samo miasto były częścią zaboru rosyjskiego. Jak podaje Wojciech Rodak („Król przedwojennej popkultury. Dołęga-Mostowicz. Ojciec Dyzmy”, „Gazeta Wrocławska” nr 262, 2017), ojciec pisarza miał na imię Stefan, zaś matka, wywodząca się z Potapowiczów Stanisława, administrowała folwarkiem i wychowywała dzieci: Tadeusza, Janinę i Władysława.

Szkołę kończył Mostowicz w Wilnie, tam też zainteresowało go to, co wciągało młodych Polaków pod zaborami – konspiracja. I tak Mostowicz przystał do patriotycznej organizacji. Idee, tajemnica, poczucie, że robi się coś ważnego – wciągnęło go to na tyle, że konspirował także na studiach jako członek kijowskiej Alma Mater. Rodak podaje, że wówczas zasiłił szeregi Polskiej Organizacji Wojskowej, „piłsudczykowskiej siatki zajmującej się wywiadem i dywersją. Nie wiemy

nic o roli, jaką odgrywał w tych sprzysiężeniach". Z kolei Dariusz Baliszewski zaznacza („Niewygodna pamięć i czarna legenda”, „Newsweek Polska”, 19.09.2002), że ze wspomnień siostry Mostowicza wynika, iż już z gimnazjum uciekł on do wojska.

Wydaje się jednak, że wersja podana m.in. przez Rodaka jest bliższa rzeczywistości. Wiele wskazuje na to, że nie gimnazjum pisarz opuścił, ale przerwał studia. W 1918 roku Dołęga-Mostowicz znalazł się w Warszawie i tu – co do tego wszyscy biografowie są zgodni – wstąpił do oddziałów formującego się właśnie Wojska Polskiego. Trafił do kawalerii, był jednym z uczestników wojny polsko-bolszewickiej. W „kamaszach” wytrzymał do 1922 roku. Potem odszedł z wojska i powrócił do stolicy.

Poza nieskończonymi studiami i dużymi ambicjami Mostowicz nie miał właściwie nic. Dziś określilibyśmy go jako typowego „słoika”, który usiłuje sobie ułożyć życie w stolicy i liczy na oszałamiającą karierę. Co ciekawe, autor „Dyzmy” bynajmniej nie planował kariery literata. W czasach, kiedy – jak pisze Paweł Stachnik („Pisarz, który wymyślił Dyzmę”, „Dziennik Polski” nr 215,

nak, że przyszedł autor „Doktora Wilczura” nie tylko uderzał w sanację, lecz także krytykował opozycję i komunistów. Zdaniem Cieślika dziś określilibyśmy Mostowicza mianem antysystemowca lub symetrysty. Warto zresztą przytoczyć cytowany przez Cieślika opis tzw. kawiorowej lewicy. Dołęga kreśli ten portret w następującym dialogu. Jeden z bohaterów mówi, że podczas ostatniej podróży do Rosji Sowieckiej zobaczył autentyczny raj. Wszędzie porządek, człowiek nie gnienie się w ścisku, a u komisarzy można się napić szampana, objeść kawiozem i ostrygami. Na to jeden z posłów westchnął, że i u nas kiedyś tak będzie, a na razie polski lud pracujący śpi na deskach, głoduje, marznie i ogólnie jest nieszczęśliwy. Tyradę zakończył uderzeniem pięścią „w pluszową poduszkę” i z tych nerwów zapalił pierońsko drogiego papierosa. Na co siedzący obok niego dodał z przejęciem, że „burżuazja krew naszą pije!”.

### ► Historia jak ze „Znachora”

Właśnie z działalnością publicystyczną Mostowicza wielu wiąże historię jego prawie śmiertelnego pobicia,

JAK NA BONVIVANTA MOSTOWICZ PROWADZIŁ DOŚĆ PRZYKŁADNY TRYB ŻYCIA.  
O 7 RANO GO BUDZONO, PO ŚNIADANIU, CZYLI OKOŁO 8, SIADAŁ DO PISANIA  
I TWÓRCZOŚCI LITERACKIEJ ODDAWAŁ SIĘ DO POŁUDNIA.

2014) – biedował na Pradze, gnieźdząc się w zatłoczonym wspólnym pokoiku, wraz z jakimś szemranym towarzystwem, marzył o tym, by zostać dziennikarzem politycznym. Zapewne czuł, że zbliża się do ziszczenia swoich snów, gdy załapał się na posadę korektora w przedwojennej „Rzeczpospolitej”. Później pozwolono mu zajmować się drobnymi pracami reporterskimi. Przełom nastąpił w 1925 roku. Wówczas opublikował „Sen pani Tunci” – owa lekko napisana humoreska sprawiła, że został dostrzeżony i mógł zająć się pisanie na poważnie. A także – w końcu zacząć myśleć o sobie jako o redaktorze. Pisząc, używał jednak pseudonimu „C. hr. Zan”, czyli po prostu „chrzan”.

I jako ten Chrzan czy też hrabia Zan na łamach „Rzeczpospolitej” używał sobie Mostowicz na obozie sanacyjnym. Krzysztof Cieślik także na łamach „Rzeczpospolitej” – jednak prawie sto lat później („Dołęga-antysystemowicz”, „Rzeczpospolita”, 29–30 lipca 2017) – przypomniał publikowane przez pisarza teksty. Zarazem zauważył jed-

no którego doszło wczesną jesienią 1927 roku. Całe zdarzenie miało miejsce w czasach, gdy pisarz przeniósł się z obskurnej wówczas Pragi na Ochotę, do mieszkania swojego wuja. Zamierzał – jak co dzień – jechać do redakcji „Rzeczpospolitej”, wówczas mieszczącej się przy ulicy Szpitalnej. Tym razem jednak nie było mu to dane. Jak pisze Rodak, gdy Mostowicz szedł do tramwaju, niedaleko niego zatrzymał się czarny buick, z którego wysypali się zamaskowani napastnicy. Wciągnęli pisarza do samochodu. Nie chciał się poddać bez walki, więc oberwał kilka ciosów i kopniaków.

Pisarza wywieziono gdzieś w okolicy Sękocina. Tam, w lesie, wyciągnięto go z samochodu i spuszczone mu solidny łomot. Napastnicy zaniechali bicia dopiero wtedy, gdy zdali sobie sprawę, że zakrwawiona ofiara straciła przytomność. Wówczas ponownie wrzucili Mostowicza do samochodu i zawrócili do Warszawy. Pod drodze wyrzucili pisarza do przydrożnego stawu. Być może nigdy nie doczekalibyśmy się „Kariery

Nikodema Dyzmy" i „Doktora Wilczura”, gdyby nie przejeżdżający obok rolnik, którego uwagę przykuł niewyraźny kształt pływający na powierzchni stawu. Bohaterski chłop z trudem wywlekl na brzeg półżywego pisarza w ciężkiej, przemokniętej odzieży. Tym samym – ocalił mu życie. A także, o czym zapewne nie mógł wiedzieć – jakąś tam część polskiej kultury. Co ciekawe, bardzo podobny motyw pobicia i ocalenia przez chłopą pojawia się w powieści „Znachor”. Mostowicz opisał więc własne przeżycia.

To, co spotkało Mostowicza, szerokim echem odbiło się zarówno w prasie, jak i w dyskusji publicznej. O pobiciu pisarza pisały liczne gazety, dyskutowano o tym na stołecznych ulicach. Znaczna część opinii publicznej była zdania, że bandyci byli powiązani z sanacją. Grzegorz Pyszczyk („Poszukiwany Nikodem Dyzma”, „Res Publica Nowa” nr 12, 1998) przytacza opinię Jerzego Rawiczowa, którego zdaniem w pobiciu Mostowicza brać miał udział gang legendarnych warszawskich łobuzów, czyli Doktora Łokietka oraz Taty Tasiemki. Warto jednak zaznaczyć – o czym pisze Paweł Stachnik („Pisarz, który wymyślił Dyzmę”, „Dziennik Polski” nr 215, 2014) – że sprawą zajmowali się także politycy. Posłowie związani z endecją pisali interpelacje, a Józef Piłsudski nakazał wszczęcie w sprawie śledztwa – okazało się to jednak bezowocne.

Co do samego pisarza, to trzy miesiące przeleżał w szpitalu, a efekty pobicia dawały mu się we znaku przez całe życie. Ponadto zrezygnował z publicystyki. Postanowił pisać książki.

W 1932 roku ukazała się „Ostatnia brygada”, drukowana w odcinkach. Dwa lata później – „Kariera Nikodema Dyzmy”, którą wydrukowało jedno z najbardziej znanych wydawnictw międzywojnia – „Rój”. Maja Wolny („Ostatni most”, „Polityka” nr 38, 1999) wspomina, że Hanna Kisterowa, żona współwłaściciela wydawnictwa, opowiadała, jak to Mostowicz, dorabiający w „Raju” jako zecer, przyniósł jej mężowi manuskrypt i poprosił o przeczytanie. Wręczonym tekstem miała być właśnie „Kariera...”.

## ► Dyzma

O czym właściwie jest ta książka? Opowiada o niespodziewanej karierze pochodzącego z Kresów Nikodema Dyzmy, który w Warszawie ledwie wiąże koniec z końcem, brzdąkając na mandolinie w podrzędnych knajpach i starając się bezskutecznie o posadę fordansera. Nagle zupełnym przypadkiem wchodzi w posiadanie zaproszenia prezesa rady ministrów na raut z okazji przyjazdu kanclerza Republiki Austriackiej. Chce nawet oddać je adresatowi, ale nie zastaje go w domu. Ostatecznie przebiera się we frak i idzie na raut – wszak to okazja, żeby zwyczajnie nazwać się za fri-

ko. A Dyzma często niedojada. Dalej decyduje przypadek. Jeden z gości trąca go, przez co głównemu bohaterowi sałatka spada z talerza. Dyzma więc ruga go, nie przebiegając w słowach. Biedny, nie ma pojęcia, że obsołaczyl samego szefa gabinetu premiera. Następnie okazuje się, że zasada „objechania” kogoś ważnego, kogo wszyscy się boją, działa także w sferach rządowych. Z Dyzmą nawiązuje przyjacielską konwersację pułkownik ułanów Wareda, poznaje go też z przechodzącym obok ministrem rolnictwa. Później do Dyzmy podchodzi człowiek nazwiskiem Kunicki, który chce poznać ministra rolnictwa. Dyzma dokonuje prezentacji. Minister z Kunickim gadać nie chce, ale Kunicki i tak składa Dyzmie propozycję administrowania majątku ziemskiego w Koborowie koło Grodna. Z knajpianego grajka Dyzma w jednym momencie staje się dobrze prosperującym mężczyzną, z pensją w wysokości 5 tys. zł. Kunicki chce posłużyć się Dyzmą przy załatwianiu swoich interesów z ministrem rolnictwa, jednak koncepcję pryncypała Dyzma przedstawia politykom jako swoje.

Co istotne, brat żony Kunickiego, niejaki Żorż, traktowany przez szwagra jak wariat i trzymany w zamknięciu, prosząc Dyzmę o pomoc, zapewnia mu fałszywą tożsamość – przedstawia go jako swojego dobrego znajomego z Oksfordu. Dyzma pnie się po szczeblach kariery, zostaje prezesem Państwowego Banku Zbożowego. Zarazem im wyżej jest, tym mocniej przekonuje się, jak brudną grą jest polityka. Jednak mimo napadów wyrzutów sumienia – jak wtedy, gdy w gazecie znalazł nekrolog człowieka, którego pobicie zlecił – gra według reguł. Jest i wątek romansowy – główny bohater odbija żonę Kunickiemu. Ostatecznie – po tym jak wskutek intryg rząd podaje się do dymisji – Dyzma dostaje propozycję, by zostać premierem. Podczas hucznej imprezy demaskuje go jednak Żorż. Jednak choć mówi prawdę, jego siostra – a obecnie także żona Dyzmy – przekonuje wszystkich, że jej brat bredzi, będąc niespełna rozumu.

„Prostak ze społecznych nizin robi nieprawdopodobną karierę magnetyzując kobiety męskością, rozbudzając w mężczyźnach miraż nieprawdopodobnych sukcesów, a tych, którzy mogą go zdemaskować, po prostu demaskuje. Temu ruchowi w społeczną górę towarzyszy ruch w społeczny dół. Bohater innej powieści Mostowicza doktor Murek zostaje wskutek przestępczej intrygi zwolniony z pracy. Wypada z kręgów inteligenckich, deklasuje się. Zrazu przystępuje do komunistów, aby później przystać do bandy Czarnego Kazika. Zdradza i jednych, i drugich. Wierną mu kochankę, tancerkę z nocnego lokalu, sprzedaje do domu publicznego w Argentynie. W końcu wiesza się...” – pisał o powieściach Mostowicza cytowany już Pyszczyk.

Przedwojenna wieść gminna głosiła, że „Dyzma” to krytyka sanacji. Książka ma jednak charakter uniwer-

salny i jako taka mało której władzy się podobała. Warto w tym kontekście pochylić się nad percepcją „Dyzmy” za komuny. Janusz Wilhelmi, późniejszy wiceminister kultury, pisał na łamach „Kultury” („Wszystko lipa?”, „Kultura” nr 44, 1970), że niegdyś jasnym było, że „Kariera Nikodema Dyzmy” „drwi z polityki, lecz ta wydrwiona polityka była polityką sanacji. A zatem funkcja powieści musiała się wydawać pozytywna”, teraz zaś „nie jest to [...] książka szczególnie na czasie. Wiele okoliczności zrządziło, że kultura polityczna w naszym kraju nie jest nazbyt wysoka. Dlatego – formułując postulat znacznie skromniejszy – byłoby chyba pożądane, aby powieść Mostowicza nie stanowiła najpopularniejszej powieści o polityce”. No tak, jeszcze, nie daj Boże, ktoś by ją odniósł do ludowej klasy rządzącej, do której pasuje sto razy lepiej niż do sanacji...

Z kolei kilka dekad wcześniej, w latach 50., Janusz Patalong („Satyra na reżim sanacyjny”, „Trybuna Ludu”

kobiet, demoralizujący wpływ bezrobocia, skrywany zwykle erotyzm i siłę niszczącą seksu...”.

Warto w tym kontekście spojrzeć na powieść Mostowicza zatytułowaną „Trzecia płeć”. „Trzecia płeć to nowoczesna kobieta, rywalizująca dzisiaj niemal we wszystkich dziedzinach pracy z mężczyzną. Kobieta samodzielna, pracownik tańszy od mężczyzny, przeto chętnie przez chciwego pracodawcę przyjmowany, staje się jednym z ważniejszych czynników, powodujących głód na rynku pracy. Będąc niebezpiecznym rywalem mężczyzny kobieta narażona jest jednocześnie, już z natury rzeczy, na poważny konflikt zachodzący między obowiązkami, jakie nakładała na nią rodzina a pracą zarobkową. Takie jest w grubszych zarysach meritum zagadnienia postawionego w tej powieści” – pisał na łamach „Pionu” w 1934 roku T. Makarewicz. Czy jednak Mostowicz rzeczywiście boleje nad brakiem równouprawnienia? Z jednej strony Anna jest dzielna i faktycznie ma pod górę

## DO WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ NAPISAŁ 17 KSIĄŻEK, Z KTÓRYCH AŻ OSIEM DOCZekaŁO SIĘ ADAPTACJI FILMOWYCH.

nr 17, 1956) podkreślał, że Dołęga był... ostrożny w poruszaniu spraw społecznych. „Nie tykał spraw robotniczych, nie poruszał problemu wyzysku i nędzy wsi, nie wymieniał nikogo po nazwisku. Być może, że właśnie dzięki tej ostrożności w sprawach zasadniczych, najbardziej drażliwych, mógł napisać i opublikować swój antysanacyjny pamflet” – pisał. No, rzeczywiście. Zabrakło tylko stwierdzenia, że nie miał komunistycznej wrażliwości.

### ► Obrazki z życia bonvivanta

Wróćmy jednak do samego Dołęgi-Mostowicza. Do wybuchu II wojny światowej napisał 17 książek, z których aż osiem doczekało się adaptacji filmowych. Stefan Drajewski („Fabryka bestsellerów”, „Głos Wielkopolski” nr 157, 2005) podkreśla, że w twórczości Mostowicza znajdowało się wiele romansów czy książek pisanych „ku pokrzepieniu serc”, a pisarz wykorzystywał „jako pretekst fabularny wątki sensacyjne (np. utrata pamięci słynnego profesora w »Znachorze«). W tych powieściach Dołęga-Mostowicz idzie nieco dalej: pokazuje to, przed czym stroniła literatura wysoka tamtego okresu. Pokazuje problem braku równouprawnienia

także dlatego, że po prostu jest kobietą. Z drugiej strony jednak gdzieś na dnie czai się refleksja, że kobietom emancypacja wcale nie musi być potrzebna do szczęścia. A może to tylko moja nadinterpretacja? Kto może, niech książkę przeczyta i sam rozstrzygnie.

Niezależnie jednak od poruszanych przez Mostowicza problemów, jego książki były zarazem szalenie popularne i traktowane z lekką pogardą jako literatura – dziś powiedzielibyśmy – wagonowa. Cóż mogło to jednak obchodzić Mostowicza, który dzięki książkom stał się prawdziwym krzewusem? Leon Bukowiecki w tekście Tomasza Zbigniewa Zaperta („Ofiara oficerek”, „Gazeta Polska” nr 39, 2006) wspominał, że Mostowicz po Warszawie rozbijał się limuzyną. Apolinary Siuda, czyli najpopularniejszy wówczas krawiec, szył mu garnitury, a buty robił u Jana Kielmanna, przeprowadził się także do pięknej rezydencji w dzisiejszych Alejach Ujazdowskich. Oczywiście tak elegancki i bogaty mężczyzna przyciągał wzrok kobiet i z niejedną połączyła go bliższa przyjaźń. Jednak ukochaną miał tylko jedną. Jak wspomina Bukowiecki – była nią córka hrabiny Piwnickiej, Kasia. Pisarz musiał na nią jednak poczekać – dziewczyna dopiero w 1939 roku kończyła 18 lat.

Warto też zwrócić uwagę na towarzystwo, w jakim Mostowicz się obracał. Znana jest powszechnie anegdota

o tym, jak to aktor Adolf Dymśa odprowadzał na pociąg Bolesława Wieniawę-Długoszewskiego, gdy ten jechał objąć placówkę dyplomatyczną w Rzymie. Dymśa przedrzeźniał wówczas na peronie Hitlera, a Wieniawa skomentował to stwierdzeniem: „Adolfie, nigdy ci tego nie zapomnę”, co było odniesieniem się do listu kancлера Rzeszy do Benito Mussoliniego, który nie zareagował podczas Anschlusu. Tekst brzmiał: „Mussolini, nigdy panu tego nie zapomnę”. Włodzimierz Paźniewski („Czyta się dobrze”, „Trybuna Robotnicza” nr 94, 1980), który również przypominał tę anegdotę, twierdził, że Dymśy podczas odprowadzania towarzyszył właśnie Dołęga-Mostowicz.

Nawiasem mówiąc, jeśli Mostowicz tak nie lubił sanacji, a sanacja tak się burzyła na „Karię”, to dlaczego jeden z niegdyś najbliższych współpracowników Piłsudskiego pozwalał się odprowadzać jej autorowi?

Zaś Grzegorz Pyszczyk zaznacza, że na imprezach organizowanych przez pisarza częstym gościem bywał literat

temu nie przypisuję szczególniejszego ciężaru gatunkowego, może on jednak zainteresować czytelnika jako żart literacki, o ile mi się zdaje, nowy, jeżeli nie w założeniu, to przynajmniej w konstrukcji formalnej” – podkreślał. Jak się okazało, była to jego ostatnia książka. Pisarz nie przeżył wojny. Jako kapral podchorąży rezerwy stanął do wojny obronnej w 1939 roku. Zginął w miasteczku Kutach położonym wówczas przy granicy z Rumunią.

Co do szczegółów, krąży kilka wersji jego śmierci. W wielu z nich pojawiają się informacje, że zginął, gdy dowoził chleb dla uciekinierów. Paweł Stachnik podaje jednak, że owszem, trzej żołnierze, w tym Mostowicz, ładowali chleb na ciężarówkę, ale miało być to zaopatrzenie dla oddziału. Załadowaną ciężarówkę ruszyli w kierunku mostu granicznego. Dosłownie w tej chwili do Kut wjechały sowieckie czołgi. Jeden z nich, uważając, że to ciężarówka wojsko-

## NA IMPREZACH ORGANIZOWANYCH PRZEZ PISARZA CZĘSTYM GOŚCIEM BYWAŁ LITERAT OD NIECO INNEJ LITERATURY – WITOLD GOMBROWICZ.

od nieco innej literatury – Witold Gombrowicz. Zresztą obaj panowie byli sobą mocno zaciekawieni. Pyszczyk zastanawia się, czy powieść kryminalna „Opętani”, którą Gombrowicz napisał pod pseudonimem, to owoc tego zaciekawienia. I podaje także, że w ankiecie dla „Prosto z mostu” Mostowicz z kolei wskazał „Ferdynurka” jako najciekawszą książkę, jaka ukazała się w roku.

Z kolei z przywoływanego już artykułu Siedleckiej wynika, że jak na bonvivanta Mostowicz prowadził dość przykłądny tryb życia. O 7 rano go budzono, po śniadaniu, czyli około 8, siadał do pisania i twórczości literackiej oddawał się do południa.

Warto też zaznaczyć, że Mostowicz był jedną z nielicznych gwiazd, z których korzystała reklama, zresztą wówczas jeszcze raczkująca. Zapert podkreśla, że Mostowicz reklamował m.in. „trunki z lwowskiej wytwórni Baczewskiego”, które „mile wspomina się również następnego dnia po spożyciu”.

### ► Ofiara sowieckiej kuli

Na łamach „Wiadomości Literackich” (nr 22, 1939) Mostowicz zapowiadał, że wkrótce nakładem „Roju” ukaże się powieść „Pamiętnik pani Hanki”. „Utworowi

wa, skierował w jej stronę serię z karabinu. Pojazd wpadł do rowu. Dwaj żołnierze siedzący w sfoferce jakoś się wydostali i uciekli. Mostowicz, jadący „na pace”, zginął. Tę samą wersję potwierdza Stanisław Szuwart, („Byłem na pogrzebie Tadeusza Dołęgi-Mostowicza”, „Gazeta Polska” nr 2, 2007), zaznaczając, że być może żołnierze dzielili się chlebem z uciekinierami. Profesor Józef Rurawski w audycji „Rzemieślnik doskonały” Krystyny Kraśniewskiej z 1988 roku podawał, że to właśnie Mostowicz zaczął organizować zaopatrzenie dla żołnierzy i uciekinierów, a w cytowanym już artykule Mai Wolny pojawia się wzmianka – Wolny powołuje się zresztą na prof. Rurawskiego właśnie oraz na Janusza Minkiewicza – że Mostowicz zorganizował „oddział patrolowy, który miał strzec porządku na niepewnym przygranicznym terytorium”.

Ciało pisarza pochowali miejscowi Polacy, zatroszczyli się nawet o pomnik nagrobny. Na powrót do ojczyzny przyszło mu nieco poczekać. Do Warszawy sprowadzono go dopiero 24 listopada 1978 roku. Spoczął w katakumbach na stołecznych Powązkach. ■

Autorka jest pracownikiem Polskiego Radia SA.

Ewa Polak-Palkiewicz

# Polska niczym nagie ostrze miecza

## CHESTERTON ODWIEDZA „HISTERYCZNE DZIECI”

Chesterton traktował Polskę jako miejsce, gdzie przechowywane są i pielęgnowane cnoty i najlepsze tradycje Europy: wolność, rycerskość, odwaga i honor. Uważał, że jej rozbiory były zbrodnią także przeciwko etosowi europejskiemu; były zwycięstwem nowoczesnego barbarzyństwa nad państwem, które za wszelką cenę pragnęło ocalić wielkość kontynentu. Wierność wierze, ustrój polityczny zbliżający się do ideału demokratycznego państwa chrześcijańskiego, w którym wszyscy są takim samym podmiotem prawa, a które to walory dostrzegał w Polsce, uznawał za znaki nadziei na ocalenie cywilizacji łacińskiej.

Jednym z najciekawszych zjawisk literackiej Europy pierwszej połowy XX wieku była sympatia i admiraacja, a wręcz momentami zachwyt i serdeczna zażyłość, jakie żywił angielski pisarz, publicysta i poeta Gilbert Keith Chesterton wobec Polaków. Była to postawa dość niezwykła, w oczach elit intelektualnych Zachodu nasz kraj uchodził w tym czasie za zjawisko marginalne, choć dość kłopotliwe, niemające większego znaczenia na scenie kulturalnej i politycznej kontynentu. Polaków otaczała swoista wysublimowana pogarda, podobna do tej, z jaką w sferach zamożnych i postępowych traktowano katolicką Irlandię. Trzeba było znawcy, dociekliwego, krytycznego i subtelnego umysłu, jakim odznaczał się Chesterton, by Polskę odkryć – nie tylko dla Anglików. Nie trzeba dodawać, że Polacy odwzajemniali sympatię pisarza z charakterystyczną wylewnością i żarem. Doceniali w Chestertonie nie tylko oryginalnego myśliciela, obrońcę cywilizacji, artystę obdarzonego niezrównanym stylem, sztytę z monumentalnych pomników ludzkiej pychy, miłośnika plebejskości i arystokratyzmu zarazem (gdy oznaczał on szlachetność i odwagę), bezwzględnego demaskatora atrakcyjnych kłamstw, lecz także kpiarza, który potrafił śmiać się z siebie, dzięki wyjątkowemu zmysłowi autoironii.

W 1927 roku Chesterton przybył z wizytą do naszego kraju, wraz z żoną Frances i sekretarką Dorothy Collins, na oficjalne zaproszenie rządu polskiego. „Niewyrażalna radość, że widzimy Pana wśród nas” – nie wahał się wyznać prof. Wacław Borowy (filolog, badacz związków kultury polskiej i angielskiej, szef Biblioteki UW) podczas przyjęcia na cześć pisarza. „Przypomina nam, jak to się często zdarza, rzeczy przeszłe. Przypomina mi, jak wielu z nas uczyło się angielskiego z pańskich książek i w czasach studenckich zwykło chadzać co tydzień do kawiarni z angielskim słownikiem w kieszeni, by studiować pański felieton w »Illustrated London News«. Przypomina mi dyskusję sprzed piętnastu lat o Człowieku, który był czwartkiem [tytuł jednej z książek G.K. Ch. – E.P.P.]; i pamiętam, że najtrudniejszą rzeczą do wytłumaczenia okazywało się zdanie »policjant to urocze słowo«. W tych czasach, aby zrozumieć to zdanie Polak musiał być obdarzony niezwykle bogatą wyobraźnią albo dysponować szerokim doświadczeniem zagranicznych podróży”.

Pisarz spędził w Polsce ponad miesiąc, przyjmowany wszędzie z entuzjazmem i wylewną gościnnością. Rozliczne organizacje i osoby prywatne dbały, by wszystko odbywało się z wielką pompą, a zarazem elegancko i wytwornie, i „urządziły Chestertonowi niemal marsz triumfalny po pięciu polskich miastach uniwersyteckich i niektórych obszarach wiejskich” – jak napisano w jednej z relacji.

Pisarz był zachwycony gościnnością i kulturą gospodarzy, swobodnym stylem bycia Polaków, polskim krajobrazem i zabytkami oraz... „barszczem z uszkami”, którą to nazwę zapisał sobie na kartce; trzymał ją w kieszeni kamizelki i odczytywał przy różnych okazjach.

Stosunek Chestertona do Polski i polskich czytelników do niego można nazwać więzią łączącą tych, którzy obdarzają się zaufaniem i wdzięcznością. „Pamiętam moment, gdy ukazała się w Polsce pierwsza książka o Pana twórczości literackiej” – przypominał wzruszony prof. Władaw Borowy podczas powitalnego bankietu. „Ciekaw jestem, czy Pan wie, że była to jedna z pierwszych książek w świecie [na ten temat], a napisano ją w prowincjonalnej polskiej mieścinie. Zapewne była to książka pełna niejasności, ale niejasność ta była niejasnością listu miłosnego”.

### ► Poeta i kawalerzysta

Już samo przywitanie pisarza na dworcu było kwintesencją stylu Warszawy – „dumnej (choć trochę ubogiej), patetycznej (a jednak uśmiechniętej)” (Przemysław Mroczkowski). Oprócz delegacji pisarzy przybyła tu – ku zaskoczeniu Chestertona – grupa oficerów „z arbitrem elegantiarum i bon vivantów, płk. Wieniawę-Długoszewskim na czele”. Wieniawa wygłosił przemówienie wykwinną francuszczyzną. „Pozwalam sobie przywitać Pana w imieniu grupy oficerów kawalerii: nie jako sławnego Anglika ani jako sławnego pisarza, ani nawet jako wielkiego przyjaciela Polski – nie powiem, że największego przyjaciela – Pan Bóg jest największym przyjacielem Polski... Witam Pana jako kawalerzystę, który się zatrzymał w rozwoju. Dla mężczyzny są właściwe tylko dwa zawody: poety i kawalerzysty. Pan wybrał ten pierwszy, ale my, widząc Pańską odwagę, entuzjizm, błyskotliwy humor, widzimy w Panu wspaniałego kawalerzystę, straconego dla kawalerii – z pożytkiem dla ludzkości”. Chesterton był zachwycony, porównanie kawalerzysty i poety przypadło mu do gustu; przy jakiejś okazji stwierdził też, że „kawalerzystom niestety mógłby się przydać jedynie jako przeszkoda, chyba nie do wzięcia”... (Jego pokaźna tusza, przy nieprzeciętnym wzroście, była stałym tematem jego żartów. Napisał kiedyś nawet wierszyk: „Byłem smukły jak strzała i lekki jak grosik. Mógłbym bez trwogi, choć to ryzykowne, balansować na szubku wędki. Lecz Czas, który przemija, wykradając w łobie kolejne słońca i księżycy roku, nadał mi odmienny kształt. A jest to kształt stanowczo dziwny”, przekład Jaga Rydzewska).

### ► Wino, śpiew i owacje na stojąco

Doroty Collins, która towarzyszyła w podróży pisarzowi i jego żonie, przekazała dokładną relację o niej,

gdy – już po wojnie – odwiedziła ją polska dziennikarka Radia Wolna Europa. Miss Collins była sąsiadką Chestertona w miasteczku Beaconsfield w hrabstwie Buckingham. Ich znajomość, początkowo towarzyska, przekształciła się w zawodową współpracę, opartą na zaufaniu i lojalności oraz dokładności i uporządkowaniu p. Collins (była w tym odwrotnością pisarza). Ponieważ Chesterton nie miał potomstwa, zgromadziła w swoim domu, oprócz biblioteki zawierającej wszystkie jego dzieła, wiele listów i pamiątek. Był wśród nich okazały album oprawiony w białą skórę zatytułowany „Poland”, z wycinkami prasowymi i fotografiami. „Chestertona fascynowały polskie cechy narodowe: odwaga, rycerskość, szczerość gestu, zapalczywość, nawet pewna buta” – mówiła Dorothy Collins. „Na lata przed wojną przeczuwał to, czego nie przewidywali mężowie stanu i dyplomaci. Prusak i Rosjanin dogadają się we wszystkim, specjalnie zaś na temat Polski. »Zaklinam was byście dopomogli Polsce ze względu na wasz własny interes«, apelował do swoich rodaków”.

Rząd polski powierzył program pobytu pisarza polskiemu oddziałowi Pen Clubu. 3 maja goście byli na obiedzie u hrabiego Edwarda Raczyńskiego, a na podwieczorku w Pierwszym Pułku Szwoleżerów; wieczorem wydano przyjęcie u prezydenta. „To było nadzwyczajne, Pałac Królewski jarzący się światłami przepięknych kandelabrow, cudne stroje, korpus dyplomatyczny w gali, kardynał i dostojnicy kościelni w purpurze. Następnego dnia wieczorem profesor Borowy zabrał nas do piwnic Fukiera, słynnych od 1610 roku. Pokazano nam tam lochy, w których wina liczące sobie po kilka wieków, spoczywają nietknięte w butelkach porośłych czarnym mchem. Jedna z takich butelek tokaju została otwarta na cześć Chestertona”. Sam pisarz odnotował w „Autobiografii”: „W Warszawie jest coś w rodzaju podziemnej karczmy, gdzie pije się tokaj, który wyleczyłby z oficjalności każdego oficjela. Śpiewaliśmy polskie pieśni marszowe...”. Kornel Makuszyński wspominając polską przygodę angielskiego pisarza, nie szczędził pokłapiwań z wystawności i pewnej przesady, z jaką podejmowano pisarza: „Wielki i przeznacny Chesterton, zaprzysięgły nasz przyjaciel, lubił zjeść »coś dobrego, byle dużo«, więc mu ucztę urządzone w Warszawie. Zjadł, wypił i chce się zżegnać. Wtedy mu powiedziano, że podano zaledwie przekąski i teraz dopiero należy usiąść do obiadu. Wielki pisarz pobladnął, przejęty zgrozą i chciał uciekać”.

W Warszawie było jeszcze spotkanie i rozmowa z Józefem Piłsudskim. Cała podróż usiana była przyjęciami, wykładami gościa i gospodarzy, owacjami, przedstawieniami odgrywanymi specjalnie dla niego. Po Warszawie był Poznań, potem Kraków, Zakopane, Lwów, Wilno i Troki. Chesterton był poruszony pięć-

nem kościołów Krakowa, urzeczony wileńską Ostrą Bramą. W Wilnie „wjeżdżaliśmy w miasto pod bramą, w której mieści się kaplica Matki Boskiej Ostrobramskiej... Mówiąc o tej kaplicy profesor Pigoń, rektor Uniwersytetu Wileńskiego, powiedział: »Oto jest osobliwe miasto, wzrosło ono w promieniach łaski Matki Bożej Bolesnej, która świeci z Ostrej Bramy. Nieugiętość i wiara to cechy Wilna«. Chesterton uważał, że to ostatnie zdanie należy odnieść do całej Polski”. Zamierzał poświęcić kolejną swoją książkę Polsce; nie zdążył tego uczynić, umierając trzy lata przed rozpoczęciem II wojny.

### ► Uprawiając „najłatwiejszy zawód świata”

Kim był ten wychowanek liberalnej rodziny, dalekiej od religii, absolwent elitarnej szkoły w jednej z najlepszych dzielnic Londynu, w młodości agnostyk, piewca angielskiej wsi i wiejskiego życia, gorący angielski patriota i przeciwnik skorumpowanej, cynicznej, zachłannej klasy politycznej? Jej postawa podporządkowania sobie tej części społeczeństwa, która wydaje im się „niższa” (ma mniejsze możliwości zażywania przyjemności tego świata), jak twierdził zawsze, ma w sobie coś trywialnego i przygnębiającego zarazem, bo wynika ze strachu przed nicością... Po ukończeniu liceum studiował przez kilka lat na akademii sztuk pięknych. Mimo dużych zdolności, zwłaszcza talentu graficznego, nigdy zamilował artystycznych nie rozwinął, choć przez całe życie komentował batalie publicystyczne, które toczył, satyrycznymi rysunkami, zdradzającymi znakomity warsztat. Zaczynał jako dziennikarz, jego pierwsze teksty były recenzjami książek, ale prawdziwą sławę osiągnął bardzo wcześnie jako krytyk sztuki i krytyk literacki. Pisał po latach: „Nie muszę mówić, że jako człowiek, który daremnie usiłował uczyć się rysunku i malarstwa, z łatwością wytykałem słabe punkty Rubensa i dawałem do zrozumienia, że talenty Tintoretta musiały leżeć w jakiejś innej dziedzinie. Odkryłem wówczas najłatwiejszy zawód na świecie i trzymam się go nadal”.

Jeszcze jako początkujący dziennikarz omawiający dzieła angielskich poetów spotkał się z gorącym odbiorem swoich tekstów. „[...] najwybitniejszy żyjący wówczas angielski poeta, Swinburne, napisał list do redakcji, stwierdzając, że od lat nikt nie zdołał powiedzieć o Tennysonie nic równie trafnego. Mimo że w tym okresie Swinburne pędził życie prawie pustelnicze, zaprosił autora artykułu, gdyż chciał go poznać osobiście” – pisze tłumaczka Chestertona, Jaga Rydzewska. Podobny wstrząs przeżył George Bernard Shaw, gdy przeczytał omówienie twórczości Waltera Scotta pióra Chestertona; w liście do redakcji domagał się wyjawienia, kim jest autor, oraz osobistego z nim kontaktu.

Chesterton nie zareagował; poznał Shawa dużo później i przyjaźnił się z nim do końca życia, mimo dużej różnicy poglądów (Chesterton wiele razy ostro z nim polemizował, a wręcz publicznie kpiał z jego przekonań, ale robił to w taki sposób, że on nigdy się nie obrażał).

Mimo lekkości i swady, z jaką podejmował każdy temat (pod warunkiem, że go zainteresował), tak naprawdę tym, co go zajmowało, były sprawy religii, teologii i literatury oraz ich oddziaływanie na umysły pokoleń Europejczyków – czyli dzieje i losy naszej cywilizacji. „Każda wielka cywilizacja zaczyna upadek od tego, że zapomina o prawdach oczywistych” – przypominał.

### ► Belloc, czyli radość życia

Razem z Hilaire Bellokiem, znanym i cenionym w Anglii pisarzem historycznym francuskiego pochodzenia, a także czynnym politykiem, tworzyli przez lata tandem intelektualny, inspirowali się nawzajem, realizowali projekty polityczne, a przede wszystkim byli dla siebie oddanymi przyjaciółmi, wspierającymi się w życiowych próbach. Chesterton wspominał zabawny moment podczas wizyty u niego któregoś lata, w Rye (nadmorskim kurorcie we wschodnim Sussex), amerykańskiego pisarza Henry’ego Jamesa. Był to zdaniem Chestertona „bardzo dostoyny i uprzejmy starszy pan, nie pozbawiony nieco uciążliwej delikatności wytwornego kamerdynera”. „Nie trzeba dodawać, że była to bardzo ceremonialna wizyta, a James wyglądał bardzo elegancko w surducie z tamtych dawnych lat. Nikt zaś nie jest tak strasznie dobrze ubrany, jak dobrze ubrany Amerykanin, nikt też nie jest tak strasznie dobrze wychowany jak dobrze wychowany Amerykanin... Rozmawialiśmy o najlepszej ówczesnej literaturze – Henry James taktownie, ja trochę nerwowo... Nagle od strony drzwi wejściowych dobiegł nas głośny ryk przypominający dźwięk zniecierpliwionej syreny mgłowej. Wiedziałem, że to nie syrena, bo słyszałem wyraźnie: »Gilbert! Gilbert!«. I rozpoznałem głos, jedyny taki na świecie, porywający niczym głosy tych, którzy »słyszeli, jak Ney krzyczał, by ustawić działa i utrzymać przez noc most na Berezynie«. To był Belloc, który krzyczał, żeby mu dać bekon i piwo, a ja nie miałem pojęcia, w jakim pokaże się stroju. Miałem wszelkie powody, by przypuszczać, że znajduje się setki mil od nas, we Francji. I najwidoczniej wcześniej tam był, wraz ze swoim przyjacielem i ministrem spraw zagranicznych – współwyznawcą pochodzącym z dawnej katolickiej arystokracji. Z jakiegoś powodu w połowie podróży zupełnie zabrakło im pieniędzy; Belloc słusznie chlubi się tym, że umie żyć jak biedak, i nierzad mu się to zdarzało... obaj podróżnicy wyruszyli w drogę powrotną. Podarły im się ubrania, więc przebrali się w jakieś lach-

many. Nie mieli brzytwy, a nie stać ich było na golenie. Musieli zaoszczędzić ostatnie pieniądze na podróż przez morze. Potem ruszyli pieszo z Dover do Rey, bo wiedzieli, że tu akurat przebywa ich przyjaciel. Dotarli do mnie, rycząc, by dać im jeść, i drwiąco oskarżali jeden drugiego, że po kryjomu się umył, przez co złamał niepisaną umowę włóczęgów. Gdy wpadli do środka, Henry James właśnie odstawiał filizankę i był w połowie formułowania wstępnej opinii”.

### ► Te złośliwe szkiełka

Chesterton traktował Polskę jako miejsce, gdzie przechowywane są i pielęgnowane cnoty i najlepsze tradycje Europy: wolność, rycerskość, odwaga i honor. Uważał, że jej rozbiory były zbrodnią także przeciwko etosowi europejskiemu; były zwycięstwem nowoczesnego barbarzyństwa nad państwem, które za wszelką cenę pragnęło ocalić wielkość kontynentu. Wierność wierze, ustrój polityczny zbliżający się do ideału demokratycznego państwa chrześcijańskiego, w którym nikt nie jest niewolnikiem, wszyscy są takim samym podmiotem prawa, a które to walory dostrzegał w Polsce – i nie wahał się o tym pisać wprost – uznawał, (podobnie jak te same przymioty obecne w mentalności irlandzkiej) za znaki nadziei na ocalenie cywilizacji łacińskiej. Pióennym hymnem na temat polskiego charakteru i niezłomnej postawy Polaków wobec bolszewickiego Wschodu jest jego wstęp do „Listów o Polsce” („Letters of Polish Affairs”) autorstwa edynburskiego filologa, Belga, prof. Karola Sarolea. Zwraca tam uwagę na chorobliwe, antyeuropejskie, antycywilizacyjne cechy ujawniające się w mentalności współczesnych Niemiec. Był zdania, że Niemcy barbaryzują Europę. Polskę postrzegał jako bastion obrony idei europejskiej.

„[...] zawsze byłem stronnikiem polskiej idei, nawet wtedy, kiedy moje sympatie opierały się wyłącznie na instynkcie” – pisał we wstępie do „Listów...”. „Mój instynkt nie wynikał z uprzedzenia ani z „sentymentu”. Nie był również skażony stronnictwem, choćby dlatego, że prawie wcale nie czerpałem informacji z polskich źródeł. Nie wyrobił się wreszcie pod wpływem przesadnych pochwał, gdyż, jak to prof. Sarolea wykazał, pochlebne sądy o Polsce są niezwykle rzadkością w naszym kraju. Wprost odwrotnie. Moja instynktowna sympatia do Polski zrodziła się pod wpływem ciągłych oskarżeń, miotanych przeciwko niej; – i rzec mogę, – wyrobiłem sobie sąd o Polsce na podstawie jej nieprzyjaciół. Doszedłem mianowicie do niezawodnego wniosku, że nieprzyjaciele Polski są prawie zawsze nieprzyjaciółmi wielkoduszności i męstwa. Ilekroć zdarzyło

mi się spotkać osobnika o niewolniczej duszy, uprawiającego lichwę i kult terroru, grzęznącego przy tym w bagnie materialistycznej polityki, tylekroć odkrywałem w tym osobniku, obok powyższych właściwości, namiętną nienawiść do Polski. Nauczyłem się oceniać ją na podstawie tych nienawistnych sądów i metoda okazała się niezawodną. Wszystkie fakty, jakie się nagromadziły od tej pory, potwierdzają słusność moich spostrzeżeń. Każdy czyn, dokonany przez Polaków, przemawiał na ich korzyść i przyczyniał się do rozproszenia uprzedzeń, tak rozpowszechnionych, niestety, w prasie i opinii angielskiej. Międzynarodowi politycy oskarżali Polaków o »dzikie pretensje« w stosunku do Prus w sprawie śląskiej. Międzynarodowy trybunał, utworzony przez tych samych polityków i uznany przez nich za nieomylny, przyznał Polakom bezwzględną słusność. Wykazywano nam, że Polacy są »histerycznymi dziećmi«, pozbawionymi dyscypliny i zmysłu praktycznego, niezdolnymi do wytworzenia żadnej formy bytu poza anarchią. »Histeryczne dzieci« odpowiedziały ważkim argumentem, zadając bolszewikom jedyny istotny cios, jaki ich dosięgnął, i krusząc ich potęgę na polach bitew, podczas gdy my poprzestawaliśmy na zwalczaniu bolszewizmu w artykułach dziennikarskich, pobłażając mu jednocześnie tam, gdzie chodziło o zapewnienie sobie rynków zbytu. [...] Niemcy, według własnego określenia, pełnili rolę »łącznika« pomiędzy zachodnią Europą, tj. Francją i Anglią, – a wschodnią, tj. Rosją i Polską. Pośrednik bywa zazwyczaj tłumaczem, a w tym wypadku tłumacz był tegim oszustem. Rosjanie nauczyli się patrzeć na zachodnią cywilizację przez pryzmat cywilizacji niemieckiej; – i na odwrót: w zachodniej Europie, dzięki niemieckiemu pośrednikowi, wytworzyło się przekonanie o »barbarzyństwie Wschodu«, – przekonanie tak uporczywe, że pojęcia »barbarzyństwa« i »wschodu« stały się nierozłączne dla przeciętnego Europejczyka. [...] Innymi słowy, narody zachodnie, a szczególnie ludy, trudniące się handlem, jak Amerykanie i Anglicy, patrzyły dotychczas na wschodnią Europę poprzez okulary niemieckiego profesora. A te złośliwe szkiełka miały tę właściwość, że o ile niekiedy powiększały świadomość Rosję, o tyle Polskę ukazywały zawsze w dziwnie umniejszonej postaci”.

### ► Wiara to miecz naszego ducha

Chesterton jako pisarz katolicki, który stale zastanawia się nad tym, co jest, a co nie jest rzeczywistością, nie mógł abstrahować od historii naszego kontynentu. W październiku 1925 roku pisał na łamach tygodnika „G.K.’s Weekly”: „Świat dzieli się dziś na tych, którzy

pragną, by wszyscy byli szlachtą, i na tych, którzy pragną, by wszyscy byli niewolnikami czy też niewolnymi pracownikami najemnymi. [...] Otóż, pod tym względem Polska odgrywa rolę szczególną, gdyż w jej narodowym charakterze leży właśnie ten rodzaj ludzkiej godności, który można nazwać szlachetnością. [...] I jeśli ktoś chce wiedzieć, czemu tak zdecydowanie stojemy po stronie Polski przeciw bolszewikom [...] to dlatego, że chcemy każdemu dać szlachectwo. Nie bezpieczeństwa, nie pensję; nie ochronę przed bolszewicką groźbą [...] lecz status człowieka honoru i wpływ na losy kraju”.

W poemacie „The Battle of the Stories” dawał do zrozumienia, że wszystkie zbrodnie, jakie dotknęły narody Europy podczas I wojny światowej, są nieuniknionymi następstwami przyjęcia bez protestów rozbiórów naszego kraju. Są rodzajem ekspiacji za ten grzech. „To oczywiście wizja poetycka” – komentuje Jaga Rydzewska, „ale z historycznego punktu widzenia jest to zarazem pogląd zaskakująco trafny. Gdyby Prusy nie urosły w siłę kosztem Polski, gdyby Polska w XIX wieku pozostała wielkim państwem i tradycyjnym sojusznikiem Francji, prawdopodobnie nie doszłoby ani do Pierwszej, ani zresztą do Drugiej Wojny Światowej”.

„Polska – mówił Chesterton – to kultura katolicka, wpełniona niczym nagie ostrze miecza pomiędzy bizantyjską tradycję Moskwy i pruski materializm. [...] Wiara katolicka stanowi najjaskrawszą różnicę pomiędzy Polakiem a bolszewikiem czy pruskim junkrem. (...) Jest to również przyczyna nader ułomnej sympatii, jaką odczuwają wobec Polski rozmaici dobrzy ludzie na Zachodzie, którzy zdegustowani patrzą na ten rodzaj życia duchowego i społecznego, ilekroć przypadkiem go zobaczą. [...] Nie lubią katolicyzmu w Irlandii i na pewno nie będą go lubić w Polsce. Za skarbę świata nie mogę jednak pojąć, czemu tak bardzo nie chcą się do tego przyznać. [...] O nie, bracia moi w chrześcijaństwie! Oni czują autentyczną sympatię dla prawdziwych interesów prawdziwej Polski. Właśnie dlatego nie chcą, by Polska miała port morski lub dobre granice. Właśnie dlatego wyrażają pobożne życzenie, by armia polska została pokonana przez bolszewików, a ziemia polska ukradzioną przez Prusaków...” („The End of the Armistice”).

„Atmosfera naszego świata to pokryta poduszkami sofa oraz pałac w pałacu i ogród w ogrodzie – atmosfera rozrzuconej nieodpowiedzialności Wschodu. Czy już i u nas nie ma tańców bez słów, przyjęć bez winy i całej tej niechrześcijańskiej koncepcji luksusu bez śmiechu? Czy nie doświadczamy już złowrogich „Baśni z tysiąca i jednej nocy” i czy nie żyjemy już w koszmarnych miastach niewiedzialnego despoty? Czy nasz kat nie dusi potajemnie cięciwą luku? Czy nie jesteśmy już eugenikami, to znaczy tymi, którzy kastrują? Czy nie dostrze-

gamy jasnych oczu, nieruchomych twarzy i obecności czegoś martwego, a jednak bezsennego? Jest to obecność grzechu zapieczętowanego pychą i zatwardziałością...”.

Dziś część społeczności, ta syta, zadowolona, majątna, chce udowodnić pozostałym, że ludzi jest ogólnie rzecz biorąc za dużo, ponieważ wielu z nich nie jest im już do niczego potrzebna; są bezużyteczni jak zepsute narzędzia. Zwłaszcza zaś niepotrzebni są ci, którzy mają się dopiero narodzić, powiększając cały ten ziemski zgłęb, hałas i ciasnotę. Dlatego wymyśla się „prawa kobiet”, „prawa reprodukcyjne”, „małżeństwa” homoseksualne etc.

Dzisiejsze społeczeństwo Polski mało przypomina to średniowieczne, jednak prawa ludzkie są tu zagwarantowane. Człowiek jest w Polsce wolny. Widział to i doceniał jeszcze przed wojną angielski pisarz. Jak jest w Anglii? Chesterton patrząc na angielskie społeczeństwo, twierdził, że tutaj ten najniższy w hierarchii społecznej stojący człowiek nie jest już wolny. „Wypędziliśmy go z jego pola... i stoi bezradnie na środku drogi. [...] Utracił to, co było możliwe dla chłopca. Nie może już za dnia grzebać się w ziemi, a w nocy spać na ziemi, nie będąc niepokojonym przez policjanta... Temu człowiekowi nie każe się nic robić, a jedynie zabrania robić cokolwiek”. Pisarz wykazywał, że mentalność, która w wyniku reformacji wkroczyła do sfer decydenckich, skazuje *de facto* część społeczeństwa na bycie podgatunkiem ludzkim. Jest to realne niebezpieczeństwo w całej Europie, która odwraca się od katolicyzmu. Dlaczego tak się stało? Pisarz odpowiada nie wprost. We wszystkich swoich książkach jednak bardzo poważnie traktuje sprawę wiary. Pośród ironii, beztroski, niestannego kpienia z modnych idei i wielkich tego świata – zaświadcza, że życie duchowe jest dla niego tym prawdziwym życiem. „Wiara to miecz naszego ducha; jedyne narzędzie, jakim umysł potrafi walczyć” – powtarzał. Tylko dzięki wierze ludzie wiedzą, że są ludźmi.

Wróćmy jeszcze raz, na koniec, do wizyty Chestertona w naszym kraju, którą wspomina w „Autobiografii”. Pisarz zapamiętał znajomość z młodym polskim hrabią, którego odwiedził w jego majątku, i oglądał ogromny stary dwór obrócony w ruinę przez Armię Czerwoną – była to sterta roztarzaskanego marmuru, spalonych i zniszczonych gobelinów. Jednak ten młody człowiek powiedział, że tak naprawdę nie może na jeźdźcom darować czegoś innego. [...] poprowadził nas długą aleją wysadzaną topolami. Na końcu stała figura Matki Bożej z odstrzeloną głową i rękami. Ale ręce były przedtem wzniezione i to właśnie okaleczenie sprawiło, że Jej gest wstawienniczy stał się jeszcze bardziej wymowny, jako błaganie o litość dla bezlitosnego rodzaju ludzkiego”.

Agnieszka Kowalczyk

# ODKRYWCA KRAINY JAKUTÓW.

## Losy Wacława Sieroszewskiego, część 2

Zesłany na Sybir w 1879 roku za działalność konspiracyjną i udział w buncie więziennym próbował dwukrotnie uciec z miejsca swego przeznaczenia – z najzimniejszego na półkuli północnej Wierchojańska. Za pierwszym razem wyprawił się przez góry (1881), za drugim – popłynął łodzią z biegiem Jany ku Oceanowi Lodowatemu, skąd usiłował przedrzeć się do Ameryki (1882). Obie desperackie próby zakończyły się niepowodzeniem. Wacław Sieroszewski nie poddał się jednak losowi.

**S**kazany na wieczne osiedlenie w okolicach Średniokołomska Władaw Sieroszewski mękę zesłańczego żywota przekuł w jakąś niewyobrażalną siłę wewnętrzną. Pozwoliła mu ona nie tylko zmierzyć się z potężnymi żywiołami natury i zżerającą go tęsknotą, lecz sprawiła także, że ten pozbawiony praw więzień polityczny przeobraził się w pisarza Syberii, autora oryginalnych powieści, opowiadań i nowel o życiu ludów Jakucji, którym poświęcił jednocześnie osobną monografię „Dwanaście lat w kraju Jakutów”.

### ► Na renach w syberyjską dął

Na to, by przygotować się do drogi z Wierchojańska do odległego o 1200 km Średniokołomska, należało zrobić konieczne zapasy żywności i zaopatrzyć się w odpowiednią odzież. O ile Sieroszewskiemu udało się zdobyć podstawowe produkty, a z grubych ubrań futrzane rękawice, czapę z łap białych lisów oraz torbasy, czyli długie buty z miękkich łap reniferowych, o tyle nie stać było go już na kuchlanke – ciepłą bluzę z futra młodych renów, którą miał na sobie transportujący go Kozak Aleksy. W drodze, którą starali się przebyć co koń wyskoczy, chwilowe wytchnienie znajdowali w brudnych jurtach, pośród Jakutów, dojnych krów i cieląt, zapachu odchodów i amoniaku, który „wprost dusił, gryźł oczy i wywoływał mdłości”. Na stacji w Andyczy Sieroszewski spróbował po raz pierwszy wybornej stroganiny, tłustej, świeżej ryby mrożonej, którą, pokrajaną na grube wiórki, je się na surowo, bowiem to popularne wśród Jakutów lodowe danie ma moc rozgrzewającą.

Dalsza podróż łożyskiem rzeki Dogdo odbywała się saniami zaprzężonymi w reny, które zdolne były biec do upadłego. Sieroszewski wspomina, jak usiłowały pokonać zastępujące im raz po raz drogę lodowe występy zwane tarinami, a ślizgając się po ich zaokrąglonych bokach, „padały na kolana, kaleczyły nogi, uderzały mordami o pogarbiony lód, rzucały się, szalały, znacząc śladami krwi każdy swój krok”. Dla niego samego była to podróż w głąb lodowych piekieł Sybiru, „jakaś szatańska jazda w ciemnościach, we mgle, w podmuchach lodowatego wichru i bryzgów wody, [...] w ciemnościach biegunowej nocy przy 60° zimna, w stężalym, twardym, namacalnym nieledwie powietrzu”. Wtedy to, niedostatecznie jeszcze ciepło ubrany, przemoczył i odmroził nogi. Nie wiadomo, czy przeżyłby dalszą drogę do Kołymska, gdyby nie Kozak Aleksy, który pół żywego z zimna wsadził na najłżejsze sanie „wyścigowe” i pomknął z nim w nadziei znalezienia jakiegokolwiek ludzkiej siedziby. Sieroszewski ocknął się dopiero, gdy poczuł, że ktoś żelazem rozwiera mu szczękę i wlewa do ust jakiś obrzydliwy płyn. Byli to Jakuci, którzy poili go rosółem ze zdechłego konia, a potem przez trzy dni le-



foto NAC

czyli mu nogi, wyparząc je w gorącej wodzie i smarując grubą warstwą kobyłego tłuszczu.

Gdy podczas jazdy przychodziło nocować w szczyrim polu lub w lesie, podróżni starali się znaleźć zaiscne miejsce, rozkopac w nim śnieg aż do gołej ziemi, by utworzyć jamę na głębokość leżącego człowieka. Jej dno pokrywali grubą warstwą jodłowych gałęzi, na których rozkładali niedźwiedzie i reniferowe skóry, a pośrodku rozpalali ognisko. Kładli się spać nogami do ognia, nakrywali grubo zajęczymi kołdrami i futrami, pod które wślizgiwali się, „jak Pan Bóg stworzył”. „Puch futra przyjemnie laskotał skórę – opowiada Sieroszewski – i grzało o wiele lepiej niż przez bieliznę. Koniec kołdry zwijało się na głowę. [...] Rzeczy i obuwiu trzeba było wyrzucić na zewnątrz dołu [...] dla wysuszenia ich, inaczej groziło zimno, a nawet odmrożenie ciała w czasie podróży nazajutrz w wilgotnym ubraniu”.

Średniokołym, do którego udało im się wreszcie dotrzeć, był mieściną liczącą trzydzieści domostw rozrzuconych wzdłuż rzeki Kołomy. Sieroszewski pisze, że w początkach XVII wieku Rosjanie pod wodzą Michała Staduchina przepłynęli łodziami cieśninę Beringa i tą drogą dotarli do ujścia Kołomy. Śmiałkowie ci z łatwością opanowali ten ogromny, liczący przeszło 600 tys. kilometrów kwadratowych kraj, którego mieszkańcy znajdowali się wówczas na etapie „kultury gładzonego kamienia”. Oparło się im tylko wojownicze plemię Czukczów, pokrewne ludom Alaski. Na podbijanych terenach najeżdżący budowali swoje drewniane twierdze, zwane ostrogami, które dały początek tutejszym miasteczkom. Największe zyski mieszkańcy tych okolic czerpali z handlu wódką i młodymi kobietami, które sprzedawano jako służące i robotnice do Jakucka, Witimu i Kireńska, a za dziewczynę (w istocie 13-, 14-letnie dziecko!) płacono cegielką herbaty bądź butelką wódki, mniej niż za żywego rena. W tym olbrzymim kraju lasów i jezior, „tonącym w błotach i mszarach”, który na północy przybierał postać bezleśnej tundry, głównym źródłem utrzymania było myślistwo i rybołówstwo.

### ► Jak wśród Jakutów narodził się pisarz Sybiru

Po przybyciu do Andylachu, małej jakuckiej osady nad wielkim jeziorem Andy, Sieroszewski znalazł kąt u bogatego gospodarza Andrzeja Slepowa, choć myśl o pobycie tu do końca życia była dlań istną torturą. Przygnała go „czarna tęsknota”, nie miał narzędzi, by otworzyć własny warsztat ślusarski, i ani jednej książki, a szczególnie wstręt budziły w nim ciemne jurty wypełnione gryzącym dymem i obrzydliwa rybia polewka – zielonkawa galaretowata masa zaprawiona tarem, czyli zakwaszonym starym mlekiem, do którego wrzucano wszystko, co pożywne, łącznie z mielonymi, sosnowymi włóknami, mięsem i kośćmi. Jedynym urozmaice-

niem monotonnej codzienności były lekcje rosyjskiego, których udzielał dziewięcioletniemu Jędrkowi, synowi Slepowa, człowieka twardego i surowego, który jednak nad wszystko kochał swego jedynaka i pragnął go kształcić. Po tym jednak jak chłopak zaginął bez śladu, porwany prawdopodobnie przez niedźwiedzia, gościnnie w swej jurcie zaproponował Sieroszewskiemu Apollon, brat szalejącego z rozpacz Andrzeja. Był on bogatym kupcem i sprawował urząd „księcia” (tojona) kangalackiego ulusu, a w jego domu żyło się dostatnio. W składach i kufrach przechowywano bogatą odzież, futra, zwoje perkalu, zapasy cegielkowej herbaty i tytoniu, w obejściu trzymano pięćdziesiąt sztuk domowego bydła, na alasach wypasano stada koni, a w jagielnikach pod czujnym okiem Tunguzów – renifery. Sieroszewskiemu wyznaczono tu dogodną, a zarazem honorowe miejsce, billerik – „najszczęśliwszą ławę pod obrazami jako »kąt« i sypialnię”. Żona Apollona Masta podsuwała mu przeróżne jakuckie przysmaki – szpik ze świeżo rozłupanych krowich lub reniferowych kości, to znów wyborną śmietankową polewkę z pachnących jagód dzienne albo świeżo zrobiony sorat (skwaszone mleko). By odwdziżyć się za gościnność, Sieroszewski postanowił wzbogacić ślubną wyprawę córki gospodarza Byczy srebrnymi i mosiężnymi ozdobami. Odkrywając jego zdolności, dostarczono mu zaraz jakuckie miechy i niezbędne narzędzia, by mógł dla całej wioski odlewać ze srebra krzyże, łańcuchy, nausznicę, pierścienie rytowane i upiękkszane emalią, a z mosiądzu i miedzi wycinać gwiazdy, skuwki, sprzączki zdobiące końskie siodła i strzemiona.

Gdy jesienią włócząc się ze strzelbą po tajdze, chłonną piękno syberyjskich pejzaży, szczególnie mocno uczuł obecność Boga w przyrodzie, a w sobie jakieś silne pragnienie życia. Patrząc na pożółkłe liście brzoź, drżącą srebrem osikę, purpurę głogów i dzikich porzeczek, postanowił, że opíše wszystko, co wokół widzi – „lasy, wody, góry, a przede wszystkim ludzi!”. Odtąd zaczął prowadzić szczegółowe etnograficzne notatki, pisał piórem dzieł gęsi, a za atrament służył mu wywar kory wierzbowej pomieszaną z rdzą i sadzą. W jurcie Apollona, przy blasku ognia buchającego z komina, gdy na zewnątrz panowały jesienne szarugi albo szalały śnieżyce, rodziły się w umyśle pisarza pierwsze pomysły literackie, wyrastały portrety psychologiczne bohaterów jego syberyjskich opowiadań – „Jesieni”, „Chajlach”, „Skradziony chłopak”, które w przyszłości współtworzyć miały zbiór prozatorski „W matni” (1897). Część z tych utworów, zaszyta w kożuchu jakiegoś wracającego do kraju wygnańca, przemyciona została do Warszawy i wydrukowana w „Głosie” pod pseudonimem W. Sirko (1887–1888). Doświadczenia zesłańczego życia w Andylachu, a potem w Jąży, do której został później odesłany na dalszy pobyt, posłużyły mu jako inspiracja do stworzenia powieści

„Na kresach lasów”, która opublikowana w 1894 roku stanowiła jego debiut książkowy. W swoich tekstach literackich Sieroszewski, zanurzając się w nurt życia jakuckiej wspólnoty, pokazuje, jak mieszkańcy najodleglejszych krańców ziemi podobni są do nas, Europejczyków, jak heroicznie walczą z przeciwnościami losu, przeżywają wielkie życiowe dramaty i konflikty moralne. Tak dzieje się w jednym z najbardziej jego poruszających utworów, w opowiadaniu „Dno nędzy”, które przedstawia kolonię trędowatych, żywych trupów wegetujących poza społecznością. W tę zbiorowość wyklętych wprowadza nas jedna z bohaterek, Jakutka Anna, zdrowa, młoda kobieta, która z własnej woli wyprawia się do jurty trędowatych, gdzie przebywa jej, dotknięty chorobą, mąż Grzegorz. Wśród wyrzuconych poza margines życia są małżonkowie Sałban i Kutujachsy – ludzie starzy, będący już w ostatnim stadium choroby, jęczący z bólu, dogorywający... Jest też mała dziewczynka Byterchaj, urodzona pośród trędowatych, niewinna, potulna i dobra, trzymająca się zawsze blisko Jakuta przezywanego Prądem, człowieka, który pomimo postępującej ciagle choroby nie traci optymizmu i ducha walki. To on pobudza do życia popadającego w odrętwienie Grzegorza, dodaje sił Annie, która choć odważna i szlachetna z natury, na dnie ludzkiej nędzy miewa chwile zwątpienia, i to on wreszcie jest prawdziwym ojcem dla osieroconej Byterchaj. Najbardziej chyba kontrowersyjną postacią okazuje się Mergeń – kobieta drapieżna, demoniczna, złowroga, nosząca w sobie wielką nienawiść do ludzi i świata, a jednocześnie skrzywdzona przez los. Ona to, młoda i piękna, znalazła się w kręgu ludzi skazanych na śmierć za życia. Była kiedyś szczęśliwą, ale mąż odrzucił ją za to, że nie dała mu potomstwa. Ta silna, twarda Jakutka, zwykle milcząca, groźna, zadająca za ławością ból innym, w chwili słabości, po urodzeniu dziecka w jurcie trędowatych wyznaje: „Znienawidził mnie, inną znalazł sobie kobietę, a mnie bił, katował, głodem morzył, żebym umarła, a gdy się to nie stało... odwiózł mnie tutaj do tego żywego piekła, skąd nikt nie wraca!”. Sieroszewski z wielkim wyczuciem psychologicznym kreśli portrety żyjących poza granicami świata. „Dno nędzy” to opowieść o walce w obronie człowieczeństwa, o znoszeniu cierpienia, przezwyciężaniu lęku egzystencjalnego, o poszukiwaniu miłości i bliskości drugiego człowieka.

### ► Odkrywca tajemnic Jakucji

Na wygnaniu pisanie dawało Sieroszewskiemu siłę do przetrwania. Odważnie mierzył się z losem, który zaczął mu sprzyjać. Dzięki staraniom siostry Pauliny otrzymał zgodę na przeniesienie się do miejscowości o łagodniejszym klimacie – do ulusu bajagantajskiego, a potem namskiego, gdzie żył z uprawy roli. Jednocześnie pochłaniała go praca nad monografią o Jakucji.

W 1892 roku udało mu się uzyskać paszport osiedleńczy wraz z prawem do swobodnego przemieszczania się po Syberii Wschodniej, dzięki czemu trafił do Irkucka, gdzie nawiązał kontakt z członkiem Towarzystwa Geograficznego, M. W. Pichtinem, który obiecał mu pomoc w opublikowaniu dzieła o Jakutach. Ta bezcenna rozprawa naukowa (wyd. 1896), która miała zająć trwałe miejsce wśród prac poświęconych Syberii, stanowi rozległe studium etnograficzne dotyczące zarówno geografii, klimatu i przyrody tego zakątka świata, jak i pochodzenia, przeszłości, życia codziennego oraz dorobku kulturowego Jakutów, a obok nich Czukczów, Tunguzów, Jakagirów i innych jeszcze ludów syberyjskich.

W swej książce Sieroszewski przedstawia Jakucję jako kraj zajmujący wschodnią część Syberii o specyficzne ukształtowanej powierzchni, którą stanowią dwie olbrzymie wklęsłości skorupy ziemskiej, oddzielone od siebie pasmami gór. „Głęb ładu, jak obrazowo pisze, zapełniają bezładnie splecione, potężne zmarszczki skał, fałdy, grzbiety, przepaście, łańcuchy gór i ich odnóża”. Tam, gdzie uprawa ziemi jest możliwa, powstają skupiska pól wtapiających się w lasy okolonie górskimi pasmami. Obsiewa się je zbożem (jęczmień, pszenica, żyto), dla którego wrogami stają się w porze jego rozwoju przymrozki, wiatry i dotkliwie susze. Jakucja ma bowiem klimat kontynentalny suchy, o długiej zimie, która na całym obszarze rozprzestrzenia się prawie jednocześnie – w początkach września ziemia, zaczyna stygnąć i podmarzać”, a w połowie października pokrywa się śniegiem, który już nie ginie. Powoli zamarzają wszystkie rzeki, jeziora pokrywają się lodem, długość nocy wzrasta i nadchodzą siarczyste mrozy. Za biegun zimna całej półkuli północnej uchodzą okolice Wierchojańska, gdzie temperatura w najmroźniejsze dni osiąga nawet minus 69°C. „Ciemno, cicho, sucho i lodowato – notuje Sieroszewski – nic się nie ruszy, nie zadźwięczy, ptak nie przeleci, wszędzie białość i spokój marmurowej kostnicy”. Tylko gwiazdy i księżyc jarzą się nad śniegami, bo słońce prawie wcale tu nie wschodzi albo pojawia się na chwilę, blade i zimne. „Drzemaj” też wiatry, bo gdyby było inaczej, „lasy ścięte przez mrozy na kryształ prysłyby pod ich tchnieniem jak szkło i zwierzę w najcieplejsze odziany futro, zginąłby niechybnie”. Jedynym ruchem w obumarłej przyrodzie jest zjawisko pęknięcia zmrożonej ziemi, a jedynym barwnym akcentem – zorze wschodu i zachodu. W przestworzu zaś w mroźne noce rozechodzą się jakieś tajemnicze szmery, które Jakuci nazywają „szepem gwiazd”.

Zmiany w przyrodzie zwiastuje dopiero nadejście pierwszych, silnych wiatrów, które przynoszą dużo wilgoci, ciepła i chmur, choć jeszcze w marcu temperatura w Wierchojańsku dochodzi do minus 36°C. Typowym wiosennym miesiącem jest tu kwiecień, w którym, jak mówi Sieroszewski, zima prowadzi „zażartą walkę” z co-

raz silniej świecącym słońcem. W Jakucji nie ustępuje ona nigdy, tylko chowa się „w głąb ziemi, w warstwach wiecznego lodu, cofa w cieniste, głębokie doliny, uchodzi nad ocean, [...] wciąż dyszy spod ziemi lodowatymi mgłami albo zimnym tchnieniem północnego wiatru [...]”. Ten wróg ukryty wiecznie grozi rozwijającemu się tu życiu, zuboża je i nadaje mu tragiczne, rozpaczliwe cechy”. W końcu jednak tryumfujące oblicze wiosny sprawia, że śnieg znika, spienione potoki ze „zwyczajnym szumem” wpadają do jezior i koryt rzecznych, w których pod ich naporem pękają lody i obsuwają się z wolna, tworząc potężne zatory i wywołując straszne powodzie. Pierwsze budzą się ze snu wierzyby, wypuszczając delikatne „baški”, a obok brzozy o słodko pachnących pączkach, dalej zielenią się: olszyna, osina, modrzew. Jeszcze pnie drzew są złodowaciale, ale już ich górne gałązki grzane słońcem „pęcznią sokami życia” i wabią wonnym, miodowym sokiem stada kuropatw, jarząbków, głuszców i cietrzewi. Wszystko wokół aż mgli się „śliczną, złotą, wiosenną zielenią”, zakwitają pierwsze jakuckie kwiaty – bladożółte i różowe anemony, srebrzystoliliowe przylaszczki i złote sasanki. Całe chmary ptactwa unoszą się w przestworzu – suną po niebie sznury białych łabędzi, trójkąty szarych gęsi i żurawi, stada krzykliwych kaczek, a wszystko to świergocze, gwizdże, pokrzykuje, napęniając powietrze wesołą wrzawą. „Ten zaiste dionizyjski triumf życia, słońca, szał i miłości nad mrokiem i mrozem niedawnej zimy ciągnie się zaledwie dni kilkanaście i dlatego jego pośpiech i moc są upajające” – zachwyca się Sieroszewski. Lato zaś przynosi w Jakucji prawdziwie afrykańskie upały. Termometr pokazuje w cieniu nawet plus 37°C, a w słońcu plus 48°C. Kamienie i piasek rozgrzewają się do tego stopnia, iż przypiekają stopy nawet przez cienką podszew obuwia, a konie podają pod jeźdźcami. Upałom towarzyszą niejednokrotnie nawałnice z piorunami i gradem, które powodują nagłe oziębienie ziemi pokrywającej się białym szronem. Z końcem lipca rozpoczyna się pora deszczowa, która trwa aż do września. Ciepłe ulewę zmieniają się stopniowo w zimne, jesienne szarugi. Północno-zachodnie wiatry oziębiają atmosferę, zwiastując nadejście zimy, która w październiku rozpanoszy się na dobre.

### ► Jedyne pocieszyciel Jakutów

W takim to świecie, wtopieni w naturę, żyją od wieków Jakuci – „na wpół osiadli, na wpół koczujący, po większej części rybacy, cokolwiek pasterze i łowcy, ubodzy, dzicy”. Są ludźmi raczej niskiego wzrostu, krępej budowy, o długich i cienkich rękach, a krótkich, krzywych, „tatarskich” nogach, o niewielkich głowach, ale szerokich nosach i grubych, mięsistych wargach. Żołądki tych, co źle się odżywiają, mając za pokarm tylko so-

ny lub modrzewia. „rozpychają się do potwornych rozmiarów”. Choć nie odznaczają się siłą mięśni i nie nadają do dźwigania ciężarów, potrafią doskonale biegać i skakać, są dobrymi cieślami, drwalami i woźnicami. Najlepiej rozwinał się u nich zmysł słuchu. Jakuci bajagantajscy opowiadali Sieroszewskiemu, że są złodzieje, którzy słyszą dźwięki na odległość pięciu kilometrów w lecie, a w zimie – ośmiu. Wielu wyróżnia się zdolnościami manualnymi – ci wyrabiają drobne snycerskie przedmioty z kości słoniowej, srebra i drzewa, umieją też pięknie pisać i rysować. Z usposobienia są weseli, lubią towarzystwo, zabawy, tańce i wszelkie formy rywalizacji, choć łatwo popadają w nałóg pijaństwa, a ich wady to obżarstwo, lenistwo, ospałość.

W księżce Sieroszewskiego, który ukazuje wszystkie niemal sfery życia Jakutów, szczególnie zajmujące wydają się rozdziały poświęcone ich wierzeniom i kulturze, zwłaszcza osobie szamana i roli, jaką odgrywa we wspólnocie. Takiego prawdziwego szamana miał on okazję poznać osobiście. Był nim „suchy, zwiedły, żyłasty starzec” Tüspüt, który czarami zajmował się od lat trzydziestu. Miał brudnoszare, przenikliwe oczy, które podczas czynionych obrzędów rozszerzały się, nabierając wyrazu dzikiego oblędu. Sieroszewski opisuje, jak jego „czarodziejski kaftan” – podobny do fraka, obwieszony na plecach i piersiach mnóstwem blaszanych krążków z wyobrażeniami słońca, zwierząt i ptaków – „za najmniejszym poruszeniem drży i dźwięczy lub w szalonym tańcu huczy jak burza, jak oddział cwałującej kawalerii”. Szaman to dla Jakutów „jedyne pocieszyciel i doradca, jedyna nadzieja w bolesnych i ciężkich przygodach”. Wzywają go najczęściej po to, by wróżył, błogosławił, zapewnił powodzenie w trudnych sprawach, a przede wszystkim, by pomagał chorym, ratował ich od śmierci. „Szamani leczą wszystkie choroby »jakuckie« – pisał Sieroszewski – tj. związane z jękiem, płaczem, rzucaniem się; histerie, oblędy, konwulsje, choroby kobiece, gorączki płożowe, choroby organów wewnętrznych, wszelkie rany, wrzody, zapalenia płuc, tyfusy, zapalenia gardła, reumatyzmy, przeważnie... ostre”. Nie lubią „chorób cichych”, takich jak suchoty, szkarlatyna, trąd, ospa i odra, ale w ostateczności, gdy „ludowi grozi zagłada”, gotowi są pospieszyć na ratunek. Sam szaman według wierzeń Jakutów umiera pokonany przez duchy, które „nigdy nie przebaczą mu jego odwagi, nie zapominają przeszłości, jakie im stawią, dusz ludzkich, które im odbiera”. Sieroszewski, będąc pod wrażeniem szamańskich praktyk, pisał: „Niektórzy do tego stopnia mistrzowsko rozkładają ciemność i światło, ciszę i dźwięki, w głosie ich drżą takie wzruszające nuty błagalne, groźne, śpiewne lub okropne; łoskot ich bębna tak odpowiada nastrojowi chwili; hymny, pieśni, opowieści są pełne tak pięknych, malowniczych słów, [...] że nawet Europejczyk będzie się

czuł pokonany przez niewysłowny urok dzikiej twórczości tej duszy pierwotnej i wolnej”.

W szczególny sposób przemówiła do pisarza ludowa twórczość Jakutów, której poświęcił osobne miejsce, zamieszczając w swej monografii wiele przykładów autentycznych opowiadań, podań, bajek, pieśni, przysłów, zagadek, które zasłyszał i zebrał w czasie zesłania. Podziwiał zwłaszcza pieśni jakuckie – bohaterskie, miłosne, dydaktyczne, religijne, satyryczne i wesołe piosenki o tanecznym rytmie. Sami Jakuci o swojej twórczości mówili: „Mamy śliczne pieśni o bohaterach, o starodawnych czasach. Nasi przodkowie do boju zawsze szli z pieśnią na ustach” (ułus kołymski, 1883); „Są pieśni tak cudne, że naruszają porządek świata [...]. Te pieśni mącą życie” (ułus namski, 1890); „Są trzy pieśni wyrosłe z jednego pnia, jak trzy rosochy drzewa: jest pieśń duszy ludzkiej, jest pieśń boga ludzkiego i pieśń oddechu szatańskiego. Od tej ostatniej schną rośliny” (ułus namski,

cz. Trafił do tego samego co niegdyś X Pawilonu Cyta deli i usłyszał wyrok skazujący go ponownie na syberyjskie zesłanie. Dzięki temu jednak, że w tym czasie Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne zaproponowało zasłużonemu już etnografowi udział w ekspedycji naukowej na północne wyspy japońskie, otworem stanęły przed nim: Mongolia, Mandżuria, Chiny, Korea, Sachalin i Japonia. Owocem tej wyprawy badawczej są: szkice „Na Daleki Wschód” (1905), monografia krajoznawcza „Korea. Klucz Dalekiego Wschodu”, opowiadanie o dramacie tancerki koreańskiej „Ol-Soni Kisań” (1906) oraz cykl nowel japońskich uznanych obok syberyjskich za najlepsze w jego dorobku. Swą podróż Sieroszewski przerwać musiał z chwilą wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej (1904), kiedy to przez Cejlon, Kair i Włochy dotarł do Warszawy, by już wkrótce, podczas rewolucji 1905 roku, trafić po raz kolejny do X Pawilonu za działalność socjalistyczną i niepodległościową. Zwolniony

GDY JESIENIĄ WŁÓCZĄC SIĘ ZE STRZELBĄ PO TAJDZE, CHŁONAŁ PIĘKNO SYBERYJSKICH PEJZAŻY,  
SZCZEGÓLNIIE MOCNO UCZUŁ OBECNOŚĆ BOGA W PRZYRODZIE, A W SOBIE JAKIEŚ SILNE  
PRAGNIENIE ŻYCIA.

1891). Sieroszewskiego zafascynowały zwłaszcza jakuckie opowiadania osnute wokół autentycznych zdarzeń, zwane był-yr (przeszłość), wśród których znalazł różne – budzące grozę, wzruszenie bądź śmiech, a oddające cechy umysłowości Jakutów „lubujących się w plastycie i jasności obrazów”. Zdaniem pisarza to natura dalekiej północy ukształtowała wyobraźnię i sposób postrzegania świata przez Jakutów, co znalazło swoje odzwierciedlenie w ich twórczości literackiej. „Czyste powietrze sybirskie, [...] stępy, łąki, lasy, senne, olbrzymie rzeki, niezliczone jeziora, góry posępne, [...], bezbrzeżne śniegi, miraż, mgły, zorze północne, wichry gwałtowne i nagłe – wszystko złożyło się na wytworzenie jaskrawego tła opowieści jakuckich”.

### ► Rozmowa ze swoją ziemią

Dzieło o Jakutach przyniosło Sieroszewskiemu nie tylko złoty medal przyznany przez Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne, lecz także otworzyło przed nim drogę powrotną do kraju. Na ojczystej ziemi stanął w 1896 roku, ale już po czterech latach został znów aresztowany pod zarzutem zorganizowania manifestacji robotniczej w związku z uroczystościami na cześć Adama Mickiewi-

z więzienia, przebywał w Krakowie i Zakopanem, a jesienią 1910 roku wyjechał do Paryża, gdzie wstąpił do Związku Strzeleckiego, by w czerwcu 1914 roku powrócić do ojczyzny i znaleźć się w szeregach Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego. Podczas I wojny światowej służył w drugiej kompanii kadrowej jako piechur, a potem ułan i wachmistrz oddziału Władysława Beliny-Prażmowskiego. Los okazał się dla niego łaskawy. W 1918 roku doczekał się niepodległej Polski, o której śnił w jakuckich jurtach i syberyjskich tajgach. Siegając pamięcią do tamtych czasów, przypominał sobie, jak pewnego dnia na zesłaniu otrzymał tajemniczą przesyłkę od swojej siostry Pauliny, a w niej bezcenne skarby – dzieła Konopnickiej, Sienkiewicza, Prusa i kilka powieści Kraszewskiego. Przypominał sobie, jak na ten widok oniemiał ze wzruszenia i po prostu się rozplakał. Jakuci dziwili się, szeptali między sobą: „Nic, tylko książki!... papiery!... Ani cukru, ani soli, ani herbaty! Pewnie dlatego płacze!...”. Lecz spośród tych wszystkich dochodzących doń głosów jeden tylko bronił go zdecydowanie: „Dajcie mu spokój! On rozmawia ze swoją ziemią!”. Teraz, gdy był już wolny, pojmował całą istotę tego zdarzenia, w którym kryła się moc jego życia „czerpana z drogiej liter ojczystego języka”.

Rosyjski agent finansowy w Paryżu, niejaki Raffałowicz, w 1904 roku skarżył się swojemu przełożonemu: „W ciągu pierwszych miesięcy potworna sprzedajność prasy francuskiej pochłonie sumę 600 000 franków”. Według zestawień rosyjskiego ministerstwa finansów z 1906 roku, subwencje dla prasy francuskiej, pochłonęły w jednym tylko 1905 roku ponad... dwa miliony franków. Zakładanie przez Rosję własnych ugrupowań, mediów, placówek naukowych i kulturalnych czy zdobywanie w nich wpływów to klasyczna metoda jej działania w podbijanych państwach. W 1938 r. wybitny polski rosjoznawca Włodzimierz Bączkowski pisał: „Głównym rodzajem broni rosyjskiej, decy-

dującym o dotychczasowej trwałości Rosji, jej sile i ewentualnych przyszłych zwycięstwach, nie jest normalny w warunkach europejskich czynnik siły militarnej, lecz głęboka akcja polityczna, nacechowana treścią dywersyjną, rozkładową i propagandową. W tej też dziedzinie twórczości obronnej Rosji skupia się gros wysiłków rosyjskich umysłów”.

Przedrukujemy dziś fragmenty klasycznego eseju Bączkowskiego „Uwagi o istocie siły rosyjskiej”. Pewne jego fragmenty przedrukowywaliśmy w „Nowym Państwie” krótko po 10 kwietnia 2010. Dziś w większości inne fragmenty tego samego artykułu, warte analizy w chwili, gdy ponawiane są próby za-instalowania u nas prorosyjskiej prawicy.

Włodzimierz Bączkowski

# Uwagi o istocie siły rosyjskiej

W 1856 r. Mierosławski pisał: „Najwyraźniejszym objawem przewagi Rosji jest nieustanne przesiąkanie jej niszczącej myśli do dziedzin najbardziej niechętnych jej panowaniu i do ludów najbardziej podrażnionych, najbardziej czujnych na jej najście”.

Analizując [...] wojny zaborcze Rosji, przekonamy się, że Moskwa z reguły podbijała narody bądź znajdujące się w stanie kompletnego upadku, bądź też nie stawiające większego oporu. [...] Jednocześnie momentem najbardziej zastanawiającym jest fakt, że najmniejszy opór na długo zatrzymywał zwycięski podbojowy pochód Rosji, a najmniejszy, lecz prężny i zdrowy moralnie ośrodek państwowo-narodowy umiał trzymać w szachu o wiele potężniejszą Moskwę. [...] Rola siły zbrojnej Rosji we wszystkich tych wydarzeniach występuje w świetle bladym, jako coś marginesowego, co będąc zawsze słabe, jednocześnie umie zwyciężać

dzięki wspianiale układającym się okolicznościom ubocznym, przy których na czołowe miejsce wysuwa się czynnik uchwycenia odpowiedniego momentu oraz świadomego tworzenia dogodnego dla siebie układu stosunków. Stajemy w ten sposób przed zjawiskiem siły rosyjskiej, leżącej gdzieś poza formalną siłą militarną. [...]

► **Państwo azjatyckie zewnątrznie zabarwione europeizmem**

Nie możemy jednak pozostać na powierzchni faktów, nie sięgając głęboko w ducha rosyjskiego dla

wyjaśnienia sobie istoty siły rosyjskiej. Musimy na wstępie uświadomić sobie następujące fakty:

Rosja, której główne państwowotwórcze procesy odbywały się na wschód od Moskwy, jest z punktu widzenia kultury państwowej (i nie tylko państwowej) państwem azjatyckim, powierzchownie i zewnętrznie zabarwionym europeizmem. Z azjatyckiego charakteru Rosji wypływa swoisty, podszyty mistycyzmem materializm światopoglądowy Rosjan. Stąd zaś wypływają dwie cechy rosyjskiego życia zbiorowego: niezdolność do poświęceń życia w walce o ideały narodowe lub państwowe oraz szukanie innych metod walki a unikanie walki zbrojnej, wymagającej krwi i najwyższej ofiarności. Tą inną drogą walki jest akcja polityczna, prowadzona różnorodnymi metodami i skrajnie przewrotna, nie zatrzymująca się przed masowymi aktami wszelkiego rodzaju gwałtu sprowadzającego akcję polityczną do charakteru specjalnego rodzaju wojny nieregularnej. [...]

U jednego z pisarzy chińskich czytamy: „Dezorganizujcie wszystko, cokolwiek jest dobrego u nieprzyjaciela, wciągajcie przedstawicieli warstw najwyższych do hańbiących występku, niegodnych ich stanowisk, potem zaś, w miarę potrzeby, odsłaniajcie ich przestępstwa. Nawiązujcie kontakty z najbardziej upadłym ludźmi u waszych wrogów, przeszkadzajcie rządowi wroga, siejcie niezgodę, niezadowolenie wśród poddanych, młodszych rzućcie na starszych, dążcie, aby armia wrogów waszych zawsze miała braki w aprowizacji i umundurowaniu, wprowadzajcie muzykę rozmiękczającą obyczaje, dla ostatecznego rozkładu wroga posyłajcie rozpustnice. Bądźcie szczodrzy w propozycjach, w prezentach, uprzejmościach, oszukujcie, jeśli zajdzie potrzeba, dla dowiedzenia się, co dzieje się u nieprzyjaciela, nie żałujcie pieniędzy, im więcej pieniędzy wydajecie, tym większa będzie korzyść, są to pieniądze oddane na wielki procent, posiadajcie wszędzie szpiegów”.

Ten kto posiada tego rodzaju narzędzia akcji, poucza pisarz chiński, kto umie używać tego rodzaju metod, siac wszędzie rozkład i kłótnię, ten dopiero istotnie ma prawo do rządzenia, jest skarbem dla władcy i podporą państwa.

### ► Król, prymas i 110 innych nazwisk

Dzieje dyplomacji moskiewskiej równie jasno świadczą o niezwykle przebiegłej i krętackiej taktyce postępowania. Zachowane instrukcje posłów moskiewskich od Iwana Groźnego do Aleksieja Michajłowicza nakazują posłom łączyć siłę i posiadłości cara moskiewskiego. [...]

Niezwykle charakterystyczne są dzieje dywersyjnego podboju Polski przez Petersburg w II poł. XVIII

wieku. Ten podbój nie miał nic wspólnego z rozgrywką militarną – rozstrzygająca była tu na szeroką skalę zakrojona dywersja oraz rozkład sfer rządzących Polski. Zdobyte z archiwum Igielstoma przez powstańców kościuszkowskich kwity rosyjskich agentów-dygnitarzy, przedstawicieli arystokracji i sfer sejmowych ówczesnej Polski odsłaniają bezmiar upadku moralnego ówczesnej elity polskiej oraz wspaniale przeprowadzoną i szeroko zakrojoną akcję rosyjskich ambasadorów w Warszawie. Około 110 nazwisk, a wśród nich nazwisko króla, ks. Czartoryskiego, prymasa Lubieńskiego, Ogińskiego, ks. Antoniego Czetwertyńskiego, wojewody Dzierżbickiego, biskupa Kossakowskiego, Raczyńskiego, Radziwiłła, Potockich, prymasa Poniatowskiego, kasztelana Ossolińskiego itd., widnieje na kwitach z archiwum ambasady rosyjskiej. Do liczby 110 nazwisk dołączyć tu należy całą plejadę niższych funkcjonariuszy policji i urzędów administracji ogólnej, które były na służbie rosyjskiej, pobierając regularne miesięczne pobory przez długie lata.

### ► Najwybitniejsi uczeni i pisarze w służbie Moskwy

Równie pouczające są dzieje odparcia metodą dywersji inwazji Napoleona oraz rozkładu w szeregach niemieckich żołnierzy cesarza Francuzów. Już w 1910 r. wywiad rosyjski zaangażował ministra policji Prus, Grunera, który prowadził na terenie Niemiec propagandę prorosyjską oraz antyfrancuską. [...] Najwybitniejsi uczeni i pisarze niemieccy byli w tym czasie na służbie rosyjskiej, wydając książki, broszury, periodyk demontujący biuletyny wojenne kwatery głównej Napoleona. Propaganda rosyjska mianowała Napoleona wrogiem ludzkości i Antychrystem. [...]

Cesarz Francuzów, wyraźnie się starzejący w okresie wyprawy na Rosję, zapomniał w walce z Rosją użyć środka podniesienia chłopów rosyjskich przeciwko państwu. Skądinąd wiemy, że Napoleon zaniechał również szeroko rozpracowanego przez agentów francuskich oraz ambasadora Francji w Stambule planu podniesienia powstania na Ukrainie.

W sposób zupełnie podobny w treści pokonano wroga niepomrotnie słabszego i w dodatku bynajmniej nie agresywnego, mianowicie Szamila, na Kaukazie Północnym. „Przemysłna linia polityki narodowościowej oraz klasowej, poprowadzona przez Rosjan od r. 1847 na Kaukazie, zniszczyła poczucie jedności i siłę sprzeciwu ze strony Górali”. (Swieczin). [...]

W nieprzebranej ilości przykładów dywersyjnego działania Rosji na terenie Europy i świata wybierze-

my przykład przekupienia przez Rosję carską prasy francuskiej, charakteryzujący się niezwykłą hojnością i wybitnym zrozumieniem dla skuteczności działania propagandowego. W dokumentach ogłoszonych przez bolszewików dla kompromitacji caryzmu czytamy, jak rosyjski agent finansowy w Paryżu, Raffałowicz, pisał w 1904 r.: „W ciągu pierwszych miesięcy potworna sprzedajność prasy francuskiej pochłonie sumę 600 000 franków”. Wg zestawień rosyjskiego ministerstwa finansów z 1906 r., subwencje dla prasy francuskiej, pochłonięły w jednym tylko 1905 roku ponad dwa miliony franków.

## ► 1920: „Przeceniliśmy zrewolucjonizowanie wewnętrznej sytuacji w Polsce”

Rok 1920 jest dalszym ciągiem dzieł dywersji rosyjskiej, za którą wleczę się byle jaka armia będąca dodatkiem, rodzajem licznej watahy pacyfikacyjnej. B. Szaposznikow, bardzo dyskretnie dyskutujący z pomysłem „pochodu za Wisłę” Tuchaczewskiego, dość wyraźnie atakuje naiwne, europejskie poglądy niefortunnego czerwonego marszałka. Kłeska 1920 r. wypłynęła nie ze słabości armii czy jej nędznego wyekwipowania, jak to tłumaczy Tuchaczewski, lecz z niedostatecznego zrewolucjonizowania Polski. „Przeceniliśmy zrewolucjonizowanie wewnętrznej sytuacji w Polsce w tym okresie. Ta przesada w ocenie sytuacji w Polsce znalazła swój wyraz w nadmiernej, tzn. nie uzgodnionej z naszymi możliwościami, ofensywnej operacji”. Ten pogląd wypowiada L. Trocki. W postawie Szaposznikowa łatwo wyczuwa się przekonanie, że nie należy szukać źródła klęski w takim czy innym stanie armii. To jest sprawa drugorzędna, sedno sprawy tkwi gdzie indziej – w tym co wojnę powinno poprzedzać i jej wynik określać z góry nieomal w 100%. [...]

Istota taktyki Kominternu polega na tym, aby nie zapominając o przewodniej idei dążyć do jej realizacji drogą najskrajniejszych kompromisów. Katolików bratać z komuną, masonów z papieżem, byle naprzód, byle bliżej do celu. Jeden z założycieli Kominternu L. Trocki w bardzo charakterystyczny sposób przemawiał do młodzieży-agitatorów, wysyłanych na Ukrainę w 1919 r.:

„Towarzysze! To, o czym my tu w Rosji mówimy z zupełną otwartością, na Ukrainie można mówić szeptem, a jeszcze lepiej w ogóle nic o tym nie mówić. Umiejętność milczenia należy również do jednej z form krasomówstwa. Wy Towarzysze wyruszacie na Ukrainę. Pamiętajcie, że nie ma pracy agitatorskiej bardziej trudnej niżeli na Ukrainie. Po raz trzeci wysyłamy tam silne kadry i za każdym razem z coraz nową taktyką, z coraz nowymi chwytami. Konkretnie praca wasza będzie polegała na przestrzeganiu następujących zasad: 1. Nie narzu-

cać chłopu ukraińskiemu komuny dopóty, dopóki nasza władza tam nie zostanie utrwalona. 2. Ostrożnie wprowadzać komunę w dawnych majątkach pod nazwą karteli lub stowarzyszeń. 3. Przekonywać, że w Rosji nie ma komunizmu. 4. Jako przeciwwagę wobec niepodległościowemu Petlurze i innym – twierdzić, że Rosja również uznaje niezależność Ukrainy, lecz pod warunkiem istnienia tam władzy sowieckiej, zaś Petlura sprzedaje Ukrainę państwu burżuazyjnym. 5. Tylko idiota lub prowokator, bez sensu, wszędzie i przy każdej okazji będzie mówił, iż walczymy z Petlurą. Czasem, dopóki Denikin nie został całkowicie rozbity, lepiej puszczać pogłoski, że władza sowiecka jest w sojuszu z Petlurą”. Dodać należy, że tego rodzaju przemówienie wygłosił Trocki wobec grona młodzieży żeńskiej, „kursistek”. [...]

## ► Jak Mickiewicz, Krasiński i Mierosławski rozumieli Rosję

Polska wielka myśl romantyczna świetnie zdawała sobie rację z treści Rosji i z istoty siły rosyjskiej. A. Mickiewicz widział wyraźnie azjatycki charakter Rosji, rudymenty planowej gospodarki itp. Z. Krasiński szedł głębiej i dalej: „Rosja jest wytworem pierwiastków najbardziej złowrogich i najbardziej rozkładowych, jakie są w historii. Zepsucie wyrafinowane ostatnich czasów Bizancjum przeszło w jej kościół i jej dyplomację. Srogość nieubłagana a zimna chańów mongolskich stała się sprzęzną jej administracji. Urządzenia gminne pierwotnych Słowian przechowały się u jej ludów. Rosja jest wielkim komunizmem, rządzoną przez władzę zarazem teokratyczną i wojskową. Ta władza zaś równa terrorowi z 1793 r. w okropności, jest od niego nierównie wyższa w swej organizacji, w swej zdolności trwania. Danton, Marat i Robespierre to figury blade, jeśli się je postawi obok takich rewolucjonistów, jak Iwan Groźny, jak Piotr I, jak Mikołaj I. Jeśli Rosja ma przestać być plagą, gotową zawsze spaść na kościół, na cywilizację, na świat, to jest na to tylko jeden sposób: doprowadzić ją do zupełnej niemocy. Wszelki pokój zawarty przed tym ostatecznym rezultatem pogorszy tylko sytuację i pchnie nieprzyjaciela do nowych i straszniejszych wysiłków. Upokorzony, ze zdartą maską, ale nie osłabiony, chwyci się on innej broni i zanim powtórzy swój chybiący zamach na Konstantynopol, przygotowuje sobie inne drogi, ciemniejsze a skuteczniejsze. Poda rękę wszystkim tajnym stowarzyszeniom, wszystkim konspiracjom i skrytym konspirationom. Będzie je opłacał swoim złotem a popierał swoimi intrygami. Słowem odda całą swą potęgę na usługi rewolucji socjalnej, aby obalić trony tych dynastii, co świeże zerwały z nim przymierze, albo nim wzgardziły”.

W 1856 r. Mierosławski pisał: „Najwyraźniejszym objawem przewagi Rosji jest nieustanne przesiąkanie jej niszczącej myśli do dziedzin najbardziej niechętnych jej panowaniu i do ludów najbardziej podrażnionych, najbardziej czujnych na jej najście”.

„Czemu przypisać tę nieomal niemoc wszelkich wysiłków materialnych Francji i Anglii przeciwko państwu trzykrotnie słabszemu technicznie, niż każde z nich, jeśli nie temu naczelnemu rozbrojeniu, tej niewidzialnej malarii, którą sączą doktryny rosyjskie poprzez wszystkie szczyty społeczne Zachodu, aż wreszcie przedostają się one do najgłębszych pokładów społeczeństwa zachodniego. Doktryny te mogą być tylko zaprzeczne, i to właśnie czyni je tak groźnymi. Idea rosyjska, to w istocie swjej cesarat mongolski starego świata, czyli zaprzeczenie drogi pochłaniania wszelkich praw ludzkości. Ma ona zbyt wiele sprytu na to, by miała wy-

## ► Akcja polityczna ważniejsza od armii

Reasumpcje naszych rozważań o istocie siły rosyjskiej będą następujące: Głównym rodzajem broni rosyjskiej, decydującym o dotychczasowej trwałości Rosji, jej sile i ewentualnych przyszłych zwycięstwach, nie jest normalny w warunkach europejskich czynnik siły militarnej, lecz głęboka akcja polityczna, nacechowana treścią dywersyjną, rozkładową i propagandową. W tej też dziedzinie twórczości obronnej Rosji skupia się gros wysiłków rosyjskich umysłów, tych wysiłków, które w Europie ograniczają się głównie do dociekań na tematy manewrowo-operacyjne.

Armia rosyjska jest *de facto* drugoplanowym rodzajem broni rosyjskiej. Ocena więc siły Rosji wg każdorazowego stanu armii rosyjskiej może być niejedno-

POLSKA WIELKA MYŚL ROMANTYCZNA ŚWIETNIE ZDAWAŁA SOBIE RACJĘ Z TREŚCI ROSJI I Z ISTOTY SIŁY ROSYJSKIEJ. A. MICKIEWICZ WIDZIAŁ WYRAŹNIE AZJATYCKI CHARAKTER ROSJI (...). Z. KRASIŃSKI SZEDŁ GŁĘBIEJ I DALEJ: „ROSJA JEST WYTWOREM PIERWIASTKÓW NAJBARDZIEJ ZŁOWROGICH I NAJBARDZIEJ ROZKŁADOWYCH, JAKIE SĄ W HISTORII”.

stąpić otwarcie, zadawała się wszczepianiem własnych nienawiści i wstrętów w sercu narodów, po których duszę sięga. Ileż złych instynktów, ileż zawiści mrocznych, ile zaprzaństwa duchowego, ile, zwłaszcza, słabości do stało się nieświadomie na żołąd tego kusiciela, który drugą ręką sieje oszczerstwa przeciwko wszystkiemu, co mu staje na przeszkodzie”.

W odrodzonej Polsce jeden J. Piłsudski zdobył się na podobny do Z. Krasińskiego poziom zrozumienia istoty rosyjskiej mocy i rosyjskich środków działania. Przede wszystkim z myślą o Rosji mówił on o agenturach na zjeździe kaliskim w 1927 r.: „agentury obce, to jest zjawisko stałe i codzienne, towarzyszące nam rok za rokiem, dzień za dniem, jest to część naszego życia tak wielka i tak starannie w stosunku do nas ułożona, iż nasza praca, że tak powiemy, jest współbieżna z pracą agencji obcych”.

Stosunek J. Piłsudskiego do Weyganda, opisany przez D'Abernona, motywowany przez Piłsudskiego względami specyficznego charakteru wojny z Rosją, w której doświadczenie największego chociażby generała Europejczyka z frontu francusko-niemieckiego nie na wiele się może przydać tam, gdzie raczej kolonialny dowódca może coś wskórać, potwierdzają zdawanie sobie przez J. Piłsudskiego sprawy ze specjalnego charakteru metod walki Rosji.

krotnie słuszną, lecz w zasadzie i na dłuższą falę jest błędna. Armia rosyjska, jakkolwiek kwantytatywnie jest odpowiednikiem armii zachodnioeuropejskich (powszechna służba wojskowa itp.), w istocie jest ubezpieczeniem dla właściwej akcji obronnej i ofensywnej państwa rosyjskiego, prowadzonej z reguły na jej flankach, w awangardzie awangardy, lub na głębokich tyłach i zmierzającej do rozkładu zdolności obronnych wroga, po którym następuje tryumfalny marsz hordy, która mordując bezbronnych (jak Soworow wycinał Pragę) robi wrażenie surowego, klasycznego typu wojska. W Rosji nie istnieje pełny związek pomiędzy siłą zbrojną i jej stanem a sukcesami militarnymi i zdobyciami terytorialnymi. Stąd też obecny nawrót do upolitycznienia armii i likwidowania pozabawionych specjalnej kultury politycznej technik wojskowych na najwyższych stanowiskach uznać należy za zjawisko dla Rosji naturalne. [...]

Ważnym momentem jest tu również brak utrwalonego centrum duchowego Rosji. Rosja jest tajnym koczownikiem – stolicę Rosji można przenieść do zmotoryzowanych kibitek i oddawać ją wrogowi na całe dziesiątki lat bez wywołania tych moralno-politycznych wstrząsów, na jakie bywa w tych wypadkach narażony każdy naród rolniczy, zachodnioeuropejski.

Rosji może zagrozić tylko tego rodzaju oręż, który: a) będzie odpowiednikiem rosyjsko-dywersyjnych metod działania, b) będzie orężem wielkich haseł politycznych i wielkich idei, z których na czoło wybić się powinna najbardziej rozkładowo na Rosję działająca idea wolności. Prometeizm, łączący w sobie treść wielkiej idei wolności ludów podbitych przez Rosję, z techniką politycznego rozkładu Rosji, to oręż, który jest jedyną właściwą odpowiedzią na metody i taktykę rosyjsko-sowiecką. Nic więc dziwnego, że prowadzona przez agenturę rosyjską akcja w krajach otaczających Rosję, a przede wszystkim w Polsce, dąży do zdyskredytowania idei prometejskiej oraz do izolowania jej w społeczeństwach antysowieckich. Zamordowanie S. Petlury, Ramiszwiligo, T. Hołówki – to jeden rodzaj niszczenia tego, najgroźniejszego dla Sowietów, oręża obrony i natarcia. Rozkład od wewnątrz, przekupstwo, organizacja wrogiej dla prometeizmu opinii wśród kół sławo-

Wszelka tendencja do niwelatorstwa wschodnio-zachodniego, stawiania znaku równości pomiędzy strategią wschodnią i zachodnią w świetle tej generalnej zasady wielkiego i genialnego syntetyka i znawcy Wschodu wydaje się produktem niewiedzy lub całkowitego nieodczuwania klasycznego dalekiego Wschodu [...]

Rzeczywistość nie reprezentuje typów czystych walk. W rzeczywistości strategia wschodnia i strategia zachodnia są do siebie często z grubsza podobne, lecz wyrzucenia pewnych zjawisk w jednym rodzaju strategii tam, gdzie u strony przeciwnej istnieją, wgłębienie – oto co obrazuje rzeczywistość. Wschód i Moskwa chorują na elephantiasis dywersji, akcji rozkładowej itp. Zachód chory jest na garb prostolinijności i action directe, którą Rosja określa niepoehlebnym przysłowiem: „Prostota chuże wowstwa”.

Lecz i jeden organizm i drugi, wschodni i zachodni, podobne są do siebie w tym wszystkim,

ROSJI MOŻE ZAGROZIĆ TYLKO TEGO RODZAJU OREŻ, KTÓRY: A) BĘDZIE ODPOWIEDNIKIEM ROSYJSKO-DYWERSYJNYCH METOD DZIAŁANIA, B) BĘDZIE OREŻEM WIELKICH HASEŁ POLITYCZNYCH I WIELKICH IDEI, Z KTÓRYCH NA CZOŁO WYBIĆ SIĘ POWINNA NAJBARDZIEJ ROZKŁADOWO NA ROSJĘ DZIAŁAJĄCA IDEA WOLNOŚCI.

filsko nastawionych, lub wpływanie przez dawne grupy organiczne pojednawczo wobec Rosji nastawione – to druga metoda niszczenia prometeizmu. Anarchizacja stosunków narodowościowych wewnątrz państw, otaczających Rosję leży wprost na linii celów i zadań dywersji rosyjskiej. Na ile zaś tego rodzaju metody mogą i muszą głęboko sięgać, niech czytelnik osądzi czytając powyższe studium, obrazujące w niezwykłym skrócie najistotniejszą metodę działania Rosji, jaką jest dywersja, rozkład i krytyka stych.

## ► Szkodliwe „niwelatorstwo wschodnio-zachodnie”

Na zakończenie artykułu należy się czytelnikowi pewne wyjaśnienie, mogące go uchronić przed niesłusznym oskarżeniem autora o przypisywanie Rosji i jej metodom walki cech, które bądź zdołają większość państw imperialnych w świecie, bądź też używane są z wybitnym talentem przez inne państwa od Rosji odległe, zarówno kulturalnie jak i przestrzennie [...]

co jedność rodzaju ludzkiego i wspólnota pragniezy kulturalnej reprezentuje. Chodzi więc o sprecyzowanie natężenia zjawisk wyrzuseń – charakterystycznych metod walki Rosji. Niewątpliwie różne okresy przynoszą większe lub mniejsze nasilenie tych zjawisk charakterystycznych dla Rosji. Dziś przeżywamy okres największego w dziejach Rosji wzmożenia pierwiastka dywersyjnego, rozkładowego oddziaływania na państwa ościenne i liczenia na dezorganizujące metody słowa mówionego i drukowanego. Rosja dzisiejsza – to Rosja z wizji Z. Krasinśkiego, to Moskwa ze zdartą maską i poczuciem słabości, świadoma niemożności pokonania w szybkim tempie wewnętrznych trudności i kłopotów oraz licząca na utrzymanie swej państwowej jedności i oparcia się wrogom i interwencjom zewnętrznym tylko w drodze rozkładu sąsiadów dalszych i bliższych [...]

Przedruk za: „Wschód-Orient; Kwartalnik poświęcony sprawom Wschodu”, Warszawa, październik-grudzień 1938. Śródtytuły od redakcji „Nowego Państwa”.



Ryszard Czarnecki

# Barwy kampanii A.D. 2019

Policzyłem: to była moja dziewiąta kampania. W tym czwarta europejska. Cztery do sejmu: dwie wygrałem, dwie przegrałem. Zatem: remis. Europejskie wygrałem wszystkie. Samorządową miałem jedną jedyną (przegraną). W każdej swojej kampanii harowałem jak wół – ale ta była chyba najbardziej intensywna. A może po prostu lata lecą i wstawanie o świcie i kładzenie się spać późną nocą, przemieszczanie się ze spotkania na spotkanie, wystąpienia, ściskanie tysięcy rąk, udział w różnego rodzaju uroczystościach – a więc coś, co przecież lubię – kiedyś jednak nie angażowało aż tylu sił?

Barwy kampanii. Naprawdę tysiące ludzi, bardzo dużo serdecznych reakcji, masę wyrazów wsparcia, trochę mowy nienawiści („Ty pisowski śmieciu”, „burak”). Szereg świetnych, merytorycznych spotkań na wysokim poziomie organizowanych przez nasze struktury, trochę debat, choć jakby ich mniej było w tej kampanii. Dlaczego? Bo niektórzy kandydaci uciekali od nich, gdzie pieprz rośnie, poczynając od warszawskiej „jedyńki” Koalicji Europejskiej Włodzimierza Cimoszewicza, który nie tylko nie wydał chyba złotówki na plakat, baner czy billboard, lecz także nie wziął udziału dosłownie w żadnej debacie. To samo wielkopolska „jedyńka” KE, czyli ekspremier Ewa Kopacz: praktycznie zero debat. Gdyby tak zachowywali się politycy na Zachodzie, pierwsi zadziobaliby ich dziennikarze. A w Polsce – cisza. Gdyby były premier i lider listy w stolicy państwa potrafił samochodem rowerzystę we Francji, w Niemczech czy Holandii, byłby to temat medialny „numer 1” przez ładnych parę dni. A nad Wisłą więcej pisano o stanie zdrowia ekspremiera niż o tym dramatycznym potrąceniu. A dementi, że nie uciekł z miejsca wypadku, składał nie on, tylko rzeczniczka SLD, a potem jego syn – poseł. Sam zainteresowany na ten temat się nie wypowiadał – i to też na Zachodzie nie byłoby darowane przez media.

Najdziwniejsze pytanie? Na warszawskiej „patelni”, czyli miejscu, gdzie spotykają się ludzie dojeżdżający kolejką podmiejską do głównej stacji metra,

pewien pan patrząc mi przenikliwie w oczy, spytał mnie: „W jakiej jest pan łoży?”. Zdaje się, że nie uwierzył w odpowiedź.

Mam jeszcze jakieś swoje archaiczne ulotki z pierwszej kampanii A.D. 1991. Przez te niemal trzy dekady jakże zmieniła się sztuka politycznego PR – skądinąd w pierwszych wolnych wyborach do sejmu pojęcia „PR” nie znano. Owe prymitywne ulotki z inflacją słowa pisanego, prawie bez zdjęć – to jakby dowód na kampanię wybiorczą z innej planety. Tyle się zmieniło, ale też nic się nie zmieniło, bo cały czas toczy się bitwa o Polskę między obozem patriotycznym, niepodległościowym a kosmopolitycznym.

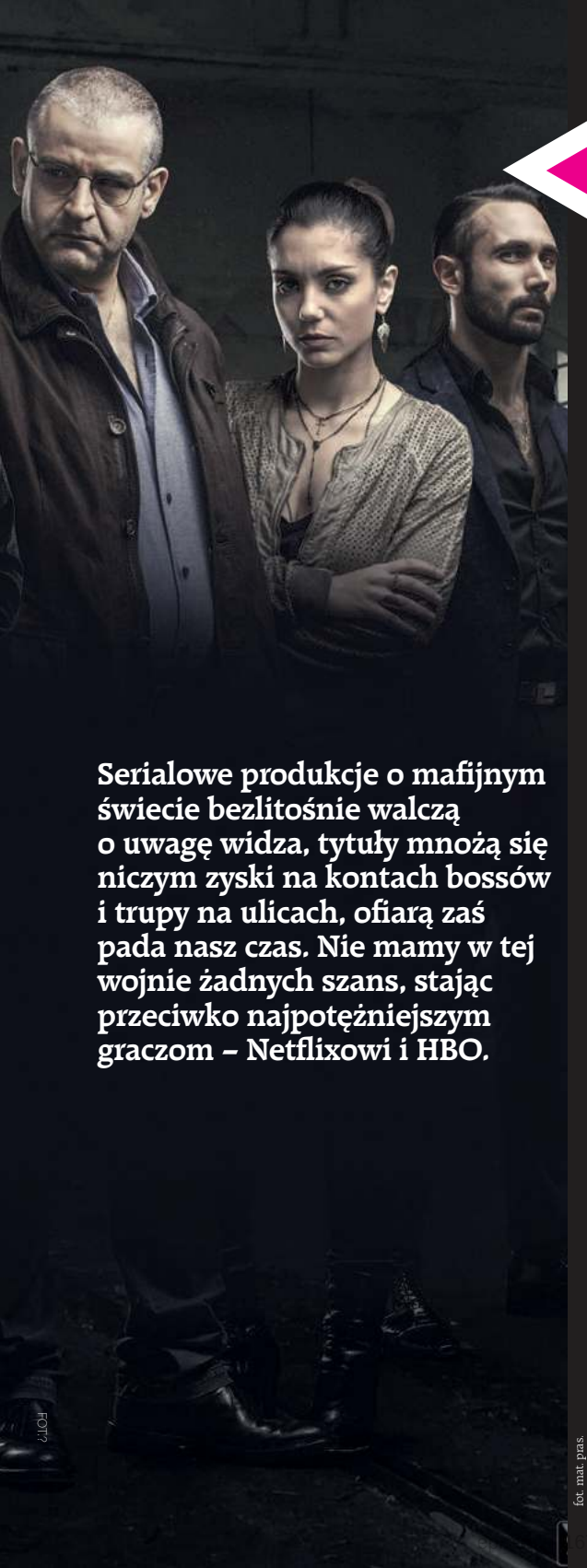
W czasie tej kampanii miałem jedną szczególną „podróż sentymentalną”. Odwiedziłem miejscowość pod Warszawą, nad Zalewem Żegrzyńskim, w której chodziłem do szkoły podstawowej. Miałem spotkanie w miejscu pracy mojej śp. Mamy. Byli na nim ludzie, którzy pamiętają 3- czy 6-letniego Rysia, w których mieszkaniach bywałem i z których dziećmi się bawiłem. Wielu z nich znało osobiście i przeważnie pracowało z moją śp. Mamą. Części z nich szefowała. Pod koniec lat 60. telewizory były rzadkością, my go nie mieliśmy, w domu się nie przelewało i na telewizję chodziło się na świetlicę przy maminym instytucie. Pamiętam tę drogę do dziś. Cóż, to było 50 i więcej lat temu. Stanisław Pigoń napisał swoje „Z Komborni w świat”. Czy ja napiszę swoje „Z Jadwisina w świat”? W tejsze miejscowości dzięki dobrym ludziom zawisły moje banery – miejscowe „kodziarstwo” zerwało je pierwszej nocy po ich zawieszeniu. Zawziętość, z jaką niszczone moje plakaty w stolicy (byłem na nich sfotografowany z Jarosławem Kaczyńskim) – jest godna zapamiętania. Z jednej strony robili to na pewno „totali”, z drugiej ludzie Konfederacji: ci ostatni zostawiali „odciski palców”, naklejając na moje plakaty swoje. Za możliwość umieszczania moich na słupach zapłaciłem, zatem zarówno zrywanie ich, jak i naklejanie własnych, pomijając aspekt chuligański – to zwykle złodziejstwo.

Czy to była moja ostatnia kampania w życiu? A kto tak mówi? ■



Krzysztof Karnkowski

# SYNOWIE MAFII, KREWNI ESCOBARA



**Serialowe produkcje o mafijnym świecie bezlitośnie walczą o uwagę widza, tytuły mnożą się niczym zyski na kontach bossów i trupy na ulicach, ofiarą zaś pada nasz czas. Nie mamy w tej wojnie żadnych szans, stając przeciwko najpotężniejszym graczom – Netflixowi i HBO.**

**S**eriale, jak mafie, podzielić możemy na rodziny i klany. Mamy więc rodzinę włoską, którą tworzą „Suburra” i „Gomorra”, klan latynoski, którego najważniejszą figurą jest „Narcos”, działające gdzieś na ich przecięciu grupy hiszpańskie z „Kokainowego Wybrzeża” i „Życia bez pozwolenia”, a najbliższej nas, lecz według podobnego schematu, operują „Berlińskie psy”. Na drugim końcu świata, w Korei Południowej, schematami z Włoch, przefiltrowanymi przez lokalne warunki i osadzonymi we własnych tradycjach, żywią się „Bad guys 2”.

#### ► „Gomorra”, „Suburra”, „Narcos”

Mafie i handel narkotykami to temat modny od bardzo dawna, co najmniej od czasów sukcesów „Ojca Chrzestnego” czy później „Człowieka z blizną” i „Ośmiornicy”. O tej ostatniej, przy okazji omówienia dwóch popularnych współczesnych włoskich seriali „Gomorra” i „Suburra” i filmów pod tym samym tytułem, pisałem już w „Nowym Państwie” w numerze z grudnia 2017 roku. Od tamtej pory doczekaliśmy się kontynuacji obu tytułów, przy czym HBO emituje obecnie już czwarty sezon „Gomorri”, zaś Netflix drugi sezon „Suburri” wypuścił już jakiś czas temu.

Pierwsze dwa sezony „Gomorri” bardzo mocno nawiązywały do prawdziwych historii, opisanych w głośniejszej książce Roberto Saviano pod tym samym tytułem. Nazwisko Saviano pozostało w napisach, jednak już trzeci sezon skupił się na wojnach mafijnych bossów, odpuszczając trochę element prawdziwego dramatu społecznego, stanowiącego o oryginalności serii. Same wojny zaś, oparte na powtarzającym się schemacie rzeź-porozumienie-zdrada kogoś niezadowolonego, chciwego bądź niepotrafiącego wybaczyć-rzeź... zaczęły być w pewnym momencie nużące. Sezon czwarty, przynajmniej w części, która jest dostępna w chwili, gdy piśzę ten tekst, przynosi pewne spowolnienie akcji, które może rozczarować niektórych widzów, jest jednak według mnie zbawiennym odświeżeniem formuły. Jedyne pozostały przy życiu główny bohater, Gennaro, chce odpocząć, zostawia więc Neapol i bierze się za budowę wielkiego międzynarodowego lotniska. Niestety już od dawna za serial nie odpowiada Stefano Sollima, włoski mistrz gatunku. Jego następcy nie zmieniają jednak zbyt wiele i trzymają się sprawdzonej formuły.

„Suburra” to historia trzech bezczelnych chłopaków (dwóch jest dziedzicami mafijnych rodzin, a trzeci policjantem), którzy przypadkiem stają się ważnymi graczami w wojnie o atrakcyjne grunty. Drugi sezon przynosi pewne wydoroszenie bohaterów, którzy stopniowo wybijają się na bandycką niepodległość. Mocniej niż poprzednio zarysowany jest wątek polityczny, zbliżają się bowiem wybory, miasto zaś paraliżuje strach przed

fot. mat. pras.

uchodźcami. Na tych ostatnich zarobić chce powiązana z Kościołem organizacja, to jednak nie jest na rękę mafii – obóz stanąć ma w najbardziej pożądanej przez nią lokalizacji. Trzeba więc obstawić i lewicę, i prawicę. Kluczową postacią będzie znany już z pierwszej części polityk niezależny, który swą niezależność postanowił sprzedać – i to kilku stronom naraz.

Poświęcony Pablo Escobarowi serial „Narcos” wyrobił sobie już dawno pozycję kultowego. Opowieść o najbardziej znanym kolumbijskim handlarzu narkotyków, mającym też ambicje społeczne i polityczne, nie bez powodu zdobyła uznanie widzów. To serial opowiadający historię rozłożoną w czasie w sposób barwny, zdystansowany i bardzo wciągający. Nic dziwnego, że producenci, po nakręceniu trzech sezonów (trzeci opowiada o wydarzeniach, mających miejsce już po śmierci Escobar,

o zbliżającym się końcu, gdy pozornie niezniszczalną rodzinę rozkładają intrygi, chęć zemsty, wreszcie choroba Alzheimera, na którą cierpi główny bohater. W „Życiu bez pozwolenia” wymieszano opowieść o korupcji z rasowym, wielowątkowym dramatem, w którym poziom i skomplikowania intryg nie powstydziliby się twórcy niejednej telenoweli. Dość wspomnieć, że starzejący się król wybrzeża ma na głowie żonę, syna – mocno prze rysowanego homoseksualistę, jedną córkę puszczalską, drugą, nieślubną – mądrą i najporządnieszczą z nich wszystkich, wreszcie – przysposobionego wychowanka, który czuje się pominięty przy podziale majątku. W tle zaś są jeszcze rządowi agenci i całkowicie zdemoralizowana, dysząca chęcią zemsty szwagierka wraz z jeszcze od niej gorszym pasierbem. Brzmi to ryzykownie, ale składa się na zaskakująco dobry i świeży serial. Co praw-

## POŚWIĘCONY PABLO ESCOBAROWI SERIAL „NARCOS” – OPOWIEŚĆ O NAJBARDZIEJ ZNANYM KOLUMBIJSKIM HANDLARZU NARKOTYKÓW, MAJĄCYM TEŻ AMBICJE SPOŁECZNE I POLITYCZNE – NIE BEZ POWODU ZDOBYŁ UZNANIE WIDZÓW.

bara, jednak od czasów „Ośmiornicy” wiemy, że takie opowieści często trwają dłużej niż życie bohatera) postanowili w tej samej formule opowiedzieć o historii karteli z Meksyku. Nawet fakt, że o tych samych czasach i bohaterach w dużym stopniu traktuje już inny Netflixiowy serial – „El Chapo” – nie był przeszkodą, by wyprodukować jeszcze „Narcos: Meksyk”, serial trochę mniej szalony i artystyczny od głównej opowieści, jednak równie ciekawy, który opowiada o początkach wielkiego imperium, zbudowanego przez byłego policjanta na nowo wyhodowanej odmianie marihuany i wszechpotężnej korupcji.

### ► Mafia po hiszpańsku

Popularność „Narcos” zainspirowała również twórców hiszpańskiego „Kokainowego wybrzeża” opowiadającego, jak wyglądało to z perspektywy drugiego krańca Atlantyku, na który przyływał znany nam już dobrze towar. To znów opowieść oparta na faktach, o tworzeniu się mafii i wieloletniej walce nieskorumpowanego policjanta i wszechpotężnego diler. Kto nie ma dość, może więc obejrzeć czwarty raz to samo, choć przecież nie do końca... Trochę inaczej rzecz ma się z kolejną hiszpańską produkcją – „Życiem bez pozwolenia”. Tu mamy już fikcyjne postacie, chociaż początki kariery trzęsącego całym regionem przemytnika Nemesio mogliśmy spokojnie umieścić w opisanej wcześniej serii. To jednak opowieść

da konserwatywny widz dość często odwróci zapewne głowę, ponieważ szczegółów z życia syna geja dostanieśmy tu sporo. Tyle że zważywszy na tragizm postaci (podobnie jak w przypadku „Gomorri” i odrzuconego przez rodzinę Cygana-homoseksualisty) trudno uznać to za promocję czegokolwiek...

### ► Trochę Niemiec, trochę Korei

Z pokazanych miejsc najbliższymi nam do Berlina. O „Berlińskich psach” przez chwilę było u nas głośno, gdy kadr z filmu obiegił nasze media społecznościowe jako autentyczne zdjęcie uchodźcy zastraszającego policjanta. I to już mówi nam sporo o serialu, ponurym, po niemiecku siemiężnym, lecz też niepoprawnym politycznie. Z tu-recką mafią (zamiast narkotyków mamy tu zakłady bukmacherskie), strefami no-go i neonazistami.

Na koniec zostawiam koreański serial „Bad guys 2: The Vile city”, również dostępny dla polskich widzów. Tu szaleństwo „Gomorri” spotkało się z typowo azjatyckim obrazem przemocy i podobnym przecież modelem korupcji i upadku struktur państwa. W efekcie dostajemy znakomitą opowieść o działających według własnych zasad mścicielach, którzy z osobistych powodów mają dość determinacji, by próbować oczyścić wszechogarniające bagno. W moim prywatnym zestawieniu to najlepszy koreański serial ubiegłego roku, dlatego bez żadnych wątpliwości polecam go fanom gatunku. ■

Marek Kalinowski

# Coraz młodsze „Polish Jazz”

Prestiżowa seria wydawnicza „Polish Jazz” przeżywa swoją drugą młodość. Co to znaczy „ognista osobowość”, przekonamy się na najnowszej płycie tria Kuby Więcka.

„Pana osobowość składa się w dziewięćdziesięciu procentach z ognia” – miał powiedzieć pewien wiedeński lekarz jazzmanowi Kubie Więckowi. Muzyk niedawno wspominał o tym w radiowej dwójce. Słuchając jego muzyki, trudno tej diagnozie nie odmówić racji.

Gdy dwa lata temu w prestiżowej serii „Polish Jazz” ukazał się jego debiut, konserwatywni słuchacze zamarli w oburzeniu. Oto bowiem 22-letni saksofonista wydał swoją pierwszą płytę w najbardziej prestiżowym zbiorze polskich nagrań jazzowych. Obrosła legendą seria gromadzi przecież tak ważne płyty jak „Astigmatic” Krzysztofa Komedy, „Music for K” Tomasza Stańki, „Baazaar” Jerzego Miliana czy „Winobranie” Zbigniewa Namysłowskiego. Przez lata stała się pewnego rodzaju skansenem, do którego klucze mogą otrzymać wyłącznie muzycy z odpowiednim dorobkiem i licznymi nagrodami. Konserwatyści zapomnieli przy tym, że czczone przez nich albumy sprzed pół wieku, wielokrotnie przenosiły muzykę jazzową na nieznane wówczas tory. Okazało się zresztą, że to, co przeszkadzało jazzowym purytanom, zachwyciło szeroką publiczność i płyta „Another Raindrop” otrzymała nagrodę Fryderyka za najlepszy debiut jazzowy.

Od głośnego debiutu tria Więcka upłynęły dwa lata i mamy już drugą płytę – „Multitasking”, również wydaną w serii „Polish Jazz”.

Urywane, energiczne dźwięki saksofonu w otwierającym płytę „SUGARboost” od razu wywołują skojarzenie z najgłośniejszym dzisiaj londyńskim jazzmanem Shabaką Hutchingssem, którego płytę niedawno przeżywalismy. Po chwili dołącza perkusja, a muzyka z sekundy na sekundę przyspiesza, wciągając nas w swój magiczny trans. Saksofon rytmicznie współgra z bębnami, by znów

uciec w porywające improwizacje – tak właśnie zaczyna się „Multitasking”.

Sposób korzystania z instrumentu to na pewno niejedyny możliwe skojarzenie Hutchingsa z „Multitasking”. Bo Kuba Więcek podobnie jak Shabaka Hutchings to człowiek wielu zadań. Grał już w kilkunastu składach – sycąc wyobraźnię przeróżnymi konwencjami. Należy do pokolenia, które nie wychowało się wyłącznie na jazzowej klasyce. Więcek i Hutchings swoje muzyczne inspiracje do jazzu przenoszą z muzyki klubowej, alternatywnego rocka czy hip-hopu. Reprezentują nowe pokolenie artystów i słuchaczy, dla których etykiety nie mają najmniejszego znaczenia.

Wróćmy jednak do „Multitasking”. Prawdziwy brzmieniowo-rytmiczny misz-masz przynoszą „Niszycielskie buldożery”. Utwór wytrąca nas z równowagi, prezentując świetną współpracę tria. Grający na basie Michał Barański i perkusista Łukasz Żyta to bardzo doświadczeni muzycy. Więcek w ich rytmice zyskuje so-

lidne oparcie dla rozbudowanych kompozycji.

Z utworu na utwór płyta zaskakuje, wybudzając słuchacza z rutyny i przynosząc kolejne wrażenia. „Jazz Masala” odkrywa tajniki indyjskiej techniki konnakol, a w „Jazz Robots” przelotnie gości Marcin Masecki i tylko trochę szkoda, że na płycie znalazło się tak mało przestrzeni dla fenomenalnego pianisty.

A może by tak w ogóle pójść tropem kulinarnym? – płyta wprost zachęca do niestandardowych poszukiwań. „JazzMasala”, „Tacos in LA” – krążek aż tętni od „smakowitych kawałków”. Bogactwo brzmień i melodyjność tematów (tu zwłaszcza polecam prawdziwie relaksujące „The Day Off”) czekają na odkrycie przez Państwa.



Kuba Więcek Trio, MULTITASKING, Polish Jazz, Warner Music



Marcin Porszowski

# The Daniel Castro Band

Już po raz 39. w Sali NOSPR i hali katowickiego Spodka odbędzie się Rawa Blues Festival, najstarsze w naszym kraju, coroczne spotkanie entuzjastów bluesa.

Początki festiwalu sięgają PRL-u. Wówczas wydarzenie to szybko stało się okazją do spotykania się młodych ludzi, którzy nie chcieli być ograniczeni muzyką określonego gatunku. Festiwal był ponadto przestrzenią dla chwilowego oderwania się od otaczającej rzeczywistości społeczno-politycznej. Od wielu już lat Rawa Blues to niezwykle ważna europejska scena promująca bluesa, co potwierdziła prestiżowa Blues Music Award w kategorii „Keeping The Blues Alive” dla „Największego na świecie festiwalu bluesowego pod dachem”, przyznana przez The Blues Foundation w Memphis.

Na scenie tegorocznej Rawy Blues wystąpi aż sześciu interesujących wykonawców ze Stanów Zjednoczonych. Wśród nich gitarzysta i wokalista z Kalifornii, Daniel Castro z zespołem. Muzyk ten swoją grą nawiązuje do najlepszych bluesowych tradycji, bluesowych wirtuozów gitary i stylistów, takich jak Albert King, Albert Collins i B.B. King. Daniel Castro poznał bluesa w dzieciństwie, kiedy jego siostra podarowała mu kilka płyt B.B. Kinga. Ogromne wrażenie zrobiło na nim charakterystyczne gitarowe tremolo mistrza. Ale zawodowe granie zaczynał od rocka, z czego mógł się utrzymać. Przełomem w jego karierze pod koniec lat 80. XX wieku stały się występy w klubie The Sa-

loon w San Francisco, w którym później, gdy był już uznanym wykonawcą, powstał materiał na jedną z jego płyt „Live At The Saloon” (2003). W autorskich utworach i bluesowych standardach Daniel Castro balansuje w obszarze bluesa, blues-rocka i boogie z Zachodniego Wybrzeża. Szczególnie porywająco wypada podczas występów, a decyduje o tym to, jak angażuje się całym sobą w każdym bezpośrednim kontakcie z publicznością. Dzięki temu należy do szczególnie wyróżniających się gitarzystów bluesowej sceny Zachodniego Wybrzeża. Jego podstawowymi instrumentami są fendery telecastery [gitarę elektryczną produkowaną przez firmę Fender – przyp. red.], w różnych strojach. Przyznaje, że gitara wciąż zdumiewa go swoimi możliwościami, zachęcając do nieustannego grania, któremu oddaje się w poświęceniu, że „nawet w przypadku trzech akordów trudność polega na tym, aby zagrać je z właściwym feelingiem”.

Mimo niechęci Daniela Castro do podróżowania samolotami, szefowi Rawy Blues, Irkowi Dudkowi, udało się przekonać go do przylotu do Katowic, na pierwszy i jedyne koncert w Polsce.

39. Rawa Blues Festival odbędzie się w dniach 12–13 października w Katowicach. ■

# Rawa Blues



THE WORLD'S BIGGEST INDOOR BLUES FESTIVAL

**NOSPR 11.10.2019 GODZ. 19.30**

**RICK ESTRIN & THE NIGHTCATS  
IREK DUDEK**

**SPODEK 12.10.2019**

**JAMES BLOOD ULMER  
MEMPHIS BLOOD BLUES BAND FEAT.  
VERNON REID**

**VICTOR WAINWRIGHT  
& THE TRAIN**

**THE DANIEL CASTRO BAND  
LINDSAY BEAVER**

**HANNAH WICKLUND  
& THE STEPPIN' STONES**

**CHRISTINE & THE BLUE DRAGS ★ WILLIE MAE UNIT  
BLACKBERRY BROTHERS ★ BLUES JUNKERS**

**SCENA GŁÓWNA OD GODZ. 15.00**

*Adam Zalewski Trio, Magda Hanausek, Lublin Street Band, Roxana Tutaj & Good Omen  
Black Job, Blues Menu, Diapositive, Silesian Hammond Group, Tipsy Drivers, The Storks*

**SCENA BOCZNA OD GODZ. 11.00**

*Prowadzenie koncertów: Piotr Baron, Jan Chojnacki i Marek Jakubowski*

**info: [www.rawablues.com](http://www.rawablues.com) bilety: [www.ticketmaster.pl](http://www.ticketmaster.pl)**



eprasa.pl 10-za2e87a

Antoni Rybczyński

# Prezydent Zełenski, czyli Ukraina wypływa na nieznane wody



Rządy rozpoczął od rozwiązania parlamentu, mimo ogromnych konstytucyjnych wątpliwości, czy może to zrobić. Na szefa swej administracji mianował łącznika oligarchy. Podczas inauguracji zasugerował ustępstwa wobec Rosji. Początek prezydentury Wołodymyra Zełenskiego budzić może duże obawy. Za wcześnie jeszcze na twierdzenie, że Ukraina schodzi z dobrego kursu, ale już wiadomo, że to będzie czas wielu niespodzianek i kontrowersji. Nie tylko dla samych Ukraińców.

„Nie boję się podejmowania skomplikowanych decyzji i jestem gotów, by stracić swoją popularność, i jeśli będzie trzeba, bez wahania gotów jestem utracić swoje stanowisko, byle tylko nastąpił pokój”  
**prezydent Wołodymyr Zełenski,**  
20 maja 2019 r.

**P**opularny telewizyjny producent i komik Wołodymyr Zelenski wygrał zarówno pierwszą, jak i drugą turę wyborów prezydenckich na Ukrainie. W decydującym starciu zdobył aż 73,22 proc. głosów. Na ustępującego prezydenta Petra Poroszenkę głosowało 24,45 proc. Frekwencja wyniosła 61,37 proc. Zelenski nie tylko miażdżąco wygrał, lecz także zrealizował jedno ze swych haseł: Zelenski jednoczy kraj. Poprzednie wybory na ogół oznaczały wybór między kandydatem prozachodnim a prorosyjskim. Mapa poparcia biegła zazwyczaj wzdłuż historycznych i językowych linii podziału Ukrainy. Zelenski jest drugim w historii współczesnej Ukrainy kandydatem (po Poroszenko w 2014 roku), który faktycznie może powiedzieć, że jednoczy elektoraty różnych części kraju. Dostał większość głosów we wszystkich obwodach oprócz lwowskiego na zachodzie Ukrainy. Najlepszy wynik zanotował na południu i wschodzie: w rodzinnym obwodzie dnipropietrowskim oraz obwodach donieckim, ługańskim, zaporoskim, odeskim i charkowskim. Na Zelenskiego zagłosowali zarówno zwolennicy bardziej śmiałych reform, rozczarowani stagnacją procesu modernizacji państwa, jak i elektorat socjalny, i względnie prorosyjski. Głosowanie 21 kwietnia było referendum, w którym Ukraińcy wyrazili nieufność do obecnej klasy politycznej. Przytłaczające zwycięstwo Zelenskiego wynikało ze skrajnego rozczarowania i niezadowolenia społeczeństwa. W pewnym sensie był to znów „majdan”, tyle że przeprowadzony wyłącznie przy urnach i bez nieprawidłowości – co zresztą świadczy o coraz większej politycznej dojrzałości Ukraińców.

### ► Aktor vs. polityk

Oligarcha Ihor Kołomojski, zaprzysięgły wróg Poroszenki, chwali się, że to on wymyślił prezydenta Zelenskigo. Pytanie, kiedy tak naprawdę doszedł do wniosku, że jest szansa na sukces? Kampania prezydencka Zelenskigo ruszyła już w 2015 roku, gdy na ekranach należącego do Kołomojskiego kanału 1+1 pojawił się serial „Sługa narodu”, gdzie Zelenski gra rolę szkolnego nauczyciela, który przypadkowo zostaje prezydentem. Osiągnięcie stanowiska głowy państwa było możliwe dzięki popularności zdobytej przez ostatnie dwie dekady w roli nie polityka, lecz aktora. Ukraińcy wybierali nie tyle Zelenskigo, ale postać, którą gra w serialu. Dlatego też Zelenski prowadził wirtualną kampanię, unikając bezpośrednich starć z rywalami, ale też unikając spotkań z wyborcami. Kanałem łączności były social media, ale przede wszystkim telewizja. Sukces możliwy był też dzięki populistycznym hasłom. Zelenski wskazywał sprzeczne cele. Mówił o dążeniu Ukrainy do NATO i UE, ale zarazem zastrzegał, że należy o tym decydować w referen-

dum. Mówił o obniżeniu podatków dla biznesu, ale zarazem była mowa o podnoszeniu wydatków socjalnych. Mówił o zacieśnianiu współpracy gospodarczej z UE (z Polską na czele), ale jednocześnie wzywał do bliższych relacji z Rosją, bo „jej gospodarka jest ważna dla Ukrainy”. Deklarował „ani kroku w tył” w sprawie Donbasu i Krymu, a zarazem mówił, że nie ma sensu teraz podnosić sprawy Krymu, a najważniejsze jest wstrzymanie ognia i powrót żołnierzy do domu. No a przede wszystkim Zelenski skupiał się głównie na ekonomiczno-socjalnych kwestiach, na które prezydent w ukraińskim ustroju nie ma większego bezpośredniego wpływu. To jednak zadziało. Tym bardziej że trudno byłoby sobie wyobrazić łatwiejszego rywala niż Poroszenko.

Pięć lat prezydentury zużyło politycznie Poroszenkę. W maju 2014 roku wygrał już w pierwszej turze, a zaraz po wyborach miał aprobatę 55 proc. rodaków. Pod koniec kadencji było to już zaledwie 9 proc. Prezydent startował w sytuacji niemal wykluczającej jego wygraną. Kilka tygodni przed pierwszą turą wyborów miał rekordowy wynik w notowaniach najmniej popularnych polityków (47,7 proc.). Inny sondaż wskazywał, że Poroszenko nie ufa aż 69 proc. respondentów, zaś ufa tylko 24 proc. Nic dziwnego, że przez większą część kampanii prezydent musiał się skupić na walce o wejście do drugiej tury, a głównym rywalem była Julia Tymoszenko. Trzy tygodnie między pierwszą a drugą turą to było stanowczo za mało, żeby dogonić Zelenskigo. Zwłaszcza że niezależnie od tego, iż przeciwko Poroszenko przemawiał bardzo duży negatywny elektorat oraz utożsamienie jego osoby ze skorumpowanym oligarchicznym establishmentem, sztab prezydenta popełnił dodatkowo kilka poważnych błędów w kampanii. Przede wszystkim źle zdiagnozowano oczekiwania wyborców. Kampania pod hasłem „Armia, język, wiara” pozwalała chwalić się sukcesami Poroszenki (wzmocnienie sił zbrojnych, polityka wspierania ukraińskiego języka, uzyskanie autokefalii przez ukraińską Cerkiew prawosławną), ale to mogło zmobilizować tylko twardy elektorat i wystarczyło do przejścia do drugiej tury. Jednocześnie jednak ocierający się o nacjonalizm program odstraszał wyborców z południa czy wschodu Ukrainy. Błędy personalne ułatwiające oskarżanie Poroszenki o beczynność w walce z korupcją zwróciły przeciwko niemu wielu zwolenników reform po euro-majdanie. Twarda postawa wobec Rosji – absolutnie usprawiedliwiona z punktu widzenia interesów państwa – została z kolei błędnie zinterpretowana przez wielu Ukraińców zmęczonych wojną.

### ► Prezydent vs. parlament

Zaraz po zwycięstwie Zelenski wszedł w starcie z Radą Najwyższą. Już wcześniej było jasne, że ze chce skrócić kadencję parlamentarną, by w przed-

terminowych wyborach wprowadzić swoją partię z jak najlepszym wynikiem. Więc w wieczór wyborczy 21 kwietnia zaczął się wyścig z czasem. Najpierw Zelenski krytykował Centralną Komisję Wyborczą za rzekome zwleknięcie z oficjalnym ogłoszeniem wyniku wyborów. Kiedy w końcu to nastąpiło, zgodnie z prawem stało się jasne, że inauguracja musi nastąpić najpóźniej 3 czerwca. Jednocześnie, zgodnie z konstytucją, było wiadomo, że prezydent może rozwiązać parlament nie później niż pół roku przed formalnym końcem kadencji przypadającym na 27 listopada. To oznaczało, że Zelenski jeśli chce rozwiązać Radę Najwyższą, musi przyjąć urząd nie później niż 27 maja. O dacie inauguracji decyduje parlament. Gdyby była w nim większość przeciwna skróceniu kadencji, termin wyznaczono by między 28 maja a 3 czerwca. Pierwsze nieudane spotkanie prezydenta elekta z przedstawicielami frakcji parlamentarnych wskazywało, że deputowani mogą uniemożliwić Zelenskiemu rozwiązanie Rady Najwyższej. W końcu jednak zapadła decyzja, że inau-

wyższej. Pytanie, czy taka „falandyzacja” prawa już w pierwszej godzinie prezydentury jest najlepszym rozwiązaniem z punktu widzenia państwa prawa i poszanowania przepisów? Zelenski pokazał tu twardą rękę i zdecydowanie polityczne, jednak takie naginanie rzeczywistości może się jeszcze odbić czkawką prezydentowi. Teraz przynajmniej część krytyków Zelenskiego będzie mogła mu wypominać, że rozwiązanie parlamentu było niekonstytucyjne. Teoretycznie nawet Rada Najwyższa mogłaby odmówić wykonania decyzji prezydenta, ale tu akurat większości bardziej opłacają się wcześniejsze wybory. Deputowani związani z Awakowem czy Tymoszenko liczą na udział w przyszłej koalicji, więc nie sprzeciwiają się woli Zelenskiego. Wielu parlamentarzystów liczy też zapewne na start z listy Sługi Narodu. No i najważniejsze: także frakcja Bloku Petra Poroszenki ostatecznie uznała, że lepiej pójść do wyborów jak najszybciej, ponieważ z każdym miesiącem poparcie będzie topniało. Po konsultacjach z szefami frakcji parlamentarnych Zelenski

## NIESTETY PIERWSZE DNI PREZYDENTURY ZELENSKIEGO POTWIERDZAJĄ OBAWY WYRAŻANE JUŻ PODCZAS KAMPANII PRZEZ WIELU JEGO KRYTYKÓW (I NIE TYLKO). SZCZEGÓLNI JEŚLI CHODZI O POLITYKĘ WOBEC DONBASU I RELACJE Z ROSJĄ.

guracja nastąpi 20 maja (Zelenski chciał 19 maja). Wydawało się, że sprawa jest już przesądzona i nowy prezydent będzie mógł bez problemu zrealizować swój cel. Tymczasem nastąpił zwrot akcji. Zaprzysiężenie miało się odbyć w poniedziałek, a w piątek Front Ludowy ogłosił, że wychodzi z koalicji. Zgodnie z prawem przez 30 dni od rozpadu koalicji nie można rozwiązać parlamentu, bo jest to obligatoryjnie okres dla zawiązania nowej koalicji. Tyle że kwestia funkcjonowania koalicji Bloku Petra Poroszenki z Frontem Ludowym byłego premiera Arsenija Jaceniuka pozostaje sporna już od 2016 roku. Niektórzy politycy twierdzą, że jej istnienie było fikcją. W lutym 2019 roku Okręgowy Sąd Administracyjny Kijowa zażądał od Rady Najwyższej przedstawienia listy posłów, którzy wchodzi do koalicji, jednak informacji tej sądowi nie przekazano.

Tym zapewne kierował się Zelenski, który jednak w swym wystąpieniu inauguracyjnym ogłosił rozwiązanie parlamentu. Zdecydował się pójść drogą faktów dokonanych, nie czekając na sformalizowanie stanu prawnego braku koalicji w Radzie Naj-

wydał dekret, którym rozwiązał Radę Najwyższą i wyznaczył przedterminowe wybory parlamentarne na 21 lipca.

### ► Kijów vs. Moskwa

Niestety pierwsze dni prezydentury Zelenskiego potwierdzają obawy wyrażane już podczas kampanii przez wielu jego krytyków (i nie tylko). Szczególnie jeśli chodzi o politykę wobec Donbasu i relacje z Rosją. Pierwszy niepokojący sygnał to przemówienie inauguracyjne. Nowy prezydent zadeklarował, że jego pierwszy zadaniem będzie wstrzymanie ognia w Donbasie. „Nie boję się podejmowania skomplikowanych decyzji i jestem gotów, by stracić swoją popularność, i jeśli będzie trzeba, bez wahania gotów jestem utracić swoje stanowisko, byle tylko nastąpił pokój” – zapewnił Zelenski. Takie słowa mogą budzić pewien niepokój. „Skomplikowane” decyzje, które zostaną źle odebrane przez większość Ukraińców, sugerują ustępstwa wobec Moskwy. Wbrew pozorom słowa Zelenskiego, że nie zgadza się na utratę ukraińskich terytoriów

i chce ich odzyskania, wcale nie oznaczają twardej postawy Kijowa. Nie można wykluczyć, że chodzi o plan, który już dawno istnieje na Kremlu. Czyli formalne oddanie „republik ludowych” pod zwierzchnictwo Kijowa, ale po przeprowadzeniu „wyborów”, które wygra nominaci Moskwy, po zapewnieniu nietykalności rebeliantom (amnestia) i obciążeniu budżetu ukraińskiego wydatkami socjalnymi i kosztami odbudowy zniszczonego wojną regionu. Zelenski mógłby wtedy ogłosić, że spełnił swoją główną obietnicę: zakończył przelew krwi i odzyskał ukraińskie terytorium. Problem w tym, że ceną byłaby faktyczna kontrola rosyjska nad Donbasem oraz wprowadzenie do polityki na szczeblu centralnym promoskiewskich polityków z Donbasu. Nie wspominając już o prorosyjskim elektoracie w Donbasie, dzięki któremu opcja moskiewska stanie się bardzo silna w Kijowie i może nawet przesądzać o wynikach referendum, o których Zelenski mówił dużo jako o narzędziu sprawowania władzy (m.in. referendum w sprawie członkostwa w NATO). „Nie my rozpoczęliśmy tę wojnę, jednak my musimy ją zakończyć. Jesteśmy gotowi do dialogu” – podkreślił Zelenski, przechodząc – co bardzo znaczące – w tym miejscu na język rosyjski.

Wiadomo od dawna, że klucz do pokoju w Donbasie leży na Kremlu, a nie w rezydencji przy ul. Bankowej w Kijowie. Więc Zelenski, jeśli faktycznie chce zaprowadzić „pokój”, musi pójść na ustępstwa wobec Rosji. Jego spin-doktorzy już chyba nawet wymyślili, jak to zrobić, by polityczny koszt dla Zelenskiego był jak najmniejszy. Wykorzystano do tego jeden z głównych postulatów komika podczas kampanii wyborczej. Zelenski zapowiadał, że chce dopuścić obywateli do współrządzenia – poprzez referenda w najważniejszych kwestiach. Na przykład w sprawie członkostwa w NATO i UE. Ale okazuje się, że nie tylko. Nazajutrz po inauguracji prezydenckiej Zelenski ogłosił, że na szefa swej administracji mianował Andrija Bohdana. To jego „cień” w czasie kampanii, najważniejszy łącznik z Kołomojskim, stary prawnik i przyjaciel oligarchy. Oto Bohdan tuż po nominacji, w telewizji 112. Ukraina oświadczył: „Rozpatrujemy przeprowadzenie referendum na temat porozumienia pokojowego z Rosją, by nie tylko przegłosowali je deputowani, a prezydent podjął odpowiednią decyzję, lecz żeby naród podjął tę decyzję, by oceniło ją społeczeństwo”. Kiedy takie referendum miało być zorganizowane? Jakie pytania zadano by Ukraińcom? Nie wiadomo, Bohdan nie chciał ujawnić, jakie czerwone linie nie zostaną przekroczone w negocjacjach z Rosją. Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że pytania zostaną sformułowane w taki sposób, że dadzą Zelenskiemu pretekst do daleko idących ustępstw wobec Moskwy, zarazem zapewniając najmniejsze możliwe alibi – w razie krytyki będzie mógł powiedzieć: naród tak chciał.

## ► Obietnice vs. czyny

Szybkie zakończenie wojny w Donbasie obecnie możliwe jest tylko w jednym wypadku – kapitulacji Ukrainy. Jeśli nawet niedoświadczony Zelenski tego nie rozumie, zdają sobie z tego sprawę z pewnością jego doświadczeni polityczni doradcy. Mimo to nowy prezydent już w pierwszych dniach rządów wkroczył dziarsko na minowe pole, jakim są negocjacje – choćby i korespondencyjne, oznaczające wymianę jednostronnych oświadczeń – z Władimirem Putinem. Niewątpliwie wygrana Zelenskiego daje Kremlowi szerokie pole gry, a z punktu widzenia Zachodu to największa niewiadoma i niesie ze sobą potencjalne ryzyko destabilizacji. Rosja liczy też na to, że zwiększy nacisk na Zelenskiego dzięki dobremu wynikowi prorosyjskich partii w wyborach do parlamentu. Układ sił może być taki, że obóz prezydencki będzie zmuszony sięgać po pomoc frakcji promoskiewskich. Nawet gdyby nie doszło do formalnej koalicji, taki scenariusz jest z punktu widzenia Kremla bardzo korzystny. Wytrawna rosyjska dyplomacja i stary wyjadacz Putin mogą wciągnąć Zelenskiego w pułapkę, proponując porozumienia, których istoty nie zrozumie.

W polityce wewnętrznej nie należy się spodziewać radykalnych zmian oligarchicznego systemu. Można wręcz oczekiwać jego umocnienia – sprzyjać temu będą wszelkie inicjatywy decentralizacyjne czy próby realizacji populistycznych i szkodliwych w warunkach konfliktu z Rosją postulatów demokracji bezpośredniej (referenda). Ostateczny układ sił będzie znany dopiero po wyborach parlamentarnych. Prezydentura Zelenskiego nie będzie jednak z pewnością tak silna jak prezydentura Poroszenki. Po pierwsze, z racji braku politycznego doświadczenia głowy państwa. Po drugie, z racji braku własnego silnego zaplecza instytucjonalno-partyjnego – Zelenski będzie tutaj zakładnikiem Kołomojskiego i innych oligarchów, którzy z Kołomojskim zawrą układ i dokonają nowego podziału wpływów politycznych i gospodarczych. Zelenski jest też zakładnikiem wysokich oczekiwań społecznych oraz własnych populistycznych obietnic. Dostał wolną rękę w realizacji radykalnych reform i oczyszczenia aparatu państwa ze starej elity. Problem w tym, że w republice parlamentarno-prezydenckiej byłoby to możliwe tylko przy sojuszu prezydenta z większością w Radzie Najwyższej i z rządem. Bez silnej reprezentacji w parlamencie i udziału w koalicji rządzącej wpływ Zelenskiego jako głowy państwa na procesy polityczne w kraju będzie niewielki. A gdy Ukraińcy to dostrzegą, to prezydent będzie największą ofiarą zawiedzionych oczekiwań. Oligarchowie sobie poradzą. ■

# Nie było dobrych agentów Stasi

Kilkanaście lat temu odmówiłem ekipie filmowej kręcącej film „Życie na podsłuchu” pozwolenia na zdjęcia we wnętrzach gmachu byłego aresztu Berlin-Hohenschönhausen. Przeczytałem scenariusz i uznałem, że historia w nim przedstawiona wprowadza widza w błąd. Powiedziałem wtedy do reżysera: „Proszę podać mi choć jeden przykład, gdy współpracownik Stasi pomógł dysydentowi”. A on odpowiedział: „Nie jestem w stanie”. „W takim razie nie mogę udostępnić historycznych murów, w których Stasi męczyło swoje ofiary, na kręcenie scen do filmu, który jest czystą fikcją” – z dr. Hubertusem Knabem, historykiem, czołowym specjalistą ds. NRD i rozliczeń z postkomunistyczną przeszłością Niemiec, rozmawiają Olga Doleśniak-Harczuk i Antoni Opaliński.



► Kiedy w 2008 roku ostatni raz rozmawialiśmy o niemieckiej polityce, na scenę z impetem wkraczała postkomunistyczna partia Die Linke. Dziś postkomuniści są podobno w defensywie, tracąc wyborców na korzyść Alternatywy dla Niemiec (AfD). Sądzi Pan, że postkomuniści zostaną zdeklasowani przez tę stosunkowo nową jednak siłę na prawicy?

Nie byłbym taki pewien. Jak na razie Die Linke trzyma się mocno, rządzi w Berlinie i w Brandenburgii, w Turyngii ma nawet swojego premiera. Wstrzymajmy się z wnioskami do jesiennych wyborów do landtagów w Saksonii i Turyngii. Ciekawe jest nato-

demokratyczne partie centrowe stawały się coraz słabsze. To jest pewien mechanizm, który się powtarza. Dziś Linke korzysta na sile AfD, ponieważ wskazując na pewne poczynania tej partii, może mobilizować jej elektorat negatywny. AfD natomiast korzysta na sile Die Linke, wykorzystując w kampanii argument lewicowego marszu przez instytucje. Sam trend natomiast przechodzenia wyborców o poglądach lewicowych do obozu skrajnej prawicy ma związek z polityką imigracyjną niemieckiego rządu. To była iskra. Do tego dochodzi też część konserwatywnych wyborców niezadowolonych z kierunku obranego przez CDU, ci wyborcy też zaczęli szukać dla siebie nowej przystani politycznej.

WE FRANCJI KAŻDY WIE, CZYM BYŁO AUSCHWITZ, ALE MAŁO KTO KOJARZY ŁAGRY KOŁYMY, GDZIE SZANSE NA PRZEŻYCIE WIĘZIONYCH TAM LUDZI WYNOŚIŁY NIECAŁE 20 PROCENT.

miast, że wielu wyborców Die Linke zmieniło front, przechodząc od skrajnej lewicy do skrajnej prawicy, co może świadczyć najogólniej o tym, że ci wyborcy nie potrafią odnaleźć się w systemie parlamentarnej demokracji. Odrzucają prozachodnią orientację polityki niemieckiej, zwracając się w kierunku partii, która ten demokratyczny porządek podważa.

► A jednak Die Linke i AfD wykazują pewne podobieństwa, jedna i druga partia domaga się powołania specjalnej komisji w Bundestagu do spraw Treuhand, kontrowersyjnego Powiernictwa, które odpowiadało za prywatyzację mienia NRD-owskiego. Ten pomysł popiera wielu Niemców, zwłaszcza tych wywodzących się z dawnej NRD.

Zgodnie z teorią podkowy skrajności w pewnym momencie bardzo się do siebie zbliżają. A Linke i AfD łączy podobny stosunek do Stanów Zjednoczonych, Rosji i Izraela, obie też przejawiają skłonności antykapitalistyczne. Treści propagowane przez postkomunistów i polityków Alternatywy w wielu punktach się przecinają. W 1999 roku w książce „Die Unterwanderter Republik. Stasi im Westen” pisałem o kulisach upadku Republiki Weimarskiej, o tym, że skrajne siły z lewicy i prawicy wzajemnie się wzmacniały, przez co

► Wspomniał Pan o antykapitalistycznych skłonnościach Die Linke i AfD, co w przypadku, zwłaszcza postkomunistów, nie jest niespodzianką, ale przecież po wypowiedziach Kevina Kühnerta, przewodniczącego młodzieżówki SPD, który stwierdził, że wyobraża sobie upaństwowienie koncernu BMW i powrót Rad Pracowniczych, można odnieść wrażenie, że polityka niemiecka jako taka, abstrahując od postkomunistów, zabarwia się na czerwono. Debata wywłaszczeniowa dotarła do politycznego mainstreamu, a nawet wyszła z samego serca Wielkiej Koalicji...

To przedziwna debata, zainicjowana przez mało znaczącego polityka młodych socjaldemokratów. Pokazuje ona przede wszystkim, że zarówno w polityce, jak i w mediach skrajnie lewicowa myśl jest w stanie się przebić, czego już nie można powiedzieć o samym społeczeństwie. Z sondaży przeprowadzonych po wypowiedzi szefa młodzieżówki wyraźnie wynikało, że propozycje Kühnerta nie spodobały się Niemcom i jeszcze zaszkodziły SPD. Jest więc nadzieja, że większość społeczeństwa niemieckiego nie jest zainteresowana zaprowadzeniem socjalistycznych porządków, odejściem od gospodarki rynkowej i przemianowa-

niem koncernu BMW na jakieś przedsiębiorstwo ludowe. Chciałbym jeszcze jednak wrócić na chwilę do pomysłu powołania specjalnej komisji w Bundestagu do spraw prywatyzacji NRD-owskiego mienia. To jest klasyczny manewr odwracający uwagę od istoty rzeczy.

Stawiając innych pod pręgierzem, Die Linke próbuje wyzbyć się odpowiedzialności za mizери NRD-owskiej gospodarki. Przecież samo to, że w Niemczech trzeba było sprywatyzować państwowe przedsiębiorstwa, było wyłączną winą partii komunistycznej, która na drodze wielokrotnego zmieniania nazw dziś funkcjonuje jako Die Linke. Prywatyzacji nie dało się uniknąć, właśnie przez zapaść gospodarczą NRD spowodowaną działalno-

To ewaluowało. Na początku, kiedy ujawniono publicznie personalia polityków, którzy byli współpracownikami STASI, oni ustępowali, a na ich miejsce przychodzili inni, mający czystą kartę. Później niektórzy oskarżeni o przeszłość agenturalną zaczęli argumentować, że te czki fałszowano, że są wytworem fantazji funkcjonariuszy Stasi. Jednym z pierwszych takich przypadków był ówczesny, ostatni przewodniczący PDS, poprzedniczki Linkspartei, poseł Die Linke – Gregor Gysi, który ostro wypierał się swojej przeszłości. Gysi był prawnikiem, w aktach Stasi znaleziono informacje o jego klientach. Bronił się przed zarzutami donoszenia na własnych klientów, twierdząc, że te informacje pochodzą najpewniej z podsłuchów zainstalowanych w jego kancelarii. Udało mu się wyprowadzić w pole opinię

## SPÓJRZMY NA UNIĘ EUROPEJSKĄ, PRZECIEŻ TA WSPÓLNOTA JUŻ DAWNO PRZESTAŁA BYĆ KLUBEM DLA PAŃSTW ZACHODNICH, DLACZEGO TE KRAJE NIE WYCIĄGAJĄ NAUKI Z DOŚWIADCZEŃ SWOICH PARTNERÓW Z EUROPY ŚRODKOWEJ?

ścią tej właśnie partii. Proponuję postkomunistom, by w pierw rozliczyli się z własną przeszłością i ujawnili, ile majątku partii komunistycznej rozkradziono. Dzisiejszy szef klubu parlamentarnego Die Linke w Bundestagu po rozpadzie NRD był skarbnikiem partii komunistycznej i – na co są dowody – był uwikłany w ukrywanie jej majątku. To był majątek skumulowany w przedsiębiorstwach, nieruchomościach, w gotówce, i to wszystko nagle wyparowało. Specjalnie powołana komisja, która przez kilka lat starała się przeświecić dziwne losy tych środków, nic nie ustaliła, a jedyny efekt jej działalności był taki, że dochodzenie do prawdy pochłonęło 100 mln euro z budżetu państwa. Może więc Die Linke zamiast zastanawiać się nad prywatyzacją, powinna najpierw ujawnić, co stało się z jej majątkiem po rozpadzie NRD?

► **W Polsce nadal są historycy kwestionujący czarne karty z komunistycznej przeszłości prominentnych osób polskiego życia publicznego. Dobrym przykładem jest Lech Wałęsa, o którym mimo obciążających go dowodów wciąż można usłyszeć, że w „sumie nic złego nie uczynił”. Czy w Niemczech również istnieje jakiś front obrony uwikłanych w komunizm?**

publiczną i zachować zajmowane funkcje. Drugi taki przypadek to Manfred Stolpe z SPD, były premier Brandenburgii, który przyjął tę samą taktikę, również zwieńczoną sukcesem. Od tego momentu wyciąganie politycznych konsekwencji wobec reprezentantów życia publicznego uwikłanych w komunizm stało się bardzo trudne, każdy mógł powiedzieć, że materiały sfinansowano, skutek był taki, że wielu byłych współpracowników Stasi pozostało na swoich urządach. Dzisiaj byli współpracownicy Stasi zasiadają w Bundestagu i w kilku landtagach, wszyscy są członkami Die Linke. Sytuacja o tyle jednak uległa zmianie, że ci ludzie już nie zaprzeczają, tylko tłumaczą: „owszem, byłem współpracownikiem służb bezpieczeństwa, ale chcę dalej być w polityce” i pozwala im się na to. Choć nie zawsze. Pewnym przekroczeniem czerwonej linii była nominacja Die Linke na stanowisko sekretarza stanu w rządzie landu Berlin dla człowieka, który był regularnym pracownikiem Ministerstwa Bezpieczeństwa. To była bezprecedensowa sytuacja. Rząd to zupełnie inna jakość, poseł reprezentuje bowiem tylko tych, którzy na niego zagłosowali, a członek rządu jest przedstawicielem wszystkich. Zgłoszenie tej nominacji wywołało ostrą debatę publiczną i ten polityk ostatecznie się wycofał. [Chodzi o Andreja Holma, byłego współpracownika Stasi, który w 2017 roku został sekretarzem stanu w resorcie mieszkalnictwa i infrastruktury miejskiej w rządzie landu Berlin – przyp. ODH].

► **A co w Niemczech wiadomo o polskiej debacie dotyczącej rozliczenia z komunizmem, o sprawie Lecha Wałęsy? Czy jest to w ogóle temat, który przebiją się do mediów i zwykłych Niemców?**

Muszę państwa rozczarować. Zainteresowanie jest nikle. Dla mnie takim momentem decydującym jeżeli chodzi o sprawy polskie, było podanie do wiadomości przez IPN informacji o agenturalnej przeszłości Lecha Wałęsy. Dla mnie, jako historyka, był to jasny komunikat. Nie przeczę, że przyjąłem tę informację z pewnym rozczarowaniem, w końcu sprawa dotyczyła przywódcy „Solidarności”. Nie widziałem jednak akt, w Niemczech pewnie nikt do nich nie zajął.

► **W listopadzie tego roku minie 30 lat od upadku Muru Berlińskiego, NRD rozpadła się na oczach świata praktycznie z dnia na dzień. Jak to możliwe, że państwo, które działało przez kilkadziesiąt lat, zwija się w takim tempie?**

Wyróżniamy kilka faz upadku NRD. W pierwszej chodziło o to, by pozbyć się skostniałej władzy, co było również wtedy po myśli sowieckiego kierownictwa, które wspierało ten proces. Specjalna jednostka KGB została oddelegowana właśnie do tego, by pilotować tę sprawę, chodzi o grupę „Licht” (Światło), która motywowała opozycjonistów w NRD do walki z reżimem. Swoją drogą, byłoby bardzo interesujące sięgnąć po akta rosyjskich służb poświęcone tej akcji. Potem sprawy jednak poszły swoim torem i wymknęły się spod kontroli. Pozbyto się nie tylko Ericha Honeckera, lecz także Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec. A potem zarządzono zachodnioniemiecki scenariusz. To raczej nie było intencją Związku Sowieckiego, ale już nie zdołano zatrzymać procesu rozkładu komunistycznych struktur. Kiedy się tak zastanowić nad początkami tego rozpadu, na pewno dużą rolę odegrały protesty, najpierw małych grupek demonstrantów, a potem coraz liczniejsze; inni głosowali nogami, uciekali na Zachód, demonstrowując, że system jest na wykończeniu. Poza tym jest jeszcze jeden faktor, drugoplanowy, ale moim zdaniem istotny – erozja samych struktur władzy, ich rozkład od środka. Kryzys legitymizacji ośrodków decyzyjnych. Ciekawa była sytuacja z zakazem SED dla rozpowszechniania w NRD sowieckiego pisma „Sputnik”. Nie wszyscy towarzysze rozumieli tę decyzję, panowała dezorientacja. Ale prawdziwy kryzys zaczął się w momencie, gdy w Ministerstwie Bezpieczeństwa zaczęto wątpić w to, czy Pułk Wartowniczy im. Feliksa Dzierżyńskiego będzie dalej posłusznym wykonywał rozkazy, czyli pacyfikował demonstracje, zamykał w obozach opozycjonistów itd. Zapanowała niepewność na samej górze.

Władza kruszała, aż zgodnie z leninowską zasadą rewolucji, że kiedy ci na dole już nie chcą, a ci na górze już nie mogą, po prostu doszło do załamania. Katalizatorem tego procesu była gospodarcza zapaść NRD.

► **Sądzi Pan, że Europa Zachodnia po upadku komunizmu wyciągnęła wnioski na przyszłość?**

Chyba nie do końca. W Europie Zachodniej komunizm wciąż kojarzy się z czymś fajnym i postępowym. W ubiegłym roku w Niemczech obchodziliśmy 200. rocznicę urodzin Karola Marksa. I okazało się, że znani felietoniści, dziennikarze, a nawet katolicki biskup noszący to samo nazwisko co fetowany ideolog, czyli Marx, są jego wielbicielami. Nie zadano sobie trudu, by z głębszą refleksją potraktować marksistowską spuściznę ideologiczną, która przecież dała impuls do zbrodniczych czynów. Pozytywny image Marksa w Europie Zachodniej wynika z nikłych doświadczeń tej części kontynentu z komunizmem, entuzjazm dla komunizmu rządzi się przedziwną logiką: „Nie doświadczyłem tego, ale to musi być fajne”. Tylko że tej postawy nie da się usprawiedliwić. Spójrzmy na Unię Europejską, przecież ta wspólnota już dawno przestała być klubem dla państw zachodnich, dlaczego te kraje nie wyciągają nauki z doświadczeń swoich partnerów z Europy Środkowej czy państw bałtyckich? Przecież wystarczyłoby porozmawiać poważniej o przeszłości. Ignorancja dotycząca zbrodni komunizmu na zachodzie Europy wiąże się z zaniechaniami w edukacji na temat totalitaryzmów, to jest straszny problem w takich państwach jak Francja czy Niemcy. We Francji każdy wie, czym było Auschwitz, ale mało kto kojarzy lagry Kołomy, gdzie szanse na przeżycie więzionych tam ludzi wynosiły niecałe 20 procent. W państwach, które przeżyły socjalizm na własnej skórze, też zauważa się pewną tendencję wybielania zbrodniczego systemu, jakiegoś nostalgicznego podejścia do niego. To jest bardzo niebezpieczne zjawisko. Dochodzi też do rozmywania ideologii marksistowskiej, przypisywania jej humanitarnych rysów. W przypadku narodowego socjalizmu sprawa jest o tyle prostsza, że jego przekaz nie pozostawia pola do interpretacji: głoszenie wyższości jednej rasy nad innymi, selekcja naturalna, silniejszy zawsze triumfuje – w takim zestawie trudno doszukiwać się humanitaryzmu. W przypadku marksizmu jest niestety tendencja, by przypisywać mu ludzką twarz. Utopia ucieleśniająca równość wszystkich ludzi, walkę o prawa uciskanych, wyzwalamia mas spod jarzma ciemnych cieli itd. Ta retoryka trafia do wielu i jest bezrefleksyjnie brana za dobrą monetę.

► W Niemczech objawem tej bezrefleksyjnej podatności na bajki o komunizmie może być otalgia. Muzeum NRD utrzymane w konwencji kolorowych trabantów, sklepy stylizowane na enerdowskie, gdzie płaci się markami wschodnimi, socjalizm sprowadzony do niewinnego folkloru, w końcu kino. W filmie „Życie na podsłuchu” z 2006 roku, zresztą bardzo dobrze zrobionym, pojawia się postać dobrego agenta Stasi, kapitana Wieslera, który bohatera pomaga tym, których polecono mu szpiegować...

Właśnie z tego powodu jako dyrektor muzeum aresztu śledczego Berlin-Hohenschönhausen odmówiłem ekipie filmowej pozwolenia na zdjęcia we wnętrzach gmachu. Przeczytałem scenariusz i uznałem, że historia w nim przedstawiona wprowadza widza w błąd. Powiedziałem wtedy do reżysera filmu: „Proszę podać mi choć jeden przykład, kiedy współpracownik Stasi pomógł dy-

Można sobie w ogóle zadać pytanie, jak młode generacje podchodzą do NRD, jaki obraz tego państwa przewija się w głowach młodych ludzi, którzy nie doświadczyli tego reżimu. To jest ciekawa kwestia. Pewnie wielu młodych nic nie wie o NRD, co niepokoi. Są pewnie i tacy, którym NRD kojarzy się z dziwnymi samochodami, z jakąś groteskowością, ale z niczym niebezpiecznym. Dlatego przed niemieckim systemem edukacji wciąż widzę spore wyzwania, trzeba przybliżyć młodym wiedzę o tym, czym była NRD. Uświadomić im skalę zniewolenia społeczeństwa, represje, działania Ministerstwa Bezpieczeństwa. Ale nie tylko to. Druga kwestia, którą należałoby postawić, to dla czego NRD w ogóle powstało. Jaki był kontekst założycielski. Kiedy rozmawiam czasem z młodymi historykami, oni potrafią nazwać bezprawie tego państwa po imieniu, dużo się mówi o strzelaniu do mieszkańców NRD, którzy zaryzykowali ucieczkę przez Mur Berliński. Jednak kiedy pada pytanie: jak w ogóle doszło do takiej sytuacji, pada ewentualnie odpo-

W EUROPIE ZACHODNIEJ KOMUNIZM WCIĄŻ KOJARZY SIĘ Z CZYMŚ FAJNYM I POSTĘPOWYM. W UBIEGŁYM ROKU W NIEMCZECH OBCHODZILIŚMY 200. ROCZNICĘ URODZIN KAROLA MARKSA. I OKAZAŁO SIĘ, ŻE ZNANI FELIETONIŚCI, DZIENNIKARZE, A NAWET KATOLICKI BISKUP NOSZĄCY TO SAMO NAZWISKO CO FETOWANY IDEOLOG, SĄ JEGO WIELBICIELAMI.

sydentowi. Jeden jedyny”. I on odpowiedział: „Nie jestem w stanie”. „W takim razie nie mogę udostępnić historycznych murów, w których Stasi męczyło swoje ofiary, na kręcenie scen do filmu, który jest czystą fikcją”. Reżyser odparł, że nawet rozumie, ale ludzie reagują bardzo emocjonalnie na filmy pokazujące, że nawet ze zła może wyniknąć coś dobrego, po czym powołał się na „Listę Schindlera”. Odparłem, że Oscar Schindler istniał, że nie jest postacią fikcyjną, a dobrego kapitana Wieslera nigdy nie było.

► W teledysku industrial-metalowego zespołu Rammstein pt. „Deutschland” artyści w jednej ze scen wystylizowali się na członków NRD-owskiego politbiura. Lider grupy przypominał Ericha Honeckera. Wygląda na to, że trzy dekady od upadku Muru Berlińskiego enerdowska opowieść stała się również częścią niemieckiej pop-kultury. Może do młodych Niemców taki przekaz lepiej trafia niż grube tomy?

wiedź, że „zawiniłi źli politycy”. A skąd oni się wzięli? Zawsze trzeba sięgać do korzeni ideologii, a one wbrew pozorom są proste: cel uświęca środki plus uszczęśliwianie człowieka na siłę, wbrew niemu. Odbieranie wolności, znoszenie własności prywatnej, zmuszanie do „szczęścia” poprzez represje. A jeżeli ktoś postanowi szukać tego szczęścia w innym państwie, to wtedy takiego człowieka trzeba zamknąć w więzieniu. Młodym Niemcom trzeba mówić o tych prostych sprawach, ponieważ one wcale nie są dla nich oczywiste. ■

Dr Hubertus Knabe – niemiecki historyk, były dyrektor muzeum aresztu śledczego Stasi Berlin-Hohenschönhausen. Funkcję tę sprawował od powstania placówki w roku 2000 do końca marca 2019 roku, gdy został odwołany przez berlińskiego senatora ds. kultury Klausa Lederera (z Die Linke). Autor wielu książek poświęconych aparatowi bezpieczeństwa Stasi, rozliczeniom z komunizmem oraz ofiarom NRD-owskich służb. Prowadzi stronę internetową [hubertus-knabe.de/](http://hubertus-knabe.de/)

TLUMACZENIE I OPRACOWANIE  
Antoni Rybczyński

# Jak w Kraju Nadmorskim niszczyli katolików – za wiarę i „szpiegostwo na rzecz Japonii”

3 lutego 1938 roku we Władywostoku rozstrzelano mieszkańców miasta należących do lokalnej wspólnoty katolickiej. To byli przeważnie Polacy. Oskarżono ich o utworzenie kontrewolucyjnej religijnej organizacji oraz szpiegostwo na rzecz Japonii. Historię naszych rodaków, których życie rzuciło na wschodnie krańce rosyjskiego imperium, przybliży artykuł Aleksa Posternaka, opublikowany 2 lutego 2019 roku na stronie Sibreal.org.

**T**atiana Szaposznikowa, archiwistka parafii Najświętszej Maryi Panny we Władywostoku, od lat zajmuje się badaniem losów katolików, którzy padli ofiarą walki z „japońskimi szpiegami”. – Sama pochodzi z rodziny takich represjonowanych parafian. W latach 1937–1938, w trakcie tzw. narodowych operacji podczas Wielkiego Terroru, Polacy byli dziesiątkowani całymi rodzinami – opowiada Tatiana Szaposznikowa.

– Szczegóły znamy z dokumentów, z rodzinnych wspomnień, z opowieści świadków tamtych czasów. Według niektórych danych, w ciągu trzech miesięcy rozstrzelano 120 Polaków. Najważniejsze zarzuty brzmiały: „Polska religijno-nacjonalistyczna kontrewolucyjna organizacja, która zajmowała się szpiegostwem na rzecz wywiadu japońskiego”.

„Jakie dokładnie dokumenty – świadectwa tych wydarzeń udało się Pani pozyskać?”.

– Przede wszystkim składaliśmy pytania do FSB, ponieważ w bazie danych tej instytucji są przechowywane dokumenty o represjonowanych. I druga grupa źródeł, która jest nie mniej ważna, to relacje świadków, dzieci represjonowanych, to jest tych, którzy bezpośrednio zetknęli się z tymi tragicznymi wydarzeniami. Niemal w każdej polskiej rodzinie byli represjonowani. A w niektórych rodzinach represjom poddano nie tylko dorosłych członków rodziny, lecz także ich dzieci. Oto tylko trzy takie historie.

## ► Historia pierwsza. Skrzynia biskupa

Regina Stańko urodziła się w katolickiej rodzinie we Władywostoku. Jej ojciec, Stanisław Stańko,

przyjechał z guberni witebskiej podczas wojny rosyjsko-japońskiej. Do czasów rewolucji październikowej 1917 roku służył w wojsku jako pisarz, a po ustanowieniu władzy sowieckiej zatrudnił się do pracy w kolejach. W latach 30. XX wieku pracował już w Głównym Zarządzie Północnej Drogi Morskiej. Genowefa Józefówna, mama Reginy, urodziła się w guberni kowieńskiej. W 1908 roku, w wyniku reformy stołypinowskiej, wraz z krewnymi wyjechała do Zachodniej Syberii, a po kolejnych dwóch latach przeprowadziła się do Władywostoku, gdzie poznała swego przyszłego męża. W 1922 roku małżeństwu Stańko urodziła się Regina.

Rewolucję Stanisław Stańko witał z entuzjazmem. Wywodząc się ze społecznych nizin, szczerze wierzył, że nadchodzą zmiany na lepsze. Ale szybko nastroje w rodzinie Stańko zaczęły się zmieniać. Drzwi ich domu wychodziły na drogę.

„Tą samą drogą, częściej latem, szły kolumny więźniów. Z bratem biegleśmy popatrzyć na nieszczęśliwych ludzi, którzy podczas marszu upadali, umierając, nie dochodząc do baraków. Patrzyliśmy, czy nie ma wśród nich znajomych twarzy. Obraz był straszny. Więźniowie szli ponurzy, zmęczeni, ledwie ciągnąc za sobą nogi. Po obu stronach kolumny – uzbrojeni w karabiny konwojenci, każdy co pięć metrów z psem” [ze wspomnień Reginy Stańko].

W 1937 roku aresztowano Stanisława Stańko. Zatrzymaniu towarzyszyło przeszukiwanie. Pracownicy NKWD zabrali skrzynię niedawno zmarłego biskupa Karola Śliwowskiego, którą przekazano na przechowanie rodzinie Stańko.

„Aresztowania przeprowadzano zawsze w nocy, ojca zabrali, a dom przetrząsnęli od piwnicy po dach. Grzebali w rzeczach, papierach, wyciągali wszystkie zdjęcia z albumów. Najważniejsze – otworzyli skrzynię biskupa, zawsze zamkniętą na klucz. Coś tam wrzucili na podłogę, ale część przedmiotów zabrali – srebrną statuetkę, maszynę do pisania, albumy, notatniki. Po aresztowaniu ojca, z bratem nieraz chodziliśmy do łagru na Drugiej Rzecze – ogrodzenie, trzy rzędy drutu kolczastego, strażnicy z psami, wieżyczki z uzbrojonymi żołnierzami. Ale ojciec siedział w więzieniu. Sąsiedzi, znajomi, dawni towarzysze broni ojca odwrócili się od nas, jak od »wrogów narodu«. Tak że my, dzieci, bałyśmy się, że aresztują mamę. W plecakach wynosiliśmy do ogrodu książki – rosyjskie, polskie, francuskie i angielskie. Po kilku dniach aresztowali siostrę mamę Pawlinę i jej córkę Manieczka została sama. Za co ciocię Polę aresztowali? Biedniejszych od niej z Manieczką trudno było znaleźć w całym Władywostoku” [ze wspomnień Reginy Stańko].

Ciotkę Reginę, Pawlinę Bernadzką, zwolnili w 1939 roku. Nawet po latach nie lubiła wspominać tego, co musiała przeżyć w zamknięciu, o wielu z tych doświadczeń mogła mówić tylko półsłówkami. Ale rodzina domyślała się, że Pawlina przeszła przez tortury. Niedługo po aresztowaniu ojca rodzinie Stańko oznajmiono, że mają teraz zakaz przebywania na Dalekim Wschodzie. Na wyprowadzkę dostali 10 dni, do ich rodzinnego domu od razu wprowadził się jakiś wojskowy z rodziną. A rodzinę Stańko wysłano do Tomsku.

„Przybyliśmy do Tomsku 20 października, a tam śnieg leży po kolana. A my ubrani w letnią odzież, przecież w październiku we Władywostoku jeszcze ciepło. Mocno się przezięбилиśmy, a rzeczy dotarły dopiero w styczniu. Najpierw zatrzymaliśmy się u krewnych ojca, chociaż rozumieliśmy i czuliśmy, że przyjazd prześladowanej rodziny był dla nich niepożądany. Żona mojego kuzyna była z rodziny zażartych rewolucjonistów, pracowała jako lekarz w NKWD, tak że byliśmy pod swego rodzaju »rodzinnym nadzorem«” [ze wspomnień Reginy Stańko].

O losie swoich aresztowanych we Władywostoku bliskich rodzina o nic nie wiedziała. Stanisława Stańko oskarżono o szpiegostwo na rzecz Japonii. W łagrach przebywał do początku lat 50.

„Ojciec przyjechał do Tomsku posiwiały, chudy, w ciężkiej depresji. Nawet mama bała się z nim rozmawiać. Tego czerpiącego radość z życia, twarzą stojącego na nogach człowieka NKWD zmieniło nie do poznania” [ze wspomnień Reginy Stańko].

Stanisław Stańko zmarł w 1957 roku w Tomsku. Regina Stańko została lekarzem. Było jej pisa-  
ne długie życie. Odeszła 16 marca 2016 roku, w wieku 94 lat.

## ► Historia druga. Człowiek, który złożył zeznania

Jan Strudziński urodził się w guberni warszawskiej 5 kwietnia 1872 roku. Za młodu został powołany do carskiej armii i wysłany na Daleki Wschód. Po zakończeniu służby został we Władywostoku, ożenił się. W latach 1906–1927 pracował jako inspektor w lokalnej izbie celnej, a po kolejnych dwóch latach zatrudnił się jako woźny w hotelu pracowników konsulatu Japonii.

Po zamknięciu kościoła katolickiego wierzący zaczęli się zbierać w prywatnych domach parafian na wspólną modlitwę. Najczęściej spotykali się w przestronnym domu rodziny Gierasimuków. Jan Strudziński także tam bywał. Jednak władzy nawet taka aktywność katolickiej wspólnoty się nie podobała. W lipcu 1937 roku organy OGPU aresztowały ojca i syna Gierasimuków, a już we wrześniu, w ramach tej samej sprawy, był aresztowany również Jan Strudziński. Oskarżono go o utworzenie kontrewolucyjnej organizacji religijnej. Oprócz tego przypisano mu szpiegostwo na rzecz Japonii, jakoby poprzez swoich znajomych katolików, członków tejże organizacji, gromadził szpiegowskie informacje, które u niego „zamawiali” pracownicy japońskiego konsulatu Mimura i Yamada. Nie wytrzymałszy tortur, Jan Strudziński przyznał się do winy i złożył zeznania, że „była aktywna działaczka kościoła, Polka Waleria Gierasimuk, po zamknięciu kościoła organizowała u siebie w domu nielegalne religijne zebrania, którymi kierowała. Te zebrania trwały do wiosny 1937 roku”.

„Współpraca ze śledztwem” nie pomogła Strudzińskiemu. Został rozstrzelany 3 lutego 1938 roku razem z pięciorgiem innych katolików. Długo po wykonaniu wyroku rodziny ofiar nie wiedziały, co stało się z ich bliskimi. Po mieście chodziły przerażające plotki, że w więzieniu była epidemia tyfusu, w wyniku której część więźniów zmarła, a innych wyrzucono jeszcze żywych do wód zatoki Złoty Róg. W 1959 roku ofiary egzekucji zostały zrehabilitowane. Wśród nich także Jan Strudziński.

## ► Historia trzecia. „Możliwe, że chciał nam przekazać, że niczego na przesłuchaniach nie powiedział”

Ojciec Jerzy Jurkiewicz urodził się w guberni mińskiej 5 kwietnia 1884 roku, wykształcenie zdo-

był w seminarium duchownym w Petersburgu. W 1910 roku został wyświęcony. Początkowo wysłano go do parafii w Krasnojarsku, ale szybko przeniesiono do Chabarowska. Po raz pierwszy przyjechał do Władywostoku w 1921 roku z okazji poświęcenia nowej kamiennej świątyni. Tam poznał proboszcza parafii władywostockiej ojca Karola Śliwowskiego. Ojciec Karol, przyjemnie zaskoczony wykształceniem i entuzjazmem młodego duchownego, zaproponował mu, żeby ten został wikarym w kościele władywostockim. Oficjalnie ojciec Jerzy przeniósł się w 1923 roku.

W wyniku antyreligijnej kampanii kościoły w tym czasie pozbawione zostały domów parafialnych, więc duchowny dostał jeden z pokoi w prywatnym domu, gdzie także osiedlono są-

Śledztwo zakończyło się 6 lutego 1932 roku. Ojciec Jerzy Jurkiewicz został skazany przez „trojkę” na 10 lat.

„Ciężko przeżywaliśmy aresztowanie ojca Jurkiewicza. Żyje w mej pamięci przez wszystkie te lata. Rodzice przez wiele lat próbowali znaleźć z nim kontakt. Dopiero mieszkając w Tomsku, w 1929 roku, moja mama spotkała się z pewnym księdzem, długo rozmawiali o Władywostoku, o duchownych, wygląda na to, że miał jakiś kontakt w Gułagu, i poprzez ten kontakt dotarliśmy do ojca Jurkiewicza. W tymże roku Jurkiewicz przysłał uprzejmy krótki list z prośbą o przesłanie mu solonego boczkusa i skarpet z wełny. Z tego listu dowiedzieliśmy się, gdzie odbywa karę – to było w re-

„OJCIEC PRZYJECHAŁ DO TOMSKA POSIWIĄŁY, CHUDY, W CIĘŻKIEJ DEPRESJI. NAWET MAMA BAŁA SIĘ Z NIM ROZMAWIAĆ. TEGO CZERPIĄCEGO RADOŚĆ Z ŻYCIA, TWARDO STOJĄCEGO NA NOGACH CZŁOWIEKA NKWD ZMIENIŁO NIE DO POZNANIA”.

siada, byłego kryminalistę, który miał pełnić funkcję „obserwatora”. Podeszłego wiekiem biskupa Karola Śliwowskiego osadzono na przedmieściach Władywostoku w areszcie domowym. A Jerzego Jurkiewicza aresztowali, oskarżając o szpiegostwo. Młodemu duchownemu dołożono jeszcze kontakty z japońskimi i polskimi dyplomatami – zwłaszcza to, że znał sekretarza polskiego konsulatu i jego żonę. Ksiądz podczas przesłuchań nie wypierał się tej znajomości. Jak również tego, że znał Polaków pracujących w „Domu Polskim”. Jeszcze jeden punkt aktu oskarżenia dotyczył „systematycznej pracy” przeciwko władzy sowieckiej. Działalność ta, zdaniem organów, polegała na okazywaniu dezaprobaty wobec tych katolików, którzy popierali władzę sowiecką. Oprócz tego oskarżono księdza o spekulację złotem i twardą walutą: w czasie rewizji domu u ojca Jerzego znaleziono carskie złote i srebrne monety, a także jeny i dolary. Podczas przesłuchań ojciec Jerzy początkowo odrzucał wszystkie zarzuty, ale w końcu, nie wytrzymawszy tortur, do wszystkiego się „przyznał”. Jednak nie doniósł na żadnego ze swych parafian.

jonie marińskim w obwodzie kemerowskim. Mama od razu taką przesyłkę wysłała. Więcej listów od duchownego nie było, ale doszły nas słuchy, że w zamknięciu Jurkiewicz stracił jedno oko. Dopiero teraz wiemy, jak to mogło być. Możliwe, że w ten sposób chciał nam dać znać, że niczego na przesłuchaniach nie powiedział” [ze wspomnień Reginy Stańko].

Niedawno katolicka parafia miasta Władywostok wysłała zapytanie do MSW obwodu kemerowskiego o losy ojca Jerzego Jurkiewicza. W odpowiedzi regionalny urząd poinformował, że więzień Jerzy Ludwikowicz Jurkiewicz zmarł w obozie Nowo-Iwanowskiego wydziału w rejonie marińskim obwodu kemerowskiego 4 czerwca 1942 roku. To oznacza, że po zakończeniu 10-letniej zaszczędzonej kary duchownego nie zwolniono. Informacji o przyczynie śmierci i miejscu pochówku nie udało się zdobyć.

W katolickim kościele Najświętszej Maryi Panny we Władywostoku jest specjalna tablica poświęcona represjonowanym parafianom i duchowieństwu – ludziom, którzy składając w ofierze życie, nie wyrzekli się swej wiary. ■

# Chiński komunizm nie przetrwa

Od 1997 roku Hongkong jest specjalnym regionem administracyjnym Chińskiej Republiki Ludowej. Jego mieszkańcy coraz częściej okazują na ulicach niezadowolenie z rządów komunistów, które przyniosły korupcję na najwyższych szczeblach władzy, powiększające się koszty utrzymania, rosnącą, a niechcianą emigrację i ograniczenia swobód obywatelskich. Równocześnie coraz więcej obywateli Hongkongu sprzeciwiających się rosnącej kontroli komunistycznych Chin trafia do więzień. O sytuacji w byłej kolonii brytyjskiej z urodzonym w USA pastorem BOBEM KRAFTEM, który od 1992 roku mieszka w Hongkongu, rozmawia Hanna Shen.



► **Czy może Pastor przedstawić się naszym czytelnikom i powiedzieć, jak zaczęły się związki z Hongkongiem?**

Moja pierwsza podróż wspólnie z jedną z chrześcijańskich organizacji do Hongkongu, który był wtedy pod panowaniem brytyjskim, miała miejsce w 1986 roku. Trafiłem ponownie do Hongkongu i komunistycznych Chin w 1992 roku, kiedy współpracowałem z duszpasterstwem sportu – byłem trenerem tenisa. Zostałem ordynowany na pastora w jednym z kościołów w USA i wysłany do prowadzenia działalności misjonarskiej w 1997 roku do wtedy już komunistycznego Hongkongu.

► **Jakie zmiany zauważył Pastor po przejściu Hongkongu przez Chiny?**

W ciągu jednego dnia, gdy komuniści przejęli kontrolę nad Hongkończykami, zostały zlikwidowane wizy

dla misjonarzy, usunięto też krzyże z budynków rządowych, nad którymi kontrolę wtedy przejął reżim komunistyczny.

► **W ostatnim czasie prezydent Trump powiedział, że Chiny próbowały renegocjować porozumienie handlowe, sugerując w ten sposób, że Pekin złamał dotychczasowe zobowiązania zawarte w czasie rozmów. Hongkongowi Pekin obiecał prowadzenie polityki „jednego państwa, dwóch systemów”. I to zobowiązanie także nie jest dotrzymywane. Wydaje się, że cały czas popełniamy ten sam błąd – wierzymy w obietnice składane przez komunistów.**

O tak, trzeba po prostu zrozumieć, że gdy mówimy o rządzie i prawie w Hongkongu, to od momentu przejścia władzy przez ChRL komuniści nigdy nie

stosowali obiecaną zasadę: „jedno państwo, dwa systemy”, lecz tę: „jedno państwo i jeden system” z Chinami komunistycznymi jako władcą. Ta doktryna „jednego państwa, jednego systemu” jest tak naprawdę zawarta w Ustawie Zasadniczej (Basic Law) Hongkongu, która nazywana jest ostatnio minikonstytucją i która weszła w życie po porozumieniu komunistycznych Chin i kolonialnej Wielkiej Brytanii oraz za zgodą Hongkończyków 1 czerwca 1997 roku, gdy Hongkong przejął Pekin. Ustawa bardzo jasno stwierdza, że Ogólnochińskie Zgromadzenie Przedstawicieli Ludowych [parlament ChRL – przyp. H.S.] będzie w stanie unieważnić i interweniować w każdej decyzji sądowej w Hongkongu. Wykorzystano to niedawno przy odebraniu mandatów dwóm należycie wybranym w wyborach deputowanym Rady Ustawodawczej [parlament Hongkongu].

► **W ciągu ostatnich tygodni doszło do skazania 9 aktywistów, którzy brali udział w „rewolucji parasoli” w 2014 roku. Czterech z nich trafiło już do więzienia. Co w ten sposób Pekin komunikuje Hongkończykom?**

Komuniści świadomie wybrali spośród setek tysięcy protestujących osoby najbardziej znane publicznie. Myślę, że chcieli w ten sposób pokazać przywódcom opozycji wobec Komunistycznej Partii Chin i ich zwolennikom, że zostanie położony kres ich działalności i że w Hongkongu nie będą mieli żadnego wpływu, a wszystko to zostanie osiągnięte za pomocą sędziów i więzienia w Hongkongu.

► **Jednym ze skazanych jest pastor Chu Yiu-ming, który w przemówieniu przed sądem użył mocnych argumentów odwołujących się do Pisma Świętego i broniących praw człowieka i prawa do nieposłuszeństwa obywatelskiego.**

Tak, pastor Chu ma teraz 75 lat i był przez całe swoje dorosłe życie zaangażowany w niesienie pomocy ludziom. Niedawno wyraził swoją opinię, że wszyscy muszą mieć możliwość korzystania z samorządności dzięki procesowi demokratycznemu, a on czuje, że tak się nie dzieje teraz w Hongkongu. W sądzie tuż przed skazaniem pastor Chu dał bardzo wyraźne i przekonujące osobiste świadectwo chrześcijanina. Sala sądowa zamarła, ludzie słuchali, a w ciągu kilku minut całe długie świadectwo, które przygotował wcześniej w formie pisemnej, zostało wysłane do mediów tradycyjnych i społecznościowych. Pastor odwołał się do swojego doświadczenia – mówił o tym, jak po okresie dość ponurego dzieciństwa znalazł nadzieję w Chrystusie, o swoim powołaniu jako duszpasterza do walki o prawa człowieka, godność

i troskę o wszystkich ludzi. Uważam, że to jego świadectwo w sądzie w komunistycznym Hongkongu było cudem. Obejmowało całe jego życie spędzone najpierw w Hongkongu pod kontrolą Wielkiej Brytanii, a potem od 1997 roku pod rządami komunistycznych Chin, i opowiadało o jego pracy, jaką wykonywał jako chrześcijanin, by pomóc Hongkończykom.

► **Pod koniec kwietnia w Hongkongu odbył się protest przeciwko zmianie prawa ekstradycyjnego. Czego Hongkończycy się obawiają w tym przypadku?**

Obawiają się, że sądy utracą wolę i moc ochrony obywateli Hongkongu i że będą przekazywać ich rządowi komunistycznych Chin. Obywatele Hongkongu nie mają zaufania do tamtejszego systemu sprawiedliwości.

► **Właśnie w związku z tą zmianą Lam Wing-kee, hongkoński wydawca, który jakiś czas temu był więziony w Chinach, powiedział, że chce starać się o azyl na Tajwanie. Lam powiedział, że „jeżeli nowe prawo wejdzie w życie, to przyniesie to falę imigrantów albo uchodźców z Hongkongu”. Czy tak będzie wyglądać przyszłość Hongkongu – obywatele uciekający przed komunizmem?**

Większość mieszkańców Hongkongu uwielbia swoje miejsce zamieszkania, w tym jego naturalne piękno, jedzenie i rodzime dziedzictwo. Teraz widzą pogarszającą się lokalną gospodarkę, negatywnie rosnący policyjny nadzór nad ludźmi, zanieczyszczenie powietrza pochodzące z komunistycznych Chin i rosnące koszty życia, bo ludzie z Chin przenoszą się do ich miasta i traktują je jako ich własne. Wielu Hongkończyków, ale nie wszyscy, pragnie się przeprowadzić, ale ma problemy z wizą z kraju przyjmującego lub kłopot z znalezieniem zatrudnienia po przeprowadzce.

► **Po obejrzeniu filmu „10 lat”<sup>1</sup>, który oferuje dość**

<sup>1</sup> „10 lat” to hongkoński film, który w pięciu różnych historiach opisuje Hongkong w 2025 roku. Mamy tu m.in. donoszące na dorosłych dzieci z Gwardii Młodych w strojach podobnych do tych, jakie nosili hunwejbini, przypadki samospalenia się zdesperowanych Hongkończyków, morderstwo wyreżyserowane przez chińskie władze po to, by zastraszyć obywateli Hongkongu i by Pekin mógł bez przeszkód wprowadzić nowe surowe prawo dotyczące bezpieczeństwa, czy Hongkończyków mówiących po kantońsku, a nie po mandaryńsku (oficjalny język ChRL) i mających kłopoty ze znalezieniem pracy. „10 lat” kończy się cytatem z Księgi Amosa ze Starego Testamentu: „Bo jest to czas niedoli\ Szukajcie dobra, a nie zła, abyście żyli”. A zaraz potem pojawia się napis: „Już za późno”, który zmienia się w słowa: „Nie jest za późno”.

**dystopijny opis wszechmocnej chińskiej władzy w Hongkongu w 2025 roku, zadałam sobie pytanie, czy to możliwe? Hongkong ma umrzeć? Jak pastor to widzi? Czy istnieje szansa na powstrzymanie rozprzestrzeniania się rządów komunistycznych w Hongkongu?**

Jestem optymistą, jeśli chodzi o Hongkończyków. Nie wierzę, że komunizm przetrwa. Chińscy komuniści rządzą wyłącznie strachem i represjami, a nie kierują się dobrem społeczeństwa. To nie może trwać wiecznie bez poważnych konsekwencji. Szaleje także korupcja, a system bankowy i gospodarka są jak dom zbudowany na piasku. Sam byłem żołnierzem armii amerykańskiej podczas zimnej wojny. Stacjonując w Berlinie, wiedziałem, że to, co widziałem w komunistycznych Niemczech Wschodnich, było bardzo złe, zarówno moralnie, ekonomicznie, jak i duchowo, i muszę po prostu pozostać silny w wierze w to, co jest dobre, czym jest zło i mówić o tym głośno. Tak, komunizm upadł bez wojny. Mam więc nadzieję, że nastąpi to także w komunistycznych Chinach.

**▶ Jest Pastor Amerykaninem, więc muszę zapytać o prezydenta Trumpa i coraz ostrzejsze stanowisko jego administracji w stosunku do Chin – ostrzejsze od poprzednich rządów.**

Prezydent Trump jest ogromnym wielbicielem Ronalda Reagana. Dokładnie przestudiował jego prezydenturę z początków lat 80. i jego podejście do bloku sowieckiego i komunistycznej Rosji, która wydawała ogromne pieniądze na zbrojenia. Wydaje mi się, że Trump stosuje podobną taktykę – spowodować wewnętrzny upadek komunistycznych Chin, ich gospodarki, siły militarnej. Cła doprowadzą do większego bezrobocia i wyczerpania się kanałów sprzedaży dla wielu produktów z komunistycznych Chin.

**▶ Używa Pastor określenia komunistyczne Chiny. Ja także to robię, ale ciągle słyszę od niektórych polskich polityków czy dziennikarzy, że Chiny przecież nie są już komunistycznym państwem. Pastor idzie nawet dalej i mówi komunistyczny Hongkong. To wyjaśnimy, jak ten komunizm objawia się w chińskiej polityce.**

Po pierwsze, obecny przywódca komunistycznych Chin Xi Jinping nazywa system w swoim kraju „komunizmem”. Po drugie, to jest system rządów jednej partii, Komunistycznej Partii Chin (KPCh). Sąd, parlament i wojsko podlegają KPCh. Ich flaga to flaga komunistyczna. Prawie miliard tych, którzy stanowią siłę roboczą, jest niedostatecz-

nie wynagradzany, a duża część dochodu trafia do grupki z komunistycznej kadry, która tworzy w ten sposób ogromne bogactwo dla siebie i swojej rodziny – to jest bardzo podobne do komunistycznego systemu robotniczego. Ten kraj prowadzi też politykę ateizmu dla wszystkich członków KPCh.

**▶ Jakie jest zaangażowanie Kościoła, religii, duchowieństwa w to, co się dzieje w Hongkongu? Czy wspierają opozycję, czy politykę ChRL w Hongkongu? Świat usłyszał o emerytowanym biskupie Hongkongu kardynale Josephie Zen i jego krytyce Watykanu za podpisanie tajnego porozumienia z komunistycznymi Chinami. Ale to tylko jeden głos.**

Według moich szacunków może pięciu pastorów z poszczególnych kościołów otwarcie skrytykowało komunistyczne Chiny, a reszta siedzi cicho. Kilka z większych kościołów popiera komunistyczne Chiny jako władcę Hongkongu. Ja mówię otwarcie: chrześcijanin nie może popierać żadnego rządu, który nie wierzy w Boga. Religijna tolerancja to co innego niż oficjalna polityka ateizmu. Komunistyczne Chiny mówią, że ich konstytucja gwarantuje wolność religijną, ale jednocześnie prześladują religie, w tym także chrześcijaństwo, i nie pozwalają osobom, które wierzą w Boga, piastować urzędów rządowych.

**▶ Niektórzy Polacy mogą pomyśleć: Hongkong jest tak daleko, dlaczego ma mnie obchodzić, co tam się dzieje. Niektórzy mogą dodać, że powinniśmy rozwijać nasze partnerstwo z komunistycznymi Chinami. Co by pastor im powiedział?**

Hongkończycy kupują produkty z Polski, zwłaszcza żywność. Teraz Chiny chcą, aby Hongkończycy byli coraz bardziej uzależnieni od produktów z ChRL. Taka strategia to działanie na szkodę zarówno Polski, jak i Hongkongu.

Patrząc na politykę Chin wobec Hongkongu, świat może zrozumieć, jakie są cele komunistycznych Chin. ChRL wyznaje teorię dominacji nad światem z komunizmem jako oficjalną polityką. To jest nazywane inicjatywą Pasa i Szlaku [lub Nowym Jedwabnym Szlakiem] i obejmuje zarówno ekspansję gospodarczą, jak i militarną, a krajom i gospodarkom rozwijającym się przynosi ogromne, niesplatalne długi z powodu pożyczek od komunistycznych Chin. Polacy mogą spodziewać się jakichś profitów w wyniku pogłębiania relacji z komunistycznymi Chinami, ale ostatecznym celem jest dominacja nad różnymi sektorami – począwszy od zakładania wspólnych przedsiębiorstw, na przejmowaniu ich i całych sektorów, szczególnie kluczowych, kończąc. Należy także spodziewać się imigracji siły roboczej do Polski z komunistycznych Chin. ■

Olga Doleśniak-Harczuk



# Powrót Martina i seksišci w PE

Wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego w Niemczech zostały najpierw ogłoszone wielkim preludium do podziału na Niemcy zielone (Zieloni) i Niemcy niebieskie (AfD), z granicą przebiegającą umownie w miejsce dawnego Muru Berlińskiego. Następnie wszczęto alarm, że stare partie ludowe – CDU i SPD – są w odwrocie, że obie okazały się skansenami politycznymi absolutnie niezdolnymi do zawalczenia o młodego wyborcę, kółkami zainteresowań z nikiem w oczach liczbą członków i fanów. Na jesieni być może przyjdzie im za to zapłacić kolejnymi stratami, a może wywróceniem do góry nogami koalicyjnego układu i wpuszczenia do gabinetów zielonego żywiołu.

**T**eraz odbędzie się polowanie na winnego katastrofy. W CDU winna jest Annegret Kramp-Karrenbauer, w SPD Andrea Nahles. Obie panie okazały się zbyt słabe. Jeli ktoś do tej pory zarzucał Angeli Merkel biedermeierowski styl i wizerunek, to powinien spojrzeć bardziej krytycznym okiem na AKK i AN. Obie panie prześcigały się w braku pomysłów. Na siebie, na Niemcy, na wszystko. Kampanie wyborcze koalicyjnych partii były nudne. Oferta programowa atrakcyjna tylko dla żelaznego elektoratu, któremu dobrze się żyje w każdych warunkach i który nie przepada za zmianami. Co jednak z tymi, którzy mają dość duopolu? Odpłynęli. I to w większości do Zielonych, czyli partii byłych luzaków w dzinsach i tenisówkach, a dziś mieszczańskiego klubu dyskusyjnego rozważającego zagrożenia dla klimatu, wymieniającego się najnowszymi zdjęciami Greta Thunberg, zanurzonymi w filozofii Fridays for Future i ograniczeń CO<sub>2</sub> oraz dylematem: czy po śmierci piękniejszym ukłonem w stronę Matki Ziemi będzie skompostowanie ciała z kawałkami mchu i drewna, czy jednak przerobienie go na diament. Taki diament nie brudzi i nie szkodzi, tylko siedzi sobie grzecznie w oprawie z pleksiglasu na kominku, można go też zawiesić na szyi jak kunsztowną biżuterię. Małe, a cieszy. Może gdyby CDU i SPD zrobiły sobie więcej zdjęć ze strajków z z troską o losy klimatu młodzieżą wagarującą co piątek, jeszcze zdołaliby się uratować. Nie. To nie jest takie proste. Angela Merkel mogła sobie zrobić zdjęcie z imigrantami i fala uchodźcza jeszcze bardziej nabrała rozpędu, ale to była Angela Merkel, jej wszystko wychodzi. Czasem na opak, ale efekt za każdym razem poraża skalą. Merkel ma rozmach i kropka.

### ► Satyryczny zamach na elektorat CDU

Annegret Kramp-Karrenbauer co najwyżej powie coś niestosownego o transseksualistach, co w grupie 70 plus, czyli żelaznym elektoracie chadeków, jeszcze jakoś się opłaca, ale młodych nie przyciągnie. Niemcy bardzo się zmieniły od czasu Republiki Bońskiej. Trzeba wiedzieć, na jakie tematy żartować. Choć z drugiej strony, jak spojrzeć na sukces satyrycznej partii Die Partei, która zdołała w tych wyborach wprowadzić do Parlamentu Europejskiego dwóch przedstawicieli, można przyjąć, że również niemieckie poczucie humoru nieco się zmodernizowało. Liderzy Die Partei nawoływali na przykład w swoim programie, by zakazać Niemcom w pewnym momencie życia prawa wyborczego. Twierdzili, że skoro głosować

można dopiero od osiągnięcia pełnoletności, to ograniczenia powinny dotyczyć również ostatniego odcinka żywota. I tak wykoncypowali, że Niemiec powinien mieć prawo głosu tylko do 62. roku życia. Gdyby ten pomysł przeszedł, CDU spadłoby szybko do poziomu AfD, a może nawet Die Linke. Die Partei nazywała w swoich spotach wyborczych Jeana-Claude'a Junckera „rządzającego Europą perwersyjnym zbokiem”, w spocie nie szczędzono zdjęć Junckera całującego i ściskającego namiętnie polityków europejskich, i postulowała „odbicie Europy z jego rąk”. Poza tym żądała kar dla „przeciwników klimatu” i ustalenia górnej granicy dla liczby uchodźców przybywających do Niemiec, a każdego nadprogramowego przybysza radziła odesłać do NRD... Program satyrycznego ugrupowania balansującego na granicy politycznej poprawności i niepoprawności trafił do najmłodszych Niemców, zwłaszcza do tych, którzy poszli głosować po raz pierwszy w życiu i dali się uwieść hasłom wyborczym w stylu: „Postaw na seksistów!”. Teraz satyrycy mają dwóch deputowanych w Brukseli. O ile humor im się nie stępi, może być całkiem ciekawie.

### ► Po co Martinowi emerytura

Ciekawie może się dziać również u socjaldemokratów. Andrea Nahles wyglądała dzień po ogłoszeniu wyników na podłamaną. Nic dziwnego. To w końcu za jej przywództwa SPD po raz pierwszy w historii Niemiec w wyborach ogólnokrajowych spadło na trzecie miejsce, plasując się za Zielonymi. Nahles będzie teraz obiektem matkobójczych myśli i dywersyjnych akcji ze strony kolegów, których znokautowała w 2017 roku, po wyborach do Bundestagu. Pierwszy w kolejce ustawił się Martin Schulz. Ten sam, którego brutalnie odsunięto od władzy dwa lata temu. Teraz Schulz zamierza się ponoć odegrać i ruszyć po złote runo. Prasa bulwarowa ma dobry temat i swoich informatorów. Tuż po ogłoszeniu wyników „Bild am Sonntag” zacytował wypowiedź anonimowego posła: „Martin całkiem jasno zapowiedział, że zmierzy się z Andrea. Nie ma nic do stracenia. Alternatywą byłoby grzanie ławki rezerwowej do końca kadencji, a potem emerytura”. Oczywiście po co Schulzowi emerytura. Tryska energią, ma świetne pomysły na Europę i Niemcy. Na wszystko. Nie wolno zmarnować takiego talentu na ławce rezerwowych. Martin przede wszystkim nie jest politycznym egoistą, już tak pada piłkę, by te zdobyte w wyborach do PE 15 procent podzielić na dwa. Bardzo socjaldemokratyczne podejście. ■

Hanna Shen



# Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

## ► Tajwan

17 maja parlament Tajwanu uchwalił ustawę legalizującą małżeństwa homoseksualne. Nowe prawo weszło w życie tydzień później. Ustawa to efekt wyroku Sądu Konstytucyjnego (SK) Tajwanu z 25 maja 2017 roku, w którym orzeczono, że dwa artykuły konstytucji Republiki Chińskiej (oficjalna nazwa Tajwanu) dotyczące małżeństw „naruszają zarówno wolność ludzi do zawierania małżeństw [...], jak i prawo ludzi do równości”. Sąd dał ustawodawcy dwa lata na przygotowanie stosownych poprawek w prawie.

W listopadzie 2018 roku na Tajwanie odbyło się referendum, w którym większość obywateli opowiedziała się za utrzymaniem obowiązującego prawa, czyli rozumieniu małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny. Referendum nie było jednak wiążące i parlamentarzyści rozpoczęli pracę nad nowymi przepisami. Te uchwalone w połowie maja zakładają, że dwie osoby tej samej płci, w wieku co najmniej 18 lat, mogą zarejestrować swój związek jako tzw. małżeństwo i korzystać z niemal wszystkich praw, jakie przysługują tradycyjnym małżeństwom w zakresie podatków, ubezpieczeń czy opieki nad dziećmi. Mają też prawo do adopcji biologicznych potomków jednego z partnerów, ale nie jest możliwa adopcja dziecka, które nie jest biologicznym dzieckiem któregośkolwiek z małżonków, nawet jeśli zostało ono przez niego adoptowane przed rejestracją małżeństwa.

Uchwalenie przepisów zezwalających na homomałżeństwa to wynik prowadzonej od kilku lat na Tajwanie przez środowiska homoseksualne bardzo silnej kampanii. Argumentowano, że zgoda na małżeństwa osób tej samej płci uczyni wyspę „najbardziej demokratycznym” krajem w Azji, bo pierwszym, który oficjalnie uzna takie związki. Kampania odbywała się przy wsparciu mediów i części polityków z rządzącej

na wyspie Demokratycznej Partii Postępu, a także lewackich organizacji z Zachodu. W marszach na rzecz poparcia homomałżeństw brali udział przedstawiciele zachodnich ambasad, na przykład Niemiec, Holandii czy Kanady. Przeciwdziałanie się homozwiązkowi przedstawiano jako „objaw zacofania i niedojrzałości” lokalnego społeczeństwa.

Gorącą orędowniczką małżeństw homoseksualnych jest obecna prezydent Tajwanu Tsai Ingwen. „Zrobiliśmy duży krok w stronę prawdziwej równości i uczyniliśmy Tajwan lepszym krajem” – napisała na Twitterze po przegłosowaniu nowego prawa. Przeciwnicy obecnej prezydent Tajwanu liczą, że w 2020 roku nie wygra ona kolejnych wyborów, a jej następca z bardziej konserwatywnego Kuomintangu zmieni prawo.

## ► Chiny–USA

Na początku maja w „The Washington Post” ukazał się artykuł pt. „Jesteśmy na wojnie ekonomicznej z Chinami. Nie ma sensu iść na kompromis”, napisany przez byłego głównego stratega prezydenta Donalda Trumpa Steve’a Bannona. Publikacja dotycząca relacji amerykańsko-chińskich i przedstawia, o co toczy się gra w Pekinie, Waszyngtonie i na Wall Street w kwestii dealu Trumpa z Chinami.

W publikacji Bannon stwierdza, że celem „radykalnej kadry rządzącej Chinami – Komunistycznej Partii Chin (KPCh) – jest stanie się globalną hegemoniczną siłą” i że ekonomiczna, a także strategiczna wojna USA z Chinami będzie trwała latami, choć mogą w niej wystąpić okresy „zawieszenia broni”. Według Bannona dla Chin, które są największym zagrożeniem dla gospodarki i bezpieczeństwa narodowego USA, zgoda na żądania postawione przez stronę amerykańską w czasie negocjacji (m.in. zaprzestanie wymuszonego transferu technologii) będzie oznaczała

„prawny i regulacyjny demontaż chińskiego państwowego kapitalizmu”.

Pekin uznałby za swoje zwycięstwo, gdyby negocjacje zakończyły się dealem pełnym obietnic ze strony chińskiej bez uzgodnienia mechanizmów gwarantujących wypełnienie tych zobowiązań. Zyskałby w ten sposób czas do następnych wyborów w USA, licząc na to, że wygrałby je kandydat demokratów. Stroną, która także chciałaby szybkiego zawarcia dealu, jest Wall Street. Świat finansjery przedstawia negocjacje obu stron jako rozmowy dwóch krajów o podobnych systemach. Bannon stwierdza, że jest to fałszywy obraz. W rzeczywistości mamy do czynienia z „fundamentalnym zderzeniem się dwóch radykalnie różnych modeli ekonomicznych”. Píše także, że wśród doradców Trumpa są tacy, którzy chcieliby widzieć zawarcie umowy jak najszybciej, a to spowodowałoby, że firmy dojdą do krachu i implozji gospodarki amerykańskiej.

Według Bannona chiński kapitalizm państwowy jest wysoce opłacalny dla jego właścicieli – członków KPCh. „Będąc w stanie zastoju chińskie przedsiębiorstwa państwowe zyskują przewagę konkurencyjną nad prywatnymi firmami innych państw dzięki ogromnym dotacjom rządowym i oszczędzaniu kosztów poprzez kradzież własności intelektualnej, technologii i innowacji od cudzoziemców”. Gdyby Trumpowi udało się wynegocjować systemowe zmiany w gospodarce Chin, to wstrzymana zostałaby kradzież ze strony chińskiej, a to spowodowałoby, że firmy z Niemiec, Korei Płd., Japonii i USA zyskałyby przewagę nad chińskimi przedsiębiorstwami.

Były strateg Trumpa stwierdza, że świat widzi teraz bardzo dokładnie, jak działa KPCh – mamy do czynienia z szybko militaryzującym się reżimem, który „więzi miliony w obozach pracy, prześladowa Ujgurów, chrześcijan i buddystów oraz szpieguje i zniewala własnych obywateli”.

Bannon pisze o świecie podzielonym na pół – jednemu przewodzi Trump, stawiający na korzyści płynące z wolności, demokracji i kapitalizmu wolnorynkowego. Drugiemu, temu zniewolonemu, kierunek wyznacza Xi Jinping, który jest jednocześnie przywódcą „państwa totalitarnego i merkantylistycznego opartego na kapitalizmie państwowym o chińskich cechach”. Zaznacza, że walka, jaką prowadzi teraz USA, jest wymierzona w KPCh, a nie w Chińczyków, którzy są „pierwszymi i nieustannymi ofiarami barbarzyńskiego reżimu”. Były doradca prezydenta USA kończy artykuł stwierdzeniem, że najważniejsze jest, by Trump kierował się swoim instynktem i nie poszedł na kompromis z Pekinem, „największym, jakie kiedykolwiek spotkało Stany Zjednoczone egzystencjalnym zagrożeniem”.

Publikacja wywołała furie w Pekinie. Dziennik KPCh „Global Times” stwierdził, że Bannon „złośliwie

oczernił” Chiny, pisząc o ucisku ludności ujgurskiej przez KPCh, i nazwał Bannona „szalonym” analitykiem. Wyrzucił nadzieję, że opinie byłego stratega Trumpa nie są „rakiem” szerzącym się w amerykańskiej dyplomacji. „Bannon po prostu nie ma pojęcia o zglobalizowanym świecie i złożoności relacji między mocarstwami. Chce, by podstawowymi wytycznymi polityki USA wobec Chin były zachłanność i strach” – czytamy w „Global Times”. Komunistyczny dziennik stwierdził ponadto, że Bannona i innych prawicowców nie obchodzi, „ile bólu wywołają konflikty chińsko-amerykańskie. Jedyną rzeczą, która ich obchodzi, jest pokonanie Chin”.

## ► Korea Północna

W połowie maja oficjalna północnokoreańska agencja prasowa KCNA podała, że Korea Płn. zmaga się z największą suszą od 37 lat. Stwierdzono, że wody brakuje bardziej niż kiedykolwiek, i wezwano mieszkańców do „zajadłej walki”, by chronić uprawy przed zniszczeniem. BBC, powołując się na portal NK News monitorujący sytuację w Korei Płn., stwierdza, że jeśli oficjalne dane są prawdziwe, to KRLD będzie musiała sprowadzić 1,5 mln ton żywności, by zrównoważyć spadek produkcji spowodowany suszą.

W kwietniu agencje ONZ alarmowały, że produkcja żywności w Korei Płn. spadła w 2018 roku do najniższego poziomu od 10 lat i że „sytuacja może się dodatkowo pogorszyć w czasie nieurodzajnego okresu od maja do września”, jeśli nie zostaną podjęte odpowiednie działania zaradcze. Media w Pjongjangu twierdzą, że do problemu z brakiem żywności przyczyniają się także międzynarodowe sankcje nałożone na KRLD za jego zbrojenia jądrowe i rakietowe. Według BBC nie do końca można określić, jaka jest w istocie rola sankcji w tym zakresie.

Doniesienia o ciężkiej sytuacji w Korei Płn. potwierdza raport amerykańskiej organizacji charytatywnej Chrześcijańscy Przyjaciele Korei (CFK). CFK wysłała niedawno 11-osobowy zespół do Korei Płn., by przyrzeć się dystrybucji pomocy materialnej i leczyć pacjentów dotkniętych zapaleniem wątroby. 19 maja media południowokoreańskie doniosły, że Seul planuje przygotowanie planu dostarczenia pomocy humanitarnej o wartości 8 mln dolarów dla Korei Płn. Jednak zanim rząd prezydenta Korei Płd. ogłosi konkretny plan pomocy Pjongjangowi, musi liczyć się z nastrojami we własnym kraju. Rośnie tam publiczna frustracja wobec Korei Płn., która niedawno znwołała testy rakiet krótkiego zasięgu, co najwyraźniej miało na celu wywarcie presji na Waszyngtonie i Seulu, by te jak najszybciej zniosły sankcje. ■



Stefan Czerniecki  
czerniecki.net

Wounded Knee dla współczesnych potomków Czerwonoskórych jest niczym dla Polaków Katyń. Ta polana to miejsce kaźni. Arena bezdusznej masakry. Trudno się dziwić, że w 1973 roku prawnuki zabitych podjęły dramatyczną akcję okupowania cmentarza. Współcześni Dakoci chcieli zachować chociaż tyle.

# Gdy pora zamknąć indiańską księgę...





Zaginiony Ptak była jednym z niemowląt, które cudem ocalało z masakry nad Wounded Knee

„Tak dalej być nie może...” – indiański wódz Wielka Stopa okrył się szczelniej swą futrzaną narzutą. Tego roku zima na Wielkich Równinach była wyjątkowo surowa. Milczenie towarzyszy było aż nadto wymowne. Wśród zebranych panował nastrój powagi i uzasadnionego lęku. Co powie wódz? Co finalnie postanowi? „Bracia, ja wiem, że Szalony Koń nie byłby z nas dumny” – Wielka Stopa powoli cedził wyrazy. „Zdaję sobie sprawę, że nasi wojownicy nie po to przed ponad piętnastu laty zwyciężali pod Little Bighorn, żebyśmy teraz dawali zamykać się w jakimś rezerwacie! I że to hańba dla naszych kobiet i dzieci! To wszystko wiem!”. Cisza w wodzowskim namiocie tipi była przejmująca. Nikt nie miał odwagi wchodzić w słowo przemawiającemu Wielkiej Stopie. „Z drugiej jednak strony ta zima jest wyjątkowa. Zwierzyny w rezerwacie nie widać. Widmo głodu coraz głębiej zagląda nam w oczy”. „Co radzisz?” – wreszcie ktoś z przysłuchujących się wodzowi odważył się zabrać głos. „Bracie, jeszcze nie wiem. Potrzebuję czasu. I waszej rady. Zastanówcie się, co możemy uczynić. Którędy ma prowadzić nasza droga do wolności? Ale póki co udajmy się na nocny spoczynek. Potrzebujemy sił”.

Wielka Stopa był już wyraźnie zmęczony. Poza atakującym go wirusem, prawie siedemdziesięcioletni

wódz czuł też na sobie niezwykłą odpowiedzialność. Pomny kolejnych porażek w starciach z amerykańską armią po ludzku się bał. Wiedział, że w walce z białym człowiekiem jego wojownicy nie mają szans. Potrzebował cudu.

Naraz zza bizońskich skór, z których zbudowany był namiot wodza plemienia Dakotów, dało się słyszeć historyczne śpiewy. Kilkunastu mężczyzn rozpoczynało właśnie swój codzienny rytuał. Wielka Stopa leżąc na swym posłaniu, wsłuchiwał się mimowolnie w ten wojowniczy jęk. Było w nim coś tragicznego. Coś, co budziło w nim niepokój. Ale zarazem trudno definiowalną nadzieję.

### ► Taniec Ducha

Na imię miał Wovoka. Był synem szamańskiego proroka Indian. Tavibo. Wywodzącego się z plemienia Pajutów. Gdy skończył 12. rok życia, jego ojciec miał wedle swej opinii doświadczyć spirytualistycznej wizji, w której sam bóg oświadczył mu, że ziemia, na której żyją, jest już stara i potrzebuje odnowy. I że ta odnowa już nadchodzi. Dociekliwy syn pytał ojca, na czym ma polegać ów nowy okres w dziejach „zmęczonej” ziemi. Wtedy Tavibo roztaczał przed synem wizję szczęśliwej ojczyzny. Kraju, w którym



Samych Indian nadal w Dakocie Południowej znajdziemy bez trudu

przodkowie zmartwychwstaną. Starsi odmłodzią. A wszyscy będą cieszyć się niegasnącym szczęściem. I pokojem.

– No, dobrze... – zająknął się pewnego dnia młody Wovoka. – A co będzie w tej sytuacji z białymi ludźmi?

– Znikną. Ich już nie będzie. Więcej ich nie zobaczymy... – roztaczał dalej swą wizję ojciec nastoletniego Indianina.

– Ojcie, a kiedy to nastąpi?

– Wkrótce. Potrzeba nam tylko spełnić jeden warunek. Musimy uwierzyć w tę wizję. Wszyscy. Bez wyjątku.

Tak narodził się ruch zwany Tańcem Ducha. Wiara, o której mówił Tavibo, miała sprowadzać się do praktyki świętego tańca oraz śpiewania pieśni na temat prorocत्व, które wygłosił szaman. Rok po tej wizji Tavibo zmarł. Osierając młodego Wavokę. Kult powoli dogasał. Nie widząc żadnych oznak mającego zbliżyć się wyzwolenia, Indianie powoli przestali praktykować zalecane im przez ich zmarłego szamana tańce i śpiewy.

Sam zaś Wavoka został adoptowany przez chrześcijańskich farmerów. Tam poznał wiarę w Chrystusa. W przyszłości jako dorosły mężczyzna, pracując na polach chmielowych doliny rzeki Columbia, miał

poznać różne sekciarskie odmiany protestantyzmu. A także elementy wiary mormonów. Wiarę w lud wybrany, w potomstwo po zaginionych plemionach hebrajskich. A także w specjalne szaty, jakie nosili mormoni. Szaty, które – wedle ich wiary – miały chronić ich przed złem i gwarantować dostanie się po śmierci do nieba. W przyszłości Wovoka miał użyć tej wiedzy do szerzenia wiary w „koszulę ducha”, których założenie miało uchronić Indian przed kulami z karabinów białego człowieka.

Przechrzczony na imię Jack Wilson Wovoka wrócił ostatecznie na rodzime ziemie. Założył rodzinę, sumiennie pracując na jej utrzymanie. Któregoś dnia miał wizję. Podobnie jak jego zmarły ojciec. Podczas snu ujrzał siebie w niebie. Był tam oprowadzany przez tzw. Wielkiego Ducha. Słyszał od Boga słowa o konieczności odnowy i życia w braterstwie. I ponownie ugruntuował się w przekonaniu o rychłym nadejściu końca znanego mu świata. „Już wkrótce wśród Indian ma zapanować kraina szczęścia” – głosił po przebudzeniu.

Ideologia Tańca Ducha zapoczątkowana przez jego ojca znów wróciła do łask. Nad jeziorem Walkera w dzisiejszym stanie Nevada pod przewodnictwem Wovoki został uroczysto odprawiony pierwszy Taniec Ducha. Ceremonia bardzo szybko zyskała rozgłos. Z całą pewnością



Na grobie zabitego w strzelaninie członka AIM znajduje się wygrawerowana animacja



Warunki, w jakich dziś żyją potomkowie dumnych Dakotów, urągają ludzkiej godności

w jej popularyzacji pomogły Wowoce przypisywane mu cuda, o których wśród Indian robiło się coraz głośniejsze. Kolejni Indianie przekazywali sobie wieści o tym, jak przy modlącym się Wowoce zgromadzony nad rzeką lud zobaczył w środku lata spływającą po wodzie lodową krę, którą zapowiedział sam Wovoka. Nie wiedzieli, że łódź ten wrzucił do rzeki na nieco wyższym jej odcinku członkowie farmerskiej rodziny Indianina, którzy go adoptowali. Czy robili to na jego zlecenie, czy chcąc uniknąć kompromitacji syna, tego nie wiemy.

Wiemy natomiast, że misja uwiarygadniającego się z każdym tygodniem Wovoki w bardzo szybkim tempie zyskiwała coraz większą popularność. Ideę Tańca Ducha zaczęły przejmować kolejne plemiona. Doktryna wiecznej szczęśliwości, naprawienia krzywd wyrządzonych przez białych ludzi, a przede wszystkim wizja ich ostatecznego zniknięcia padła na bardzo podatny grunt. Taniec Ducha przejmowały po kolei wszystkie plemiona na zachód od rzeki Mississippi. „Nie krzywdźcie nikogo. Czyńcie zawsze dobro. Nie kłamcie” – głosił Wovoka. „Nigdy nie walczyć. Indianie nie muszą się niczego obawiać. Nasi zmarli przodkowie powstali i czekają na nas razem z Wielkim Duchem. Indianie muszą wierzyć i ufnie odprawiać święty taniec”.

### ► Biali reagują

Zasypiający wódz Wielka Stopa obrócił się na drugi bok. Dochodzący zza jego tipi coraz głośniejszy skowyt jego współbraci nie dawał mu usnąć. Indianie odprawiali właśnie ceremonię Tańca Ducha. Wciąż wierzyli.

„Przysłali wojsko...” – te słowa wybudziły Wielką Stopę z głębokiego snu. Przybywający o świcie pod jego namiot młodociany zwiadowca mówił pewnie i stanowczo. Miał rację. To nie były zmyślane informacje. Biali ludzie z obawy przed kolejnym zbrojnym powstaniem wezwali na tereny rezerwatu znacznie oddziały. Trudno się temu dziwić. Także do białych dotarła wieść o zataczającym coraz szersze kręgi spirytualistycznym ruchu. Biali postrzegali Taniec Ducha jako pogańską religię, która może doprowadzić do tego, że Indianie znów będą chcieli opuścić stworzone dla nich rezerваты. A przecież nie po to przez całe lata 80. XIX wieku biali Amerykanie stopniowo uczyli Indian nowego modelu życia – obyczajów, sposobów gospodarowania majątkiem, języka, ubioru, wreszcie także religii – aby teraz ponownie zatracić wszystko, co przez tę dekadę udało im się uzyskać.



Zbiorowa mogiła wszystkich indiańskich ofiar masakry nad potokiem Wounded Knee

Z końcem listopada 1890 roku amerykańskie wojsko mające stłumić objawy rodzącego się rewolucyjnego ruchu przekroczyło granice rezerwatów dla Indian. Kampania miała rozkaz „rozwiązać kwestię ceremonii Tańca Ducha”. Indianom odczytano rozkaz i nowe zarządzenia zakazujące praktyk związanych z nowych ruchem. Zaczęły się czystki, w które włączyli się również przekupieni przez armię indiańscy policjanci. To właśnie dwaj z nich, Głowa Byka i Czerwony Tomahawk, w poniedziałek 15 grudnia 1890 roku zabili podczas próby aresztowania za rzekomy udział w nielegalnej ceremonii Tańca Ducha słynnego wodza Siedzącego Byka. Wraz z wodzem zginęło siedmiu jego wojowników. Reszcie udało się zbiec do kryjówek oraz pozostałych obozowisk tancerzy.

### ► Pospieszna narada i złamane słowo

Sporządzona przez oficera Jamesa Forsytha lista „podżegaczy” nawołujących do ruchu Tańca Ducha zaczęła krążyć także wśród Indian. Szybko wyszło na jaw, że poza zabitym wodzem Siedzącym Bykiem znalazło się na niej imię innego – Wielkiej Stopy.

– Idziemy do fortu! – zarządził wódz po kilku dniach przemyśleń. – To nasz jedyny ratunek. Zima

przeszła nasze oczekiwania. I nic nie zapowiada, by szybko ustąpiła. Nasi ludzie nie mają co jeść. Nie mamy zapasów. Grozi nam klęska głodu. Musimy udać się po pomoc do fortu.

– Ale biali nas nienawidzą... – oponowali wojownicy.

– To nasza jedyna szansa. Musimy zaryzykować...

I tak zrobili. Wraz z grupą 350 Indian Wielka Stopa ruszył w kierunku najbliższego fortu. Po drodze ich grupa jeszcze się powiększyła. O uciekających z rezerwatu Standing Rocks Siuksów. To od nich wódz dowiedział się o niedawnej śmierci Siedzącego Byka. Nie zmienił jednak decyzji, kontynuując marsz w kierunku armii białych ludzi.

Po kilku dniach wędrówki Indianie natknęli się na oddział kawalerii amerykańskiej. Żołnierze zostali wysłani z rozkazem pojmania Wielkiej Stopy i jego wojowników oraz doprowadzenia ich do fortu Mead. Jako że zbliżała się noc, dowodzący oddziałem pułkownik Sumner ulitował się nad Indianami, pozwalając im na rozbiście jeszcze jednego obozu, by mieli siły na jutrzejszą eskortę. Sam Sumner oddalił się zaś ze swoim oddziałem na kilka mil od obozu.

– Uciekajmy! – podczas pospiesznie zwołanej narady wśród Indian dało się odczuć panikę i strach.

– Dałem słowo temu pułkownikowi... – oponował kaszłący coraz głośniejszą Wielką Stopą. To początek ostrego zapalenia płuc, jakie miało go męczyć przez najbliższe dni.

– Wodzu, to nasza jedyna szansa. Zabijają nas w tym forcie. Podobnie jak zabili Siedzącego Byka.

– Wiem... Obiecałem jednak...

– Wodzu, a co z naszymi kobietami? Co z dziećmi? Im też obiecywałeś, pamiętasz? Ochronę i obronę przed wrogiem. Co z nimi?! – doradzający wodzowi byli coraz bardziej napastliwi.

– Dobrze. Niech będzie po waszemu. Ogłoście rozkaz zwijania obozu!

Grupa postanowiła kierować się w stronę oddalonego o 150 mil rezerwatu Pine Ridge. Wiedziała, że kryją się tam dobrze uzbrojeni wojownicy Czerwonej Chmury. Wodza, którego biali szanowali chyba najbardziej ze wszystkich Indian. To przecież on był sygnatariuszem podpisanego przed laty rozejmu między amerykańską armią a Indianami. Obrany kierunek wydawał się najbardziej optymalnym rozwiązaniem. Wyruszyli. Głodni i zmarnięci. Zmagający się z białą zawieruchą śnieżącą na otwartych przestrzeniach wielkich prerii. I z panicznym strachem przed ścigającą ich amerykańską armią.

## ► Wybuch z winchestera

Niestety. Uciekający konwój nie zdążył dotrzeć do celu. Na dzień drogi od rezerwatu Pine Ridge Indian dopadł oddział żołnierzy Siódmej Brygady Kawalerii. Tej, która 16 lat wcześniej została rozgromiona przez Indian w słynnej bitwie pod Little Bighorn. Miejsu śmierci dowódcy amerykańskiej armii, ppłk. George'a Custer. Człowieka wybitnie nienawidzącego Czerwonoskórych. Świadom przewagi wroga oraz mentalności palających żądzą rewanżu żołnierzy Wielka Stopa zarządził poddanie się i wywieszenie białej flagi.

Tym razem żołnierze postanowili jednak nie powtarzać błędów pułkownika Sumnera. Na pobliskim wzgórzu żołnierze ustawili baterię lekkich działek hotchkiss miotających granaty. Samych Indian przekonali jednak, że nic złego im nie grozi. Ciężko chorego wodza Wielką Stopę przeniesiono do wojskowego ambulansu. Samym zaś Indianom rozdawano żywność i koce.

Następnego dnia, 29 grudnia 1890 roku, oficer Forsyth wydał rozkaz rozbrojenia obozu. Wielka Stopa przekazał swym wojownikom polecenie, aby wszyscy oddali broń. Dla Indian symbol męskości. Rzecz, bez której wojownik miał się za nagiego. Indianie nie byli entuzjastycznie nastawieni do wykonania rozkazu. Gdy pod stopami amerykańskich żoł-

nierzy wylądowało zaledwie parę strzelb, w dodatku w większości niesprawnych, Forsyth zarządził rewizję obozu w celu znalezienia pozostałej broni. Żołnierze mieli przeszukać indiańskie tipi i anektować wszystko, czym można zabić. Po chwili na środku obozu urosł znacznie większy kopczyk złożony z wszelkich tasaków, siekier, noży, rewolwerów i strzelb. To jednak nie był koniec. Amerykanie dobrze wiedzieli, że przynajmniej kilku wojowników wszedło niedawno w posiadanie szybkostrzelnych winchesterów. Zaczęli szczegółową rewizję osobistą. Gdy podeszli do Indianina o imieniu Czarny Kojot, ten nie chciał rozpiąć płaszcza. Gdy żołnierze chwycili za ukrytego za jego pasem winchestera, przygluchy wojownik zaczął krzyczeć, że nie odda broni, która kosztowała go majątek. Doszło do szamotaniny. Naraz dało się słyszeć huk. Broń wypaliła.

## ► Masakra pod Wounded Knee

Zdezorientowani żołnierze zaczęli rzeź. Strzelali na oślep do wszystkiego, co się ruszało. Z pobliskich wzgórz otworzyli ogień z działek hotchkissa. Zabijali w ten sposób również własnych kolegów, wziętych w krzyżowy ogień. Nie oszczędzali nikogo. W kilka minut zginęło ponad stu indiańskich wojowników i Wielka Stopa. Z obozu próbowały uciekać bezbronne kobiety z dziećmi. Ale żołnierze nie mieli żadnej litości. Zabili również ich. Ci, którzy jakimś cudem przeżyli, armia zostawiła na pastwę nadciągającej śnieżycy. Większość umarła z zimna i wyczerpania. Masakra pod Wounded Knee dopełniła się.

„Zginęło 356 Indian. Ta ziemia wciąż ma w sobie wsiąkniętą ich krew” – szepcze do mnie pogrążony w zadumie Jurek. To Polak. Mieszka w Stanach już ponad trzydzieści lat. Odkąd wyemigrował, bardzo pragnął tutaj przybyć. Teraz wreszcie nadarzyła się okazja.

Krajową drogą nr 18 łączącą w Nebrasce wschód z zachodem docieramy do polnej wyboistej ścieżki. Zwykłą osobówką dalej byśmy już raczej nie pojechali. Dobrze, że mamy jeepa. Wjeżdżamy na teren ostatniego tchnienia indiańskiej legendy. Bitwa, a właściwie masakra, pod Wounded Knee stała się symbolem męczeńskiej śmierci całego pokolenia Czerwonoskórych. Więcej starć już nie było. Indianie odeszli. Już na zawsze. Zmuszeni do adaptacji ze społeczeństwem białego człowieka. Pozostała legenda.

Legenda, która pomimo zamkniętej już księgi indiańskich dziejów nadal żyje swoim życiem. I właśnie dla tej legendy przyjechaliliśmy nad potok Wounded Knee.

## ► Zaginiony Ptak i okupacja wyspy



Dla Indian prerii i ich potomków to ważne miejsce pamięci

Spacerujemy powoli po niewielkim cmentarzyku. Większość grobów zdobią drewniane krzyże. Leżą tu wszyscy. I Indianie, i amerykańscy żołnierze. Także ludzie, którzy odeszli z tego świata już kilkadziesiąt lat po masakrze. Część grobów to pokryte darnią niewielkie kopczyki. Część stanowią kamienne płyty. Widać, że te drugie to współczesne groby.

Tak jest chociażby w przypadku grobu młodego Indianina, potomka plemienia Dakotów, Lawrence'a „Buddy'ego” La Monte. Zastrzelonego w 1973 roku przez agenta federalnego. Mord był pokłosiem polityczno-obywatelskiego ruchu nazywanego Amerykańskim Ruchem Indian (American Indian Movement, w skrócie: AIM) założonego w 1968 roku przez Russella Meansa, Dennisa Banksa i innych potomków rdzennych mieszkańców tych ziem. Członkowie AIM rościli sobie prawo do miejsc, w których przed laty żyli ich pradiadkowie. Swoje protesty wyrażali choćby, przetrzymując zakładników w miasteczku Oglala Lakota County w Południowej Dakocie. Z kolei w latach 1969–1971 okupowali wyspę Alcatraz u wybrzeży San Francisco, twierdząc, że mają do niej prawo na mocy traktatu przyznającego im niewykorzystane ziemie federalne. W końcu w 1973 roku podjęli dramatyczną okupację cmentarza pod Wounded Knee.

Na grobie zabitego w wyniku strzelaniny członka AIM znajduje się wygrawerowana animacja. Przedstawia dwóch żegnających się ze sobą Indian: ojca i syna. Pod grafiką widnieje podpis „Mimo że odeszedł w samotną podróż, spotkamy się kiedyś w naszym przyszłym domu”.

Nieopodal poruszającego nagrobka stoi inny. Tu z kolei leży kobieta o tajemniczym imieniu Zaginiony Ptak. Po indiańsku Zintkala Nuni. Była jednym z niemowląt, które cudem ocalało z masakry pod Wounded Knee. Adoptowana następnie przez generała Leonarda Colby'ego.

### ► Być na posterunku

Co jednak z samymi ofiarami masakry pod Wounded Knee? Tych pochowano w mogile zbiorowej. Bez honorów, bez modlitwy, bez godnego pochówku. Części z zamordowanych zabierano nawet ubranie. Na pamiątkę. Dopiero po latach w miejscu ich zbiorowej mogiły postawiono pomnik. Stoi do dziś. Pionowa kolumna. Z białego kamienia. Na ścianach wygrawerowane nazwiska tych, których imiona znano. Jest więc wódz Wielka Stopa. Jego imię widać na samej górze. Dalej Długi Byk, Biały Amerykanin, Duchowy Koń, Straszący Niedźwiedzia, Zraniona Dłoń, Czerwona Ryba... Będąc tu, nie sposób o nich wszystkich nie myśleć. O lęku, z jakim kładli się spać pamiętnej nocy z 28 na 29 grudnia 1890 roku. I o zaskoczeniu, z jakim rozpoczął się dla nich ten mroźny, acz słoneczny poniedziałkowy poranek.

Przy wejściu na teren cmentarza stoi zaparkowany biały pickup. Gdy zbliżamy się do furtki, z auta wychyla się głowa mężczyzny o ciemnej karnacji. Kruczoczarne włosy, charakterystyczne zmarszczki na czole, czujny wzrok. To potomek tych, którzy tutaj zginęli. Indianin. Pilnuje miejsca wiecznego spoczynku swoich przodków. Chce być pewny, w jakim celu tu przychodzimy. Także dziś Indianie potrafią mieć wrogów w społeczeństwie.

Mężczyzna nic nie mówi. Tylko obserwuje. Bardzo wnikliwie i ostrożnie. Nieufnie. Utwierdzając mnie tylko w przekonaniu, że to faktycznie potomek dumnego rodu Dakotów. Nie trzeba mieć wyjątkowo bujnej wyobraźni, aby uzmysłwić sobie, jak zachowywali się jego pradiadkowie. Milczący, dumni, waleczni. Z olbrzymią dozą rezerwy i nieufności. Mam nieodparte wrażenie, że z tym tutaj jest bardzo podobnie. Spokojnie, nie zamierzmy bratać się na siłę. Jedynie grzecznie się kłaniamy. Pan też skinął głową. W ledwo zauważalny sposób, ale skinął. Jest na posterunku. ■



Marcin Wolski

# WYBÓR

**P**olacy to dziwny naród. Niepamiętliwy, często rozleniwiony. Do czasu. Istnieją w nim bowiem struny, których nie radzę podrażniać. Nagle łagodny misiek przypomina sobie, że jest niedźwiedziem. Przed niedawnymi eurowyborami przysięgli się wszystkie moce przeciwników Dobrej Zmiany. Krajowe i zagraniczne. Miał to być bóg ostatni. Berezyna, Lipsk, Waterloo w jednym, kiedy bezradny okazał się nawet geniusz na miarę Napoleona. Nie wyszło. Nasz Mały Naczelnik w niepojęty sposób przejrzał rozliczne zasadzki i znalazł sposoby, na które miało nie być lekarstwa. No i w rezultacie

go czy mogło się udać? Schetyna zachował się jak kucharka, która do jednego garnka wspaniała najrozmaitsze przyprawy, często kłócące się smakiem. Wychodził z założenia, że w takim grochu z kapustą każdy wybierze coś dla siebie – i chłop, i robotnik, i inteligent pracujący, i postępowy ksiądz, i jeszcze bardziej postępowy gej. Jakoś nie przyszło mu do głowy, że pewne wybory mogą się wykluczać. Serdecznie współczuję kombatantom konspiracyj zmuszonym do głosowania na Cimoszewicza czy chłopom polskim przekonanym na siłę do „love parad”. Ilu wyborców postawionych w takiej sytuacji wołało zostać w domu?

---

PRZECIWNIK PODERWAŁ DO BOJU NAUCZYCIELSKIE KADRY, ZAATAKOWAŁ RZEKOMYMI AFERAMI I WRESZCIE UDERZYŁ W KOŚCIÓŁ, LICZĄC, ŻE NAPUŚCI OWCZARNIĘ NA SWYCH PASTERZY. I PRZESADZIŁ.

---

mieliśmy Jenę, Austerlitz, a nadchodzi Wagram! Przeciwnik poderwał do boju nauczycielskie kadry, zaatakował rzekomymi aferami i wreszcie uderzył w Kościół, licząc, że napuści owczarnię na swych pasterzy. I przesadził. W pogardzie i kompletnym niezrozumieniu duszy Polaka, który co prawda może podkpiwać sobie z pojedynczych proboszczów, rozpowiadać żarty o ministrantach, ale gdy spróbuje mu ktoś pohańbić Panią Jasnogórską... Biada! Wybory mieli wygrać młodzi, wykształceni z wielkich miast. Przy dotychczasowej frekwencji miało to wystarczyć. Kto przewidywał pospolite ruszenie wsi i miasteczek? Podziękujmy propagandzistom z Czerskiej i Wiertniczej, „autorytetom” wszech nauk, luminarzom sztuki i Cesarzowi z Brukseli, który wpadł ośobiście pouczać ciemny lud, jak zasłużyć na legitymację Europejczyka. Ale i bez te-

Co więcej, nie wiem, czy dla owej partyjnej zbieraniny możliwy jest odwrót na dawne, sprawdzone pozycje. Nie wierzę, żeby koledzy Schetyny zaczęli jeździć na rekolekcje do Tyńca, a aktyw ludowy gremialnie znów brać udział w pielgrzymkach rolników.

Nie wierzę też, żeby prawdziwy mężczyzna Leszek Miller poczuł się dobrze pośród transwestytów. Czyli co? Nie ma wyjścia? Moim zdaniem żeby ci z Koalicji Europejskiej mogli wygrać (i to nie teraz, bo to raczej niemożliwe, ale w dającej się przewidzieć przyszłości), musiałoby dojść do szczerego rachunku sumienia, analizy popełnionych błędów, sprawdzenia, co elektoratowi w duszy gra, a to chyba jest mało prawdopodobne bez dogłębnej zmiany pokoleniowej. A przede wszystkim bez rezygnacji z ducha agresji, rewanzu i pogardy wobec przeciwnika. Tylko kogo będzie na to stać? ■



Tomasz Sakiewicz

# Siła wiary w polityce

Nad analizami wyborczymi do Parlamentu Europejskiego długo jeszcze będziemy się pochylać i dyskutować o nich. Skala zwycięstwa zaskoczyła wszystkich. Zadziwiła również wysoka frekwencja. PiS znokautował prorosyjską partię, która jeszcze kilka dni wcześniej w sondażach osiągała niemal 10 procent. A duże zainteresowanie wyborami i ujawnione negatywne informacje na temat współpracy liderów Konfederacji z Rosją zatopiły ten projekt. Klęskę poniosła też Koalicja Europejska. Wynik

ani żadnego programu. Oni w ten sposób chcieli wyrazić swój protest.

Ale pojawił się też inny element. Wielu wyborców wreszcie powiązało swój głos ze skutkami dla kraju i dla siebie samych. Uwierzyło, że głosowanie ma znaczenie. Dlaczego tak się stało?

Po pierwsze, kilka spektakularnych zwycięstw PiS-u było najlepszym dowodem, że można wygrywać wbrew sondażom. Gdyby te wiktorie zmuszały do mglistych koalicji, nie byłyby tak widoczne i czytelne. Ale fakt, że następowała całkowita

---

PRZYWRÓCENIE WIARY LUDZIOM W SIŁĘ ICH GŁOSU JEST NAJWIĘKSZĄ ZASŁUGĄ  
PiS-U. DEMOKRACJA PRZESTAŁA BYĆ NIEZROZUMIAŁĄ GRĄ SALONÓW, A STAŁA SIĘ  
REALNYM MECHANIZMEM WPŁYWU NA PAŃSTWO.

---

opozycji jest gorszy niż pięć lat temu uzyskały partie, które stworzyły Koalicję.

Na każdym polu opozycja poniosła klęskę, a PiS na każdym – wygrał. Taki wynik gwarantowałby tej partii zdecydowaną przewagę w parlamencie. Daje też nadzieję na walkę o większość konstytucyjną. Niemożliwe? A kto w 2015 roku wierzył w zwycięstwo Andrzeja Dudy albo w większość w Sejmie? Wtedy byłem w tej sprawie dosyć osamotniony. A teraz to nawet ja miałem wątpliwości, czy damy radę wyraźnie wygrać. Pod koniec kampanii, kiedy włączył się w nią zdecydowanie Jarosław Kaczyński, pomyślałem, że będzie dobrze.

Co się tak naprawdę stało?

Oczywiście do zwiększonej frekwencji mocno przyczynił się konflikt wokół Kościoła katolickiego. O ile przypadki pedofilii czy jej ukrywania spotkały się praktycznie z powszechnym potępieniem, o tyle sam atak na Kościół wywołał cichy protest milionów chrześcijan. Ludzie byli po prostu oburzeni profanowaniem wizerunków świętych i szydzeniem z religii. Wielu z tych, którzy poszli zagłosować, nie kalkulowało żadnego wyniku

wymiana rządu, wielu ludziom uświadomił, że wszystko jest możliwe. Stało się coś więcej. Wyborcy zobaczyli, że nawet bardzo hojne obietnice można realizować. Program 500 plus, wyprawka do szkoły, trzynasta emerytura itd. – to wszystko obietnice dotzymane.

Nie jest prawdą, że ludzie nie chcą brać udziału w życiu publicznym. Nie jest też prawdą, że nieaktywna większość nie może poprzeć prawej strony. Wszystko to były mity. Ludzie nieaktywni w polityce potrzebowali jasnego i prostego przekazu. Chcieli zobaczyć, że ich głos ma znaczenie, i wreszcie w to uwierzyli. Czy PiS był partią idealną w oczach swoich wyborców? Oczywiście że nie. Pewnie na wiele rzeczy narzekają, żartują sobie z Jarosława Kaczyńskiego, krytykują lokalne struktury partii. Ale w ostatecznym rozrachunku nie ma to żadnego znaczenia. Władza coś im obiecała i władza dotrzymała słowa.

Przywrócenie wiary ludziom w siłę ich głosu jest największą zasługą PiS-u. Demokracja przestała być niezrozumiałą grą salonów, a stała się realnym mechanizmem wpływu na państwo. ■

CZARNOBYL

HBO HD HBO GO

「Najlepsze filmy, seriale  
i sport na start  
3 MIESIĄCE  
BEZ OPŁAT!」

